

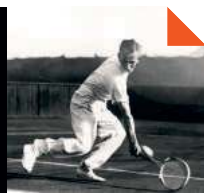
Ryszard
Czarnecki

**NAUCZMY SIĘ
KORZYSTAĆ
Z WŁASNEJ SIŁY**



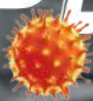
Piotr Lisiewicz

**HERBATA DOBRZE
OSŁODZONA, CZYLI
NIEPODLEGŁOŚĆ
NA TRAWIE**



NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

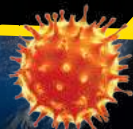
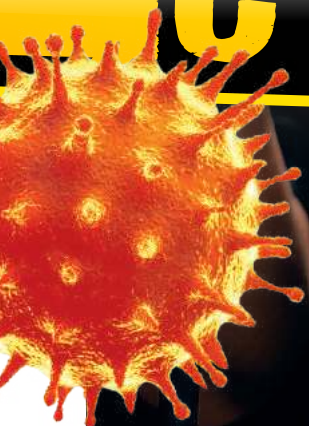
NOWE PAŃSTWO



COVID-19

CHIŃSKI WIRUS

Cała prawda o nowej chorobie





Ilustracja: Marcin Trzaski (for Adobe Stock)

To my otwieramy drzwi wirusowi / 4



Fotografia: O. PISCU / PAV / EFA

Egzamin z odpowiedzialności / 22



Fot. NAC

Herbata dobrze osłodzona, czyli niepodległość na trawie / 34



Fot. MAT. PRAS.

Ptaki, świnię, zombie / 62



Fot. Stefan Czerniecki

Miasto Łazarza z Betanii / 76

Spis treści

► TEMAT NUMERU

Z Emilią Skirmuntt rozmawia Jacek Liziniewicz

To my otwieramy drzwi wirusowi / 4

Tomasz Lysiak

Włoski scenariusz / 10

Ryszard Czarnecki

List do kuzyna w USA / 15

Dawid Wildstein

Wirus przegra z Polską? / 16

Hanna Shen

Pekin boi się odpowiedzialności / 19

Jakub Augustyn Maciejewski

► IDEE

Małgorzata Matuszak

Egzamin z odpowiedzialności / 22

Tomasz P. Terlikowski

Zupełnie nowa wojna / 26

Jakub Augustyn Maciejewski

Na tropie trzeciego totalitaryzmu / 30

► HISTORIA

Piotr Lisiewicz

Herbata dobrze osłodzona, czyli niepodległość na trawie / 34

Dariusz Jarosiński

Janusz Krasinski. Pisarz ciągle uwięziony / 40

Ewa Polak-Palkiewicz

Dom polski według Nakwaskiej / 46

Agnieszka Kowalczyk

Hitler. Droga do władzy / 52

Ignacy Daszyński

Polska wyswobodzona spod panowania Rosjan / 59

Tomasz Arciszewski

Moralno-polityczne znaczenie / 60

Powstania Warszawskiego

Zygmunt Zaremba

Tragedia polskiego lasu / 61

Adam Ciołkosz

Niepodległość / 62

Z Antonim Macierewiczem rozmawiał Ryszard Czarnecki

Nauczmy się korzystać z własnej siły / 64

► KULTURA

Krzysztof Karnkowski

Ptaki, świnię, zombie / 62

Sylvia Kolodyńska

Horyzonty Krzysztofa Pendereckiego / 66

► ŚWIAT

Stefan Czerniecki

Miasto Łazarza z Betanii / 76

Antoni Rybczyński

Gazowa Wielka Gra / 84

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji / 92

oprac. Antoni Rybczyński

Rosyjska ingerencja na Bałkanach: strategia i taktyka / 94

Stale rubryki



Katarzyna Gójska

Chiński wirus

NA POCZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... Pascha

KATECHIZM INTELIGENTA

29



Marek Kalinowski

Tata Franka Kimono

DO GRAJĄCEJ SZAFY...

71



Kamil Goral

UE wobec pandemii, czyli pomarzyć dobra rzecz...

SŁOWEM O GOSPODARCE

67



Ryszard Czarnecki

Mydło Zabłockiego, hipokryzja Brukseli, sztampa Genewy...

CZARNECKO TO WIDZĘ

89



Olga Doleńska-Harczuk

Okruchy precelka

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90



Marcin Wolski

Zderzenie z nieznanym

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Dezintegracja pozytywna

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA

NOWE
PAŃSTWO

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleńska-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Krzysztof Karnkowski, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Tomasz Terlikowski, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Grzegorz Wierchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Razwarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 29 58

prenumerata@panstwo.net

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

09 1240 1024 1111 0010 4263 9001

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Chiński wirus

O ile trudno winić komunistyczne państwo ze stolicą w Pekinie za to, iż śmiertelny patogen pojawił się akurat u nich, o tyle Chiny ponoszą całkowitą odpowiedzialność za konsekwencje swoich kłamstw na temat COVID-19. A te można liczyć tysiącami straconych istnień ludzkich i miliardami euro.

Cały demokratyczny świat płaci właśnie dramatycznie wysoką cenę za tolerowanie istnienia państw totalitarnych. Zaakceptowaliśmy komunistyczne Chiny, uznaliśmy, iż prowadzenie z nimi interesów nam się opłaca, i machnęliśmy ręką na wszystkie straszliwe informacje dotyczące realiów życia w tym terroryzującym swych obywateli kraju. Stwierdziliśmy, iż to nie nasz problem. Od kilku tygodni tragicznie przekonujemy się, że jednak jak najbardziej nasz. Gdyby nie kłamstwa władz w Pekinie, tej epidemii prawdopodobnie nie byłoby na taką skalę. Rozlała się po świecie, zbierając śmiertelne żniwo, zaskakując pierw-

Pekinu uspokajała świat, a zaczęła bić na alarm dopiero wówczas, gdy nawet dla laików było jasne, iż mamy do czynienia z nieznanym i poważnym zagrożeniem. Dziś komuniści z Chin dwoją się i troją, by objawić się światu jako pierwsze ofiary pandemii, które odejmują sobie, by wspierać innych w potrzebie. Ale te miliony rozsyłanych po Europie maseczek nie byłyby potrzebne, gdyby od początku rzetelnie informowali świat o nowej chorobie. A nawet więcej – te maseczki nie oddadzą życia tysiącom ofiar COVID-19. Chiński wirus – jak nazywa go bardzo słusznie prezydent Donald Trump – przeorze nasze społeczeństwa i nasze gospodarki. I o ile trudno winić komunistyczne

CHIŃSKI WIRUS – JAK NAZYWA GO BARDZO SŁUSZNIE PREZYDENT DONALD TRUMP
– PRZEORZE NASZE SPOŁECZEŃSTWA I NASZE GOSPODARKI.

sze europejskie państwa, które padły jej ofiarą, dlatego że przez wiele tygodni chińscy komuniści ukrywali prawdę o szerzącej się u nich już wówczas epidemii, a później przekazywali światu wprowadzające w błąd komunikaty dotyczące natury patogenu wywołującego COVID-19. Przecież do dziś nie znamy skali zarazy, jaka przeszła przez Chiny. Nie wiemy, ile ofiar pochłonęła, z jaką szybkością rozprzestrzeniała się na kolejnych ludzi. To cena za akceptowanie w niewralgicznej części świata – niewralgicznej także z powodu wysokiego ryzyka pojawiania się nowych chorób – państwa, którego krwiobieg tworzą zniewolenie, kłamstwo oraz pogarda dla życia i praw jednostki.

Dziś pojawiają się także informacje, że Chiny nie tylko oszukiwały świat w sprawie nowego koronawirusa, lecz wpływały też na instytucję, której celem jest ratowanie zdrowia ludności na świecie. WHO – jakże często wchodząca w ideologiczne spory – tym razem okazała nadzwyczajną wręcz wiarę w informacje płynące z komunistycznego państwa. Przez pierwsze tygodnie niczym rzecznik

państwo ze stolicą w Pekinie za to, iż śmiertelny patogen pojawił się akurat u nich (choć oczywiście należy mieć świadomość, że sposób funkcjonowania tego państwa sprzyja powstawaniu nowych chorób), o tyle Chiny ponoszą całkowitą odpowiedzialność za konsekwencje swoich kłamstw na temat COVID-19. A te można liczyć tysiącami straconych istnień ludzkich i miliardami euro. Pierwszym wnioskiem, jaki demokratyczny świat powinien wyciągnąć po zakończeniu walki z koronawirusem, jest ZERO zaufania do komunistycznych władz w Pekinie. Bo ta epidemia pokazuje nam jak na dłoni, że natura tego państwa prędzej czy później sprowadzi na nas nieszczęście nieporównanie większe niż zyski wynikające z handlu z nim.

W tym numerze naszego miesięcznika czytelnicy odnajdą kompendium wiedzy na temat nowego koronawirusa, ale także niezwykle rzetelny opis doświadczeń Włochów, którzy zmagając się z piekłem zarazy, postanowili dać światu to, co może go ratować – prawdę o nowej chorobie. To dar bezcenny i powinniśmy być im za niego wdzięczni. ■



rozmawia **Jacek Liziniewicz**



TO MY OTWIERAMY DRZWI WIRUSOWI



EMILIA SKIRMUNT

UNIwersytet w Oksfordzie

Gospodarka się rozrasta. Ingerujemy w przyrodę i zaczynamy mieć styczność z patogenami, z którymi kontaktu wcześniej nie mieliśmy. W ten sposób otwieramy im drzwi i tworzymy im pasy transmisyjne na cały świat – mówi Emilia Skirmuntt z Uniwersytetu w Oksfordzie, z którą rozmawiamy o wirusach, ich mutacjach i reakcjach świata.

► **Wirusy istniały na ziemi na długo przed tym, jak pojawił się człowiek. Jak można scharakteryzować ich rolę? Po co one istnieją?**

Zaczelśmy od pytania zahaczającego o filozofię. Jest ono dość trudne, bo równie dobrze moglibyśmy zapytać o sens istnienia każdego organizmu na świecie. Wirusy są pasożytami komórkowymi. Oczywiście pełnią również swoje funkcje. Z pewnością przyczyniają się do utrzymania równowagi w przyrodzie. Są wirusy, które ograniczają namnażanie bakterii. Nadal jednak trudno jednoznacznie to stwierdzić. Poruszamy się w obrębie hipotez.

► **Każda dobra powieść zaczyna się od charakterystyki postaci. Co to jest koronawirus SARS-CoV-2? Co go wyróżnia?**

Z pewnością na dzisiaj wyróżnia go to, że jest nowy. Pojawił się kilka miesięcy temu i jest ciągle przedmiotem badań tysięcy naukowców na świecie. Mamy podstawowe wiadomości na jego temat. To jeden z koronawirusów. Na dzisiaj wiemy, że w populacji ludzkiej jest to siódmy tego typu patogen i podobnie jak pozostałe wywołuje u człowieka chorobę. Oczywiście ten jest dużo groźniejszy, bo inne raczej są odpowiedzialne za zwykłe sezonowe przebiegnięcia. Jest blisko spokrewniony z koronawirusem SARS, którego epidemię obserwowaliśmy w 2003 roku. SARS-CoV-2 może wywoływać ciężkie zapalenie płuc, które pozabiło już życia kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Wiemy również, że ten koronawirus przeszedł na człowieka z dzikich zwierząt. Był to łańcuch, który jest jeszcze nieodkryty, ale najprawdopodobniej na jego początku znajduje się nietoperz.

► **To mnie dziwi. Koronawirus zabija ludzi, a oszczędza nietoperze?**

Nasze organizmy nie są przygotowane na ten patogen. Pod tym względem nietoperze są zdecydowanie lepiej od nas przystosowane. Warto powiedzieć, że te zwierzęta są na ziemi znacznie dłużej niż my – szacuje się, że ponad 54 mln lat. Jest to doskonale przygotowany do przetrwania gatunek, bo koegzystuje z wirusami od bardzo, bardzo dawna. Trzeba zaznaczyć, że 30 proc. znanych nam koronawirusów występuje u nietoperzy, ale to nie oznacza, że nie są one obecne u innych zwierząt. Ponieważ jednak nie mamy bezpośredniego kontaktu z nietoperzami, więc zwykle zarażamy się przez pośredni gatunek. Na przykład w wypadku MERS była to cyweta, a przy SARS-ie – wielbłąd.

► **Wróćmy do pytania. Co takiego mają nietoperze, że koronawirus ich nie zabija?**

Nie mamy na to ostatecznej odpowiedzi. Jest dużo badań na ten temat. Wiemy, że nietoperze nie posiadają wielu genów, które występują u innych zwierząt i są odpowiedzialne na walkę z infekcjami. Wynikałoby z tego, że ten koronawirus może sobie u nietoperzy być i nie wywołuje reakcji układu immunologicznego.

► **Co sprawia, że te wirusy dokonują skoku? Mam wrażenie, że dzieje się to coraz częściej. SARS – 2003 rok, świńska grypa – 2009 rok, ebola – 2013 rok. Dlaczego to tak przyspiesza?**

A skąd ma Pan pewność, że przyspiesza? Najprawdopodobniej dzieje się to regularnie i zawsze występowało w przyrodzie. Jako naukowcy obserwujemy epidemie koronawirusów co kilka lat. To całkowicie naturalny cykl. Podobnie jak co roku mamy problem z wirusem grypy i epidemią grypy. Problemem jest to, że epidemia w Chinach rozrosła się do ogólnoświatowej pandemii. Takie coś przeżywaliśmy wcześniej za naszego życia tylko w wypadku świńskiej grypy. To nie jest coś, co zdarza się częściej, problemem jest raczej to, że dochodzi do ogólnoświatowej transmisji choroby. Wszystko jest ze sobą połączone. Świat stał się globalną wioską. Dodatkowo media nagłaśniają te tematy, a wiedza dociera do większej liczby osób. Warto również zwrócić uwagę, że problem najczęściej dotyczy krajów rozwijających się. Gospodarka się rozrasta. Ingerujemy w przyrodę i zaczynamy mieć styczność z patogenami, z którymi kontaktu wcześniej nie mieliśmy. W ten sposób otwieramy drzwi i tworzymy im pasy transmisyjne na cały świat.

► **Czyli – jak dobrze rozumiem – koronawirusy przekakiwały na ludzi od zawsze, ale nie wychodziło to poza ograniczone populacje czy jakieś środowisko lokalne. Ludzie chorowali. Część umierała. Wirus się jednak nie rozprzestrzenił. Nikt się tym nie zajmował. Nie było medialnego tematu.**

Dokładnie. Warto również dodać, że wirusy są genem opakowanym w białko, którego celem nie jest wcale zabicie organizmu, na którym pasożytują. To by była samobójcza taktyka, bo wirus może się namnażać tylko w żywych komórkach. W tych populacjach zwierząt, z którymi one koegzystują, te patogeny po prostu występują i nie dzieje się nic więcej. Są

one przystosowane genetycznie. Gorzej jest, gdy nagle znajdują się w organizmie, który nie miał z nimi do czynienia. Skutki właśnie obserwujemy.

► **No dobrze, ale jak to się dzieje fizycznie? To działa na zasadzie podobnej do zarażenia się od ludzi?**

Każdy wirus jest inny. Przy eboli można zarazić się przez kontakt na przykład z krwią nosiciela – zwierzęcia czy człowieka. W przypadku koronawirusa wiemy, że może zostawać na powierzchniach, a następnie przez dotyk przekazujemy go dalej. To może być całkowity przypadek.

► **Obecna choroba COVID pojawiła się w Azji. To już któryś przypadek zagrożenia pochodzącego właśnie stamtąd. Czy jest w tym jakaś prawdziwość?**

Hipoteza jest źle postawiona. Z Azji przyszedł SARS i obecny SARS-CoV-2. Ebola była w Afryce. Świńska grypa przywędrowała z Ameryki Północnej. Nie geografia jest tutaj głównym czynnikiem. Bardziej zwróciłabym uwagę na to, że większość tych chorób zdarza się w krajach rozwijających się, gdyż to one ingerują w środowisko naturalne i mają większy kontakt z patogenami. Jednocześnie w większości przypadków mają mniej pieniędzy na wykrywanie i walkę z chorobami. Wolna reakcja sprawia z kolei, że epidemie się rozrastają. To jest główny problem. W Chinach dodatkowym czynnikiem jest duża populacja skupiona w miastach. Co więcej, ma ona dużą styczność ze zwierzętami przez popularne tam targowiska oferujące tego typu produkty. Teraz podjęto decyzję, żeby je zamknąć, bowiem obie choroby, SARS i SARS-CoV-2, przeszły właśnie stamtąd.

► **Chciałem zapytać o mutację organizmów. Mam wrażenie, że tym pojęciem straszy się ludzi w Polsce i na świecie. Wspomniała Pani, że wirusy nie mają na celu zabijać swoich żywicieli. Może więc nie ma co obawiać się mutacji, a koronawirus przejdzie w łagodniejszą dla nas wersję?**

Tak, jak najbardziej. To się często zdarza w epidemiach. Dlatego z czasem wirusy przestają być tak śmiertelne. Każdy gatunek mutuje, tylko wirusy robią to dużo szybciej. To wymusza ich cykl życia – umownie przyjmując, bo od dawna toczy się dyskusja na temat, czy są to żywe organizmy. Wiemy, że wirusy RNA mutują dość szybko, ale

nacisk selekcyjny będzie na to, aby mutacja była mniej śmiertelna dla nosiciela. Z dużym prawdopodobieństwem więc, jak wirus się zmieni, to na naszą korzyść, ale za to będzie się łatwiej rozprzestrzeniał.

► **W tej sytuacji rodzi się inne pytanie. Czy nie utrudnia to stworzenia szczepionki?**

Może utrudniać jej tworzenie, ale pamiętajmy, że naukowcy tworzący szczepionki będą skupiali się na tych fragmentach wirusa, które najmniej się zmieniają i mutują. Różne części wirusa zmieniają się w różnym tempie. Te badania trwają. Trudno mi odpowiedzieć precyzyjnie na pytanie, tym bardziej że laboratoria pracujące nad szczepionkami trzymają to w tajemnicy. Wchodzimy tu już w politykę i biznes.

► **Co pojawi się najszybciej w przypadku walki z koronawirusem – lek, surowica czy szczepionka?**

Mam wrażenie, że któryś z istniejących leków ma największe szanse w tej chwili okazać się tutaj kluczowy w naszej walce z SARS-CoV-2. To nie jest jakiś zupełnie nieznany nam patogen, ale wirus z rodziny, którą dobrze znamy, więc jest szansa, że któryś z istniejących leków przeciwwirusowych (lub ich mieszanka) też będzie na niego działał. Dodatkowym plusem jest, że na leki, które już istnieją, nie musimy czekać. Tymczasem nowe przechodzą bardzo długie testy kliniczne. Niestety na szczepionkę, ze względu właśnie na testy kliniczne, jeszcze trochę poczekamy. W przypadku surowicy jest podobnie, jest ona w fazie testów, ale właśnie jako nowy lek, więc tutaj też czekamy na wyniki testów klinicznych. A te mogą trwać latami.

► **Kiedy skończy się pandemia? Biorąc pod uwagę wszystko co wiemy i doświadczenia historyczne – to kwestia lat? Miesięcy? Tygodni?**

Na pewno nie lat. W mojej opinii są trzy scenariusze. Pierwszy z nich mówi, że pandemia wygaśnie w kwietniu lub maju. Możliwe, że tak jak inne koronawirusy, SARS-CoV-2 będzie podatny na promienie UV czy – inaczej mówiąc – światło słoneczne oraz temperaturę. To optymistyczna wersja. Druga, bardziej prawdopodobna, jest taka, że przyjdzie nam czekać do lata i wszystko skończy się w lipcu i sierpniu. Najbardziej pesymistycznym scenariuszem jest taki, że choroba w okresie let-

nim przycichnie i wróci do nas w grudniu, kiedy już o niej zapomnimy, a wszystko wróci do normy. Ludzie przestaną się stosować do środków bezpieczeństwa i znów zaczną lekceważyć mycie rąk, wtedy wirus powróci. Będziemy o tyle w lepszej sytuacji, że będziemy wiedzieć o nim coraz więcej. A niewykluczone, że będziemy mieć już lek albo szczepionkę.

► **Jak to możliwe? Taki scenariusz zakładałby, że wirus mógłby żyć utajony w naszych organizmach.**

Niekoniecznie. Warto pamiętać, że w 80 proc. przypadków choroba przebiega łagodnie. Prawdopodobne jest więc to, że wirus będzie przekazywany w jakiejś populacji i pozostanie to niezauważalne. W grudniu, gdy pojawią się wirusy grypy, a odporność organizmów spadnie, zacznie się znowu rozprzestrzeniać.

► **Gdzie należałoby się spodziewać wybuchu nowej pandemii? Można to przewidzieć czy to znowu tylko zgadywanie?**

Wskazywałabym znowu na Chiny. Ponieważ teraz tam ta epidemia wygasa i właśnie dlatego może być tam ognisko, które jest niewykryte. Oczywiście również może się to zdarzyć gdzie indziej, ale wskazywałabym Chiny. Dlatego dość ważne jest testowanie, tak aby nie przegapić tego ewentualnego ogniska.

► **Czyli testy powinny być jak najszerwsze?**

Tak, to by było idealne, gdybyśmy mogli przebadać się i sprawdzić, czy przeszliśmy tę chorobę czy nie. Problemem jest jednak to, że dziś szybkie testy mówią nam, czy mamy chorobę czy nie. Jeżeli chodzi o testy na to, czy przeszliśmy chorobę, to tego się nie praktykuje.

► **Rozumiem, ale z drugiej strony to również kwestia kosztów. Jeżeli będziemy chcieli przebadać 38 mln ludzi i jedno badanie trwa 4–6 godzin, to nie wiem, czy laboratoria, które mamy, wyrobiłyby się w dekadę. Czy jest jakaś szybka metoda?**

To prawda. To nie jest nawet kwestia kosztów, lecz przerobu. Nie przeskoczmy bariery, jaką jest liczba laborantów i maszyn. Chodzi jednak o przetestowanie jak największej liczby osób, bo to już daje jakiś ogólny obraz sytuacji. Jeżeli chodzi o szybkie metody, to

wiem, że trwają nad nimi prace i były doniesienia, że wynaleziono testy, które można przeprowadzić w domu. Problemem jest to, że wiele z tych testów może potwierdzić, że miało się koronawirusa, ale nie daje odpowiedzi na pytanie – którego. Będzie to nam fałszowało rzeczywistość. Hiszpanie z kolei zamówili testy, które okazały się skuteczne tylko w 30 procentach przypadków.

► **Czyli przyjdzie 100 chorych, 30 wyjdzie nieszczęśliwych, bo wykryje się u nich koronawirusa i trafią do szpitala albo na kwarantannę. A reszta chorych wyjdzie z przekonaniem, że jest zdrowa i pobiegnie na bulwary warszawskie na grilla. Dość niebezpieczne.**

Jest to problem. Na razie nie ma szybkiego testu, który pokazywałby prawdę w wysokim stopniu. Jednocześnie powinien być on łatwy do zastosowania i wskazywać nam konkretnego wirusa. Wiele laboratoriów nad tym pracuje. Dziś wchodzi w grę jedynie badania genetyczne.

► **Napisała Pani na Twitterze: „Zajmowałam się wirusami, zanim stało się to modne”. W Polsce mamy już 38 mln ekspertów od koronawirusa. Co Pani zdaniem należy zmienić po tej pandemii? Może powinny nastąpić jakieś zmiany systemowe?**

Ludzie mają krótką pamięć i nie wydaje mi się, by cokolwiek zmieniło się na dłuższą metę. Na pewno państwa bogatsze powinny wprowadzić system dla krajów rozwijających się, żeby im pomóc w wykrywaniu ognisk epidemii. Taki pomysł pojawił się w 2007 roku. Podpisano traktat o przeciwdziałaniu epidemiom. Niestety wszyscy o nim zapomnieli, a żadne z państw, które go podpisało, już nie spełnia jego założeń. To powinno się zmienić. Ponosimy teraz skutki tego, że lekceważyliśmy zagrożenie.

► **A może skończyć z turystyką i lataniem po świecie?**

To dzisiaj praktycznie niewykonalne. Dla wielu krajów na świecie byłoby to zresztą potężnym uderzeniem ekonomicznym. Nie możemy zabronić ludziom podróżować. Wydaje się, że nie da się z tego zrezygnować, bo wiele regionów świata jest uzależnionych od turystów. Nie możemy sobie na to pozwolić. Nie niszczyć środowiska i pamiętajmy o zagrożeniu. Wspomóżmy kraje rozwijające się w walce z epidemiami. ■



KRS 0000309499

Przekaż swój **1%** podatku
na **STREFĘ WOLNEGO SŁOWA**
DZIĘKUJEMY!

Pamiętaj
o wpisaniu nr KRS
0000309499

Pamiętaj
o wpisaniu
celu szczegółowego
**NIEZALEŻNE
MEDIA SWS**

Oblicz
1%

I. INFORMACJE O DOCHODACH (PODSTAWA DO WYKAZYWANYCH NA PODSTAWIE ART. 45 UST. 3c USTAWY 122. Kwota dochodów (przychodów)	
J. WNIOSK O PRZEKAZANIE 1% PODATKU NALEŻNEGO NA RZECZ ORGANIZACJI POŻYTKU PUBLICZNEGO (OPP) Należy podać numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (numer KRS) organizacji wybranej z wykazu prowadzonego na podstawie odrębnych przepisów oraz wysokość kwoty na jej rzecz.	
123. Numer KRS 0000309499	124. Wzrost oblicz 1%
K. INFORMACJE UZUPEŁNIAJĄCE Podatnicy, którzy wypełnili część J, w poz. 125 mogą podać cel szczegółowy 1%, a zaznaczając kwadrat w poz. 126 wyrazić zgodę na przekazanie OPP swojego imienia, nazwiska i adresu wraz z informacją o kwocie z poz. 124. W poz. 127 można podać dodatkowe informacje, np. ułatwiające kontakt z podatnikiem (telefon, e-mail).	
125. Cel szczegółowy 1% NIEZALEŻNE MEDIA SWS	126. Wyrażam zgodę ☒
127.	



FUNDACJA
NIEZALEŻNE
MEDIA



GAZETA POLSKA



niezależna.pl



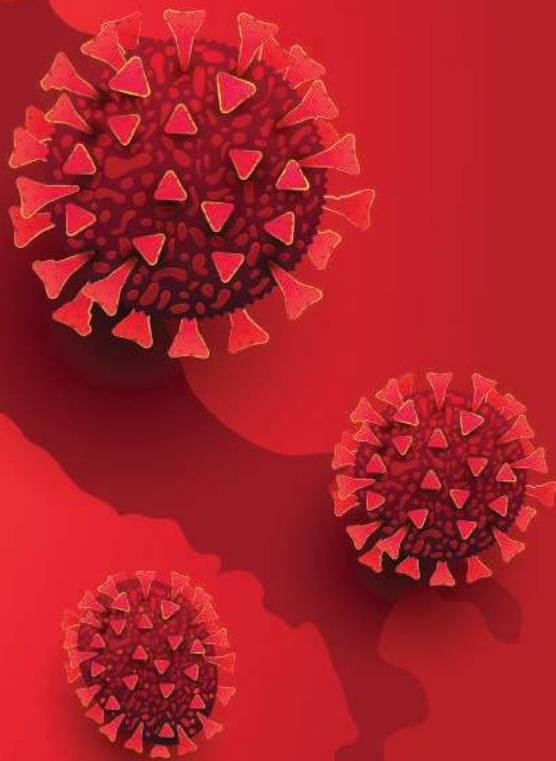
epresa.pl 04dad891a7

WŁOSKI SCENARIUSZ



Tomasz Łysiak

Włochy od miesięcy są krajem, na którym skupia się uwaga świata – to tutaj bowiem, w jednym z najbogatszych regionów, w Lombardii, w lutym 2020 roku doszło do pierwszego w świecie Zachodu wybuchu epidemii COVID-19, która w ciągu kilku tygodni nabrała wymiaru globalnej pandemii. Tak jak na początku tych wydarzeń, tak i teraz baczna obserwacja rozwoju spraw na Półwyspie Apenińskim ma szczególne znaczenie, gdyż umożliwia wyciągnięcie wniosków z walki, której we współczesnym świecie jeszcze nikt nie prowadził.



W Polsce dość często słyszymy o „scenariuszu włoskim” jako o swego rodzaju „ostrzeżeniu” czy też złym rozwoju wypadków, który może się dokonać, jeśli popełni się „włoskie błędy”. Tymczasem warto przyjrzeć się temu, jak de facto ów „scenariusz” wyglądał i o jakich błędach można mówić oraz w jakim kontekście. W olbrzymiej mierze bowiem te stwierdzenia są dla Włochów krzywdzące, gdyż żadne państwo w szeroko pojętym cywilizacyjnym kręgu Zachodu nie było przygotowane na kryzys związany z koronawirusem. Co więcej, wiele krajów lekceważyło zagrożenie bardzo długo, doprowadzając do ostrego spiętrzenia problemów – tak stało się i w Hiszpanii, i we Francji. Premier brytyjski Boris Johnson początkowo starał się wszystko zbagatelizować i szokował opinię publiczną wypowiedziami w stylu: „wiele rodzin będzie się musiało pogodzić ze stratą kogoś bliskiego”, a nawet ścisłaskim rękę, pokazując, jak bardzo według niego sprawa jest nadmuchana. Aż do czasu, gdy naukowcy z Imperial College, na bazie modeli matematycznych, które służą do oceny możliwej liczby zmarłych, wyliczyli, że koszt niepodjęcia natychmiastowych działań zapobiegawczych będzie olbrzymi, liczony setkami tysięcy ofiar. Wtedy nastąpiło natychmiastowe „przełożenie wajchy” i wybranie modelu włoskiego (a zatem w jakiejś mierze chińskiego) radzenia sobie z epidemią – wygaszanie aktywności na tyłu polach, na ilu się da. Krzywe epidemiczne pokazały jasno – kluczem do zrozumienia strategii jest kwestia związana z liczbą miejsc na oddziałach intensywnej terapii. Gdy chorych będzie zbyt dużo, zaczną umierać masowo nie tylko siedemdziesięcio- i osiemdziesięciolatek, lecz także ludzie młodzi. Wszystko to wiemy dzięki Włochom, którzy mieli pecha, stając pierwsi na linii ognia. Wyznaczyli więc i wyznaczają drogę, którą – za nimi – podążamy także my. Przyjrzyjmy się więc temu, na czym tak naprawdę polegał „scenariusz włoski”, i przy okazji rozbrójmy kilka mitów z nim związanych.

► Nigdy nie widziałem takich wskaźników!

Zacząć trzeba oczywiście od Chin. Niezależnie od tego, czy wirus SARS-CoV-2 został wypuszczony z laboratorium wojskowego w Wuhan, czy też przeskończył z nietoperza na człowieka albo przez ugrzyzenie, albo w trakcie konsumpcji potrawy z owego zwierzęcia, nie ulega wątpliwości, że problem zaczął się w Państwie Środka. Jak pisze w książce o koronawirusie prof. Roberto Burioni, pojawił się on zapewne już w listopadzie 2019 roku. Na przełomie listopada i grudnia zaczęto w szpitalach notować kolejne dziwne przypadki infekcji z ciężkimi zapaleniami płuc. Wiadomość o wirusie obiegła cały świat znacznie

później – w styczniu 2020 roku. Jak wiadomo, chińskie władze długo ukrywały problem, a konieczność organizacji partyjnych imprez była ważniejsza niż kwestie bezpieczeństwa nie tylko własnego kraju, lecz także całego świata. W trzeciej dekadzie stycznia było już jasne dla wszystkich obserwatorów, że w Chinach wybuchła epidemia, którą zresztą komunistyczny rząd zwalczał brutalnymi i niespotykanymi działaniami na wielką skalę. Zamknięto miasto Wuhan, potem całą dzielnicę Hubei, wiele milionów obywateli zmuszono do pozostania w domach, a media społecznościowe obiegały przerażające filmy, na których widać ludzi zamykanych siłą w domach; stalowe sztaby wstawiane w wejściach do bloków; opustoszałe ulice odkazane przy pomocy ciężarów, które wyrzucały w powietrze chmury środków dezynfekujących; wozy policyjne, które zatrzymują się, by przywołać do porządku obywateli bez maseczek etc. Stephen McDonnell, korespondent BBC w Chinach, póki jeszcze się dało, jeździł samochodem po prowincji Hubei, przekazywał relacje filmowe jak żywcem wyjęte z katastroficznego filmu – wymarłe wielkie miasta i puste ulice.

W Europie traktowano to wówczas jako wyglądającą groźnie, ale jednak swego rodzaju egzotykę. Eksperci, wirusolodzy, specjaliści chorób zakaźnych kierując się opisami i wskazaniami WHO, uspokajali opinię publiczną, mówiąc, że mamy do czynienia jedynie z wirusem trochę groźniejszym niż grypa i że wystarczy nauczyć się kilku dobrych zasad, takich jak mycie rąk oraz kichanie w łokieć, by mieć problem z głowy.

Trzeba jednak przyznać, że nie wszyscy mieli takie zdanie. Niektórzy od początku mówili w alarmistycznym tonie, m.in. dr Eric Feigl-Ding, epidemiolog z Johns Hopkins University oraz Uniwersytetu w Harvardzie, który 25 stycznia wielkimi literami napisał na Twitterze: „ŚWIĘTA MATKO BOSKA! [...] To jest termionuklearny, bardzo zły poziom pandemiczny [odnosiło się do zaraźliwości wirusa – przyp. TŁ] – nigdy nie widziałem takich wskaźników możliwości wirusa, w trakcie całej swojej kariery”.

► Chińczycy zwiedzają Italię

Jednak apele tej rozsądnej części naukowców o podjęcie natychmiastowych i bardzo zdecydowanych działań, skierowane do WHO oraz innych instytucji zajmujących się zdrowiem publicznym na całym świecie, nie były wysłuchiwane. Dlaczego? To pytanie należy bardzo poważnie postawić – czy przypadkiem nie obawiano się, że zbyt ostre i jasne zadeklarowanie niebezpieczeństwa zachwieje gospodarką światową, spowoduje paniczne zachowania ludzi,

a to odbije się na rynkach? Oraz czy przypadkiem nie wierzone w jakiś rodzaj „cudu” – czyli zduszenia epidemii w Chinach i nieprzedostania się jej do innych państw? Co ciekawe, niczyich podejrzeń nie wzbudzała niespójność komunikatów. Oto z jednej strony podkreślano, że większość osób przechodzi chorobę jak zwykłą grypę, z objawami średnimi lub lekkimi, a z drugiej strony widzieliśmy apokaliptyczne obrazy z Chin. Wielu ludzi zadało sobie pytanie zgodne z najprostszą logiką: jeśli faktycznie wirus jest niegroźny, to dlaczego Chińczycy zamykają miliony ludzi, zatrzymują pociągi i autobusy, pół kraju wprowadzają w stan uśpienia i budują jeden za drugim specjalne szpitale? I na ile chińska propaganda i dane epidemiologiczne oraz medyczne płynące z Chin są wiarygodne?

Teraz z kolei przenieśmy się do Włoch. Jeśli gdzieś w Europie miałyby wybuchnąć epidemia, to m.in. właśnie w Italii, być może w Mediolanie – tak przewidywali w matematycznych modelach węgierscy naukowcy. To tutaj milionami przylatują turyści i to w Mediolanie znajduje się wiele firm mających kontakty handlowe z Chinami. Notabene to właśnie na lotnisku Malpensa wylądowała w styczniu para chińskich turystów zarażonych koronawirusem. Odbywała ona prawdziwe tour – byli we Florencji i w Pizie, dojechali do Rzymu i dopiero tam z gorączką zgłosili się na badanie, które wykryło wirusa. Zostali przyjęci do szpitala Spallanzani. Drobiazgowe śledztwo prowadzone „ich śladem” – w hotelach i restauracjach – nie wykryło zakażeń. Kolejne relacje telewizyjne skupiały się na ewakuowaniu Włochów z Chin. Jednocześnie Włosi jako pierwsi w Europie (i nieliczni) zdecydowali się na całkowite zamknięcie komunikacji lotniczej z Państwem Środka (inne kraje choć zamroziły połączenia swoimi liniami, to niemal do końca zezwalały na loty Air China). Jak się okazało, nie było to wystarczające. Podobnie jak badanie temperatury podróżnym na lotniskach – gdyż pomagało wykryć jedynie chorych z objawami, tymczasem wirus ma długi czas inkubacji, a zarażać mogą również osoby bez objawów. Jednak i Włosi, i cała Europa zapadli w stan „uśpienia”, w którym czasem tylko podawało się informacje z Chin, w stylu lekko groźnie brzmiących wieści ze świata. Nikt nie wiedział, że siedzimy wszyscy na bombie zegarowej, której licznik już dawno pracuje.

► To nie jest zwykła grypa

Eksplzja nastąpiła 21 lutego w Codogno, w Lombardii. To wtedy na oddziale ratunkowym miejscowego szpitala w niewielkiej miejscowości w prowincji Lodi wykonano test na obecność koronawirusa 38-let-

niemu pacjentowi. Mężczyzna ten, wysportowany i będący przedtem w pełni zdrowia, nie pasował do „wzorca” zarażonych wirusem. Nie wrócił z Chin, a zatem kryterium epidemiczne, które wtedy obowiązywało, nie wskazywało na potrzebę i możliwość wykonania testu. Dopiero odważna decyzja lekarki, która zdecydowała się go wykonać niejako wbrew procedurze, na podstawie samych objawów, spowodowała, że odkryto pierwsze ognisko choroby. Za chwilę ujawniono kolejne, w Veneto, zaczęło się zamykanie całych terenów i tworzenie tzw. czerwonych stref. Choroba jednak zdążyła już rozlać się po kilku prowincjach, a epidemia nabrała przyspieszenia, w ciągu kilku tygodni uderzając najmocniej w regiony północne – linią frontu stała się Lombardia, ale zaraz obok Wenecja Euganejska, Piemont i Emilia-Romagna. Z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień rosła liczba zakażonych, szpitale zaczęły zapełniać się chorymi, z miejsca też same stając się kolejnymi ogniskami epidemii. Lekarze pełniący dyżury w dramatycznie trudnych warunkach, w stresie, bez możliwości kontaktu z rodziną, w strojach, których nie można zdjąć, by się napić lub skorzystać z toalety, zaczęli alarmować nie tylko Italię, lecz także cały świat: „To nie jest zwykła grypa”. I błagali: „Zostańcie w domach!”. Najprościej mówiąc, wszystkie zapewnienia i uspokajające komunikaty, jakie do tej pory płynęły z ekranów telewizorów, mówiące o tym, że mamy do czynienia jedynie z trochę bardziej agresywnym od wirusa grypy patogenem, padły wobec realiów. Okazało się, że na koronawirusa trzeba patrzeć kompleksowo – dopiero ujście wszystkich jego cech razem ujawnia, dlaczego jego zjadliwość można określać jako „termonuklearną”. Większość ludzi przechodzi chorobę łagodnie lub z typowo grypowymi objawami, takimi jak kaszel i gorączka. Jednak i te łagodne objawy lub ich brak stanowią problem z punktu widzenia epidemiologicznego – istnieje bowiem olbrzymia grupa osób, które nie wiedzą o tym, iż są zarażone, ale same zarażają. Tymczasem mniejsza, lecz znacząca część, około 20 procent zarażonych, przechodzi chorobę gorzej, gdyż wirus powoduje u nich ciężkie zapalenie płuc. Gdy dochodzi do niewydolności oddechowej, jedynym ratunkiem dla pacjenta jest podpięcie go do aparatury podtrzymującej oddychanie – stąd w całej strategii kluczowe jest takie ograniczenie liczby narażonych, by po prostu wystarczyło respiratorów. Póki ich wystarczy, umierają ci, którzy są najbardziej obciążeni – albo tzw. chorobami współistniejącymi, albo wiekiem. Lecz gdy sprzętu zabraknie, system się załamie i wtedy zaczną umierać dużo więcej ludzi, również młodszych. Po czasie okazało się jednak, że choroba rozprzestrzeniła się we Włoszech już na kilka tygodni przed wyłapaniem pierwszych chorych w Lombardii. Lekarze z Bergamo

mówią, że w grudniu 2019 roku obserwowali niespotykane do tej pory przypadki ciężkich i trudnych do wyleczenia infekcji zapalenia płuc.

► Testy Koreańczyków

Jak zatem wyglądają strategia włoska i „włoski scenariusz”? Wybrano drogę zmniejszenia tempa zarażania. Ta dynamika obrazowana jest współczynnikiem R_0 , oznaczającym liczbę osób, które zraża jedna osoba. Im ten współczynnik jest wyższy, tym gorzej i tym szybciej, wykładniczo wzrasta liczba zakażonych. Włoscy epidemiolodzy postawili więc politykom zadanie: zmniejszyć ten współczynnik z ponad 2 do 1 lub nawet mniej, czyli żeby statystycznie jeden chory zrażał maksymalnie jedną osobę więcej. Wtedy uda się epidemii wygasic.

Wyjaśniał to ordynator oddziału zakaźnego szpitala Sacco di Milano prof. Massimo Galli, tłumacząc, że testy dają jedynie chwilowy obraz tego, co się dzieje. Ktoś zdiagnozowany negatywnie może już godzinę później się zarazić lub nawet nie wykazywać jeszcze obecności wirusa w chwili badania. Po drugie, należy dopasować liczbę testów do możliwości laboratoriów, tak by nie zablokować ich „pustymi strzałami”, ponieważ w pierwszym rzędzie należy jak najszybciej diagnozować chorych. Co więcej, dobre przyjrzenie się strategii koreańskiej pokazało Włochom, że testy na szeroką skalę mają sens tylko wtedy, gdy są wsparte technologią i daleko idącą inwigilacją obywateli – chodzi o śledzenie praktycznie każdego ruchu osób z grup, które są pozytywne lub mają z nimi kontakty, oraz wykonanie drobiazgowych śledztw dotyczących tego, z kim się spotykał na

KRZYWE EPIDEMICZNE POKAZAŁY JASNO – KLUCZEM DO ZROZUMIENIA STRATEGII JEST KWESTIA ZWIĄZANA Z LICZBĄ MIEJSC NA ODDZIAŁACH INTENSYWNEJ TERAPII. GDY CHORYCH BĘDZIE ZBYT DUŻO, ZACZNĄ UMIERAĆ MASOWO NIE TYLKO 70- I 80-LATKOWIE, LECZ TAKŻE LUDZIE MŁODSI. WSZYSTKO TO WIEMY DZIĘKI WŁOCHOM.

Wojna z wirusem zaczęła być toczona za pomocą dwóch jedynie dostępnych broni. Jedną z nich to właśnie ograniczanie transmisji. Można to sobie wyobrazić w najbanalniejszy sposób: mamy dwie osoby, z których jedną uznajemy za chorą, a drugą za zdrową. Wszystko, co stanie się barierą dla wirusa między tymi dwoma osobami, będzie dobrą drogą. Można to uzyskać przez zwiększenie dystansu (stąd odstępki w sklepach) bądź po prostu zmniejszenie liczby ludzi kontaktujących się ze sobą (zostańcie w domu), wreszcie przez założenie masek obu osobom. Drugą bronią są testy. Wokół nich przez kilka tygodni trwała we Włoszech zażarta dyskusja. Niektórzy gubernatorzy chcieli robić je masowo. Za takim rozwiązaniem był gubernator Wenecji Euganejskiej Luca Zaia. Przekonywał go m.in. przypadek miejscowości Vo' – czyli pierwszego ogniska choroby w Veneto. To właśnie tam wykonano masowy test wszystkim mieszkańcom, a rozprzestrzenianie się wirusa udało się zdusić całkowicie. Ale nie tylko, była to także droga Koreańczyków i Chińczyków. To właśnie Korea Południowa stała się dla Włochów jednym z przykładów dobrej strategii – w azjatyckim państwie udało się zapanować nad SARS-Cov-2 m.in. dzięki wielkiej liczbie testów. Ale – jak się okazało – nie na ślepo.

przestrzeni ostatnich dni chory i znalezienie maksymalnej możliwej liczby osób mogących być w związku z tym zarażonym, i znowu – wykonanie im testów. To gigantyczne zadanie, do którego potrzeba wielkich zasobów sił i środków. Notabene tak właśnie działała Italia w pierwszych tygodniach epidemii, szukając śladów, testując szeroko i wychytując nawet tych, którzy jeszcze nie mieli objawów. Zwracam tu uwagę wszystkim krytykom, którzy nie wiedząc o tym, z czym borykali się Włosi i jak podeszli do epidemii, mówią o wielu „włoskich błędach”, nie zdając sobie sprawy ze skali działań oraz z ich trudności. Zaia wycofał się z pomysłu testowania masowego i został przy idei testowania jak najwięcej, ale w ramach możliwości. Taka też jest teraz strategia ogólnopaństwową. Na koniec marca we Włoszech wykonano około pół miliona testów.

► Błąd WHO

Wreszcie kwestia masek. Brak masek dotyczył od samego początku nie tylko samej Italii, lecz także całego świata Zachodu. Rzecz jest banalnie prosta – 80 proc. produkcji masek chirurgicznych czy specja-

listycznych jest ulokowana w Chinach, w przeważającej zaś mierze w prowincji Hubei. Ponieważ WHO, a za nią inne organizacje zdrowia publicznego oraz epidemiolodzy, lekarze i wirusolodzy z całego świata, podali, że maseczki nie zabezpieczają i powinni je nosić tylko chorzy, zatem temat zbagatelizowano, nie dokonano odpowiednich zakupów i postawiono nie tylko obywateli, ale przede wszystkim służbę zdrowia w sytuacji tragicznej. Bo po prostu masek nie było.

Tymczasem grupa chińskich specjalistów, która przybyła do Włoch, by radzić, jakie środki należy zastosować, aby zdusić epidemię, wypowiedziała się w sposób jasny: tak jak tylko się da, należy wsadzić ludzi do domów, zamknąć na miesiąc całą możliwą produkcję i działalność, a ci, którzy z różnych powodów muszą z domów wychodzić i kontaktować się z innymi, powinni nosić maski!

Włosi do jakiegoś czasu grzecznie słuchali wytycznych WHO, ale przestali, gdy lekarze ze szpitali prze-

oczywista. Jest tylko jedno „ale”. Oto na jednej z codziennych konferencji prasowych włoskiej Obrony Cywilnej o sprawę masek zapytał dziennikarz. Otrzymał ostrą odpowiedź: „Takie pytania, w chwili gdy masek nie ma, a tych dobrych z filtrami FFP2 i FFP3 brakuje dla służby zdrowia, nie prowadzą do niczego. Jak masek będzie tyle, że moglibyśmy dać każdemu, pogadamy inaczej”. I to wyjaśnia sprawę.

Na koniec warto się odnieść do kwestii zabójczości wirusa, co pojawia się często w kontekście tzw. włoskiego scenariusza. Po pierwsze, od wielu tygodni Włosi testują jedynie osoby z objawami lub ich bezpośrednie kontakty. To w sposób oczywisty powoduje, iż nie znamy faktycznej skali zachorowań w Italii. Jak podkreślają epidemiolodzy, raczej wychodząc od liczby zmarłych, można szacować liczbę faktycznie zarażonych. Na koniec marca, gdy liczba wyników pozytywnych przekroczyła 100 000, zaś zmarłych 10 000, szacowano liczbę wszystkich na

POCZĄTKOWO I WŁOSI, I CAŁA EUROPA ZAPADLI W STAN „UŚPIENIA”, W KTÓRYM CZASEM TYLKO PODAWAŁO SIĘ INFORMACJE Z CHIN, W STYLU LEKKO GROŹNIE BRZMIĄCYCH WIEŚCI ZE ŚWIATA. NIKT NIE WIEDZIAŁ, ŻE SIEDZIMY WSZYSCY NA BOMBIE ZEGAROWEJ, KTÓREJ LICZNIK JUŻ DAWNO PRACUJE.

pełnionych umierającymi ludźmi krzyczeli o pomoc, a w takich gminach jak Bergamo nie starczało na trumny miejsca w cmentarnym kościele. Filmy z nocnych przejazdów ciężarówek ze zmarłymi wstrząsnęły światem, tak jak wstrząsały przekazy ze szpitali czy ludzie opowiadający o zaintubowaniu czy śmierci rodziców.

Najpierw więc nakazano, by maska była obowiązkiem w miejscu pracy, o ile nie uda się zachować bezpiecznego dystansu. Potem zaczęto je kupować, gdzie się da, a także produkować samemu. Gdy ostatnio zaczęto rozważać powrót do normalności, to wśród warunków w miarę zwykłego funkcjonowania po wygaśnięciu epidemii mówi się o obowiązku noszenia maski na ulicy i w miejscach publicznych. Dla Włochów stało się jasne to, co Chińczycy zrozumieli wcześniej: że wirus unosi się przez aerozole w wydychanym przez zarażonego powietrzu – zatem należy założyć, że każdy potencjalnie może być chory i każdy może potencjalnie zarażać, a zatem gdy postawimy w odległości metra od siebie dwie osoby w maskach i dwie bez, to odpowiedź na pytanie, w którym wypadku ryzyko transmisji jest mniejsze, wydaje się

około 500 000 osób zarażonych SARS-CoV-2.

Po drugie, we Włoszech przyjęło się, że praktycznie każdą osobę, która w chwili zarażenia koronawirusem miała tzw. choroby współtowarzyszące (na przykład cukrzycę czy choroby układu krążenia), a zmarła, kwalifikuje się jako ofiarę COVID-19. Z drugiej strony wiele osób umiera we Włoszech we własnych domach, nie poddając się wcześniej testowi, co zaniża wynik. Na wysoką śmiertelność wpływają także inne czynniki – takie jak przekrój społeczny, duża liczba osób w zaawansowanym wieku, a nawet dieta.

Włoski scenariusz to nie tylko migawki z ulic, na których widać było na pewnym etapie bawiącą się młodzież. Taki obraz jest dla Włochów zdawkowy i krzywdzący. Owszem, popełniali błędy (na przykład w komunikacji społecznej), ale z wyzwaniem związanym z epidemią musieli sobie radzić pierwsi. Pierwsi też będą z kryzysu wychodzić. W tym sensie jesteśmy wszyscy beneficjentami „włoskiego scenariusza” – nie popełniając błędów, możemy czerpać wiedzę, wyciągać wnioski i w Polsce układać własny, dobry „polski scenariusz”. Oby z happy endem. ■



Ryszard Czarnecki

List do kuzyna w USA

Drogi W.,

dawno nie pisałem, młyn w Brukseli i w Strasburgu, wiadomo: robota lubi głupiego. Wszystko tam i tu, w Polsce, dzieje się bardzo szybko, mija już piąty rok nowego rządu w Polsce i nowego prezydenta. Wiem, wiem, jesteś sceptyczny, zawsze byłeś, choć prawdę mówiąc, znam szereg polskich naukowców w Stanach, pracujących na amerykańskich uczelniach, jak Ty, którzy mocno ściskają kciuki za Dobrą Zmianę. Ale nie będziemy się kłócić politycznie, nikt nikogo nie przekona, nie w tym rzecz. Piszę do Ciebie, bo od dwóch tygodni jestem w Polsce, niemalże w „areszcie domowym”, który sam sobie wprowadziłem w związku z pandemią. Nagle się okazało, że mam czas na to, na co nie miałem od lat, czyli napisać parę słów do Ciebie. Żyjemy tak szybko, że nawet jak byłem w USA, nijak nie szło się z Tobą spotkać. Szkoda, bo przecież Twoja mama to córka brata mojej babci Franciszki. Pamiętam Twojego dziadka, absolwenta uniwersytetu w Grenoble, przedwojennego wicemistrza Wojska Polskiego w tenisie, ważnego bankowca w II RP, któremu niemal cały majątek przepadł podczas okupacji niemieckiej i dla którego było nie do pomyślenia, żeby zapisać się do PZPR. Bardzo, jako dzieciak, lubiłem jego poczucie humoru i tubalny śmiech. Ale piszę do Ciebie w sytuacji dramatu, jaki przetacza się i przez Twoją przybraną ojczyznę, i przez Polskę, Ojczyznę naszą, wspólną przecież, mimo że inaczej głosujemy. Piszę w czasie szczególnym, bo trwa kataklizm pochłaniający już tysiące istnień ludzkich w Europie i poza nią. Inaczej niż Ty lubię i szanuję prezydenta Trumpa, ale łapię się za głowę, jak bardzo zlekceważył koronawirusa, mówiąc, że to taka „większa grypa”. Ameryka ma miliony zalet, ale tą zaletą na pewno nie jest wasz – że tak to określe – system opieki zdrowotnej, a może jej braku, który powoduje, że nie tylko ludzie niezażarci, lecz nawet średnio zamożni oszczędzają na ubezpieczeniach, do lekarzy nie chodzą i nie chcą brać zwolnień, które są powszechnie, być może przesadnie, wykorzystywane w Europie. Tyle że to w czasie pandemii COVID-19 czy jakiegokolwiek innej będzie u was służyło rozprzestrzenianiu się zarazy.

Prawdę mówiąc, Drogi W., jestem dumny jako Polak, że moje państwo – inaczej niż wasze władze –

nie zlekceważyło tego, co wasz prezydent nazywa „chińskim wirusem” (akurat to dobrze świadczy o jego PR-owych umiejętnościach w punktowaniu wielkiego rywala USA). Szczerze mówiąc, odczuwam narodową dumę i po prostu cholerną satysfakcję, gdy widzę, jak Polska radzi sobie z tym nieszczęściem, w przeciwieństwie do Włoch, Hiszpanii, Francji, Belgii – i tu możemy wymienić jeszcze szereg krajów. Ale przecież nie chodzi tu tylko o rząd, prezydenta, różne służby, które dwoją się i troją, jak mogą, lecz także o Społeczeństwo. Tak, specjalnie napisałem przez duże „S”, bo jestem pod niesamowitym wrażeniem tej mądrości Polaków, ich zdrowego rozsądku, przezorności, dojrzałości i czegoś, co bym nazwał samodyscypliną, porównując to z beztroskimi nacjami, nie tylko przecież w Europie Południowej. Tak, Polacy są mistrzami roztropności. Tak, Polak jest mądry przed szkodą. Wreszcie. Słowa wielkiego Norwida, że Polacy jako Naród są wspaniali, ale jako społeczeństwo już nie – są już nieaktualne. To się naprawdę zmieniło.

Kiedyś byłem w Poczdamie, tam, gdzie odbywała się konferencja, na której Churchill z Rooseveltem zdradzili Polskę. Jest tam taki pałac o francuskiej nazwie Sans Souci. Czy wiesz, co to oznacza w języku Moliera? „Bez troski”. Tak, to metafora wielu społeczeństw europejskich w czasie podbojów koronawirusa...

Wiem, wiem: najgorsze przed nami. Wiem, że będzie bardzo ciężko. Mam trzech synów i wnuczkę i też się o nich boję, a mój chory na cukrzycę ojciec ma 86 lat i jest w grupie szczególnego ryzyka. Jednak silniejsza od obaw o najbliższych jest duma, że nasze państwo zdało egzamin i nasz naród zdał ten egzamin w czasach może największego wyzwania w ostatnich parudziesięciu latach. I to zostanie. Wiem, że właśnie w tej społecznej samoorganizacji, tak samo jak w działaniach władz, które cały czas udowadniają, iż „leci z nami pilot” i wiedzą, co robić, choć nie ukrywają przed obywatelami, że walka będzie piekielnie trudna i długa – właśnie w tym jest nadzieja, iż przebrniemy przez to wszystko jako wspólnota, jako Naród, mniej pokaleczeni niż nasi bliźsi i dalsi sąsiedzi...



Dawid Wildstein

Wirus przegra z Polską?

Przy odrobinie szczęścia Polska może stać się „zieloną wyspą” Unii, relatywnie mało dotkniętą epidemią koronawirusa. Tym razem naprawdę, a nie jak w pamiętnej propagandzie Tuska.

Nadal jest to jednak szczęście w nieszczęściu. To, że reszta państw Unii przechodzi tę epidemię w sposób bardzo ciężki, zwłaszcza Włochy, odbije się także na nas.

Istniejemy w systemie naczyń połączonych, więc tak potężny kryzys wpłynie na całość wspólnoty europejskiej – na jej gospodarkę, na przyływ ludzi i towarów. Wiele wskazuje jednak na to, że Polska może uniknąć najgorszego. Że epidemia u nas przybierze łagodniejszą formę.

Pytanie brzmi – skąd ta różnica? Jakie czynniki spowodowały, że większość państw Zachodniej Europy znalazła się w takim kryzysie, a Polska jak na razie nie? Czy jest to tylko skutek odpowiednich decyzji rządzących i czasu ich podjęcia oraz ogólnej kondycji służby zdrowia? Wymienione powyżej przyczyny są bardzo istotne. Widać to chociażby po błędach, tragicznych w skutkach, które popełnił premier Wielkiej Brytanii, rezygnując z ostrych zakazów w początkowej fazie epidemii. Jednak równie ważnym elementem, koniecznym do zrozumienia, czemu sytuacja w Europie Zachodniej tak szybko wymknęła się spod kontroli, jest struktura tamtejszych społeczeństw, ich świadomość oraz rola państwa.

► Szara strefa wirusa

Po pierwsze, i to chyba jest powód najważniejszy, społeczeństwa zachodnie, przykładając do Polski, są bez porównania bardziej niehomogeniczne. Fakt, że dany organizm państwowy zamieszkuje wiele różnych grup, o różnych tradycjach, zwyczajach, o różnym statusie ekonomicznym itd., sine qua non powoduje, że państwo ma utrudnioną możliwość kontroli. Nie musi być to czymś z zasady złym, jednak w sytuacji kryzysu i konieczności szybkiej reakcji może stać się dla służb państwowych i instytucji publicznych dużym obciążeniem. Zwłaszcza że na to wszystko należy nałożyć zjawiska, które są efektem (w bardzo dużym skrócie) ideologii politycznej, dominującej na Zachodzie. Polityczna poprawność już dekady temu stała się synonimem „chowania głowy w piasek” i udawania, że skoro o problemie się nie mówi, to go nie ma. Przyczyn tego zjawiska jest wiele, zapewne najważniejszym jest niechęć długo dominującej w Europie lewicy do jakichkolwiek działań, które mogłyby do nich zrazić potencjalny elektorat. Ale nie miejsce tu na analizę, jakie są źródła tego stanu rzeczy. Ważniejszy jest fakt, że spowodowało to stworzenie gigantycznej szarej strefy w państwach Europy Zachodniej. Strefy, która powierzchownie była pod kontrolą państwa, de facto jednak żyła własnym życiem. Tzw. strefy no-go (określenie zresztą przesadne – nie chodziło o to, że policja nigdy tam nie wjeżdżała, tylko że robiła to rzadko, i że są to w związku z tym przestrzenie o autonomicznych strukturach władzy i zasadach życia), gigantyczne getta, związane z tym potężne nierówności społeczne i niechęć do oficjalnej władzy – to wszystko czynniki w sposób bardzo skuteczny ograniczające możliwości działania służb publicznych. W tych miejscach państwo najczęściej po prostu nie będzie w stanie egzekwować swoich zakazów. Dorzućmy do tego bez porównania (zwłaszcza we Włoszech) większą

przestępczość, w tym tą związaną z przemytem ludzi i towarów. Tak samo bardzo ważne jest uzależnienie państw Zachodu od możliwie jak najswobodniejszego i największego przepływu ludzi i kapitału. To wszystko razem bardzo utrudniło próby zahamowania epidemii, na przykład poprzez jak najszybsze zamknięcie granic.

Po drugie, warto zwrócić uwagę na obecną świadomość społeczeństw zachodnich. Otóż wszystko wskazuje na to, że przez dekady dobrobytu i w miarę nieprzerwanego wzrostu konsumpcji społeczeństwa te uśpiły swój zmysł wyczuwania zagrożeń. Zwłaszcza klasa średnia i wyższa. Uwierzyły, że ten stan, w jakim są teraz, musi trwać wiecznie, jest niezmienny. Skutkowało to niewiarą w to, że naprawdę może przyjść sytuacja, która zmieni wszystko. Która zmusi do ustalenia na nowo zasad i hierarchii potrzeb. Która spowoduje konieczność zmiany stylu życia, stylu, który stał się tak oczywisty jak oddychanie. Idealnym przykładem były jeszcze niedawne, huczne imprezy w stolicach państw zachodnich, mimo wprowadzenia zakazu. Jednocześnie, w paradoksalny sposób, wiąże się to ze zbyt dużym zaufaniem do samego państwa, czyli z wiarą, że będzie ono zawsze, że zawsze pomoże. Wiara, która spowodowała często rozpad więzi społecznych w społeczeństwach zachodnich, więzi, które w sytuacji kryzysu instytucji publicznych są fundamentalne.

► Świadomość apokalipsy

Brak wszystkich wymienionych wyżej czynników na pewno składa się na wciąż bardzo dobrą sytuację Polski (wspartą jednocześnie błyskawicznymi działaniami rządu) w porównaniu z państwami Europy Zachodniej. Pytanie jednak, czy przyczyn szukać tylko w strukturze społecznej Polski, jej homogeniczności narodowej? W jej położeniu geograficznym, w kształcie państwa czy w prostym fakcie, że wciąż do nas nie dotarły, mimo usilnych prób różnych sił politycznych, największe patologie i problemy Zachodu? Zapewne ma to decydujący wpływ, ale chciałbym zwrócić uwagę na pewną polską cechę narodową, która także może mieć znaczenie, jeśli chodzi o to, jak w naszym państwie będzie wyglądał rozwój epidemii. Czyli świadomość narodu, że państwa może nie być, że może zniknąć i nie być wsparciem, że to naród będzie musiał wziąć na siebie zadania instytucji państwowych. Nazwałbym to po prostu świadomością możliwej apokalipsy. Rzecz aż nazbyt zrozumiała, patrząc na polską historię.

Warto zauważyć, że opisana powyżej świadomość narodu może skutkować także działaniami, które w żaden sposób nie wspierają państwa w sytuacji kryzysowej. Najsmutniejszy przykład tego mieliśmy podczas tragedii smoleńskiej. Jasne, to, co wtedy zrobiła Platforma, było możliwe dzięki wielu czynnikom. Praktycznie pełnej dominacji medialnej. Brakowi jakichkolwiek skrupułów w kłamstwie. Wsparciu w propagandzie ze strony innych państw, szczególnie Rosji. Ale na pewno jeszcze jeden

element zaważył na tym, że naprawdę znacząca grupa Polaków zrezygnowała wtedy z „pamiętania” o Smoleńsku na rzecz „świętego spokoju”. Był to jak najbardziej realny strach przed Rosją, ugruntowany w polskim doświadczeniu narodowym, wypływający właśnie ze świadomości, że wciąż rozwiązują się konflikty za pomocą siły, że Polska tak jak inne państwa może ucierpieć, w końcu, że historia się wcale nie skończyła.

Ale w obecnej sytuacji przynosi to efekty bardzo pozytywne. Po pierwsze, społeczeństwo polskie ma wręcz „genetyczną” świadomość, że musi się w sytuacjach kryzysowych samo organizować. Że bardzo ważne są w takich momentach więzy rodzinne. Nasi obywatele wiedzą, że nie mogą liczyć tylko na państwo – ale też na siebie nawzajem. Oraz, co być może teraz najważniejsze, że pewne zagrożenia należy traktować bardzo poważnie. Że naprawdę może być źle, więc lepiej uważać. Oczywiście ktoś zaraz może kontrargumentować zdjęciami, które obiegły internet – z parków, bulwarów nad rzekami etc., pokazujących, że wiele osób nie do końca serio potraktowało państwowe zalecenia. To punktowo prawda. Ale wystarczy przejść się po przeciętnym polskim mieście i porównać to z sytuacją, jaka miała i nadal często ma miejsce na Zachodzie. Podczas gdy u nas pustki są właściwie wszędzie, na głównych stolicach Zachodu wielkie imprezy trwały jeszcze długo po tym, jak liczba zarażonych wielokrotnie przekraczała stan w Polsce. Ciężko nie zauważyć, że na pewno błyskawiczna reakcja państwa polskiego, które dużo szybciej niż inne wprowadziło mocne restrykcje dotyczące knajp itd., bardzo w tym pomogła. Ale bez współpracy społecznej i chęci słuchania się zaleceń rządu – nic by to nie dało. Tak się stało na Zachodzie, gdy społeczeństwo nie było w stanie zrozumieć powagi sytuacji i mimo obostrzeń państwowych, nadal chciało się bawić, a także na Wschodzie, z zupełnie jednak innej przyczyny.

► Idealne, polskie „pomiędzy”

Widać to zwłaszcza na przykładzie Ukrainy, potencjalnie – za jakiś czas – jednym z najsilniejszych ognisk wirusa. Ukraińcy, delikatnie rzecz ujmując, także mają świadomość tego, że nic się jeszcze nie skończyło, że zagrożenie dla nich i dla ich państwa jest ciągle i poważne. Jest to też społeczeństwo, co w ostatnich latach wielokrotnie udowodniło, o niesłychanym potencjale do samoorganizowania się i zastępowania państwa w sytuacjach kryzysu. Jednocześnie naród ten, tak koszmarnie doświadczony przez historię, ale także przez teraźniejszość, przez biedę, korupcję, a zwłaszcza przez ciągnącą się, przy praktycznie pełnej obojętności Europy, od lat inwazji Rosji na jej terytorium, przestał po prostu wierzyć swoim przywódcom. I ciężko się temu dziwić, skoro przez kolejne lata wielu z nich udawało, że najważniejszy dla nich jest zarobek, najczęściej nieuczciwy. A ci uczciwi i tak nie byli w stanie pokonać oligarchicznej sitwy pas-

żytującej na tym państwie. W konsekwencji zaufanie przeciętnego Ukraińca do instytucji publicznych i do tego, co władza mu mówi, jest właściwie zerowe. Można sobie wyobrazić, do jak opłakanych skutków prowadzić to musi przy takiej epidemii. Co więcej, znacząca część Ukraińców wciąż uważa, że są dziś poważniejsze problemy, na przykład wojna, zaś rząd ukraiński usiłuje wykorzystać koronawirusa, żeby po cichu dogadać się z Putinem bądź „załatwić” wewnętrzną opozycję. I znów – nie są to podejrzenia pozbawione podstaw. Niemniej w połączeniu z innymi elementami obecnej sytuacji na Ukrainie i rozwojem epidemii koronawirusa tworzą naprawdę wybuchowy „koktajl”.

Na szczęście sytuacja w Polsce przedstawia się inaczej. Wszystko wskazuje na to, że udało się przez ostatnie lata rządzącym odbudować zaufanie Polaków do struktury państwa. Wbrew ciąglemu bełkotowi totalnej opozycji o neonazizmie, faszyzmie, upadku i tym podobnych bredniach, Polacy, poza marginalnymi grupkami oszołomów z KOD-u bądź obywateli RP, wierzą w informacje, które przekazuje im władza. Co przy dzisiejszym zagrożeniu okazało się fundamentalne. Dzięki temu nie mamy do czynienia z patologiami, które dzieją się chociażby na Ukrainie. W pewien sposób Polska więc połączyła elementy pozytywne zarówno z Zachodu, jak i ze Wschodu (świadomość powagi sytuacji, samoorganizacja w sytuacjach kryzysu), przy braku problemów, które we wspomnianych regionach Europy wystąpiły. I widzimy już tego efekty. Dynamika zachorowań w Polsce jest niższa niż w większości państw Unii. Oby było tak dalej.

Oczywiście to, co napisałem powyżej, jest też formą myślenia życzeniowego, jak każda prognoza przyszłości przy bardzo zmiennej sytuacji. Bardzo wiele elementów, które będą miały kluczowe znaczenie w dynamice tej epidemii, jest wciąż nieznanych bądź może się w każdej chwili zmienić. Wirus może okazać się bardziej zjadliwy, bardziej odporny. Przy splocie niezależnych przypadków i dużym pechu mogą się pojawić niekontrolowane ogniska zakaźne. Nie jest tajemnicą, że żadna służba zdrowia na świecie nie była przygotowana na taki wymiar epidemii, w tym nasza, i nawet największy heroizm może nie wystarczyć. Że w pewnym momencie może nastąpić tak potężny kolaps gospodarki, że ludzie będą musieli rezygnować z kwarantanny. Może też okazać się, że nie będziemy w stanie skontrolować na przykład rzesz ludzkich, które w pewnym momencie zdecydują się uciekać z państw, które epidemia po prostu „zmiecie”. To oczywiście w większości apokaliptyczne wizje, wszystko wskazuje na to, że tak nie będzie... Z drugiej jednak strony niczego pewnym na sto procent być nie można. I właśnie dlatego tym bardziej powinniśmy dziś cieszyć się z tego, co mamy. Z tego, gdzie żyjemy. Z tego, jakie mamy państwo. Z tego, jakim jesteśmy narodem. I najważniejsze – wciąż „chuchać na zimne”. ■



Hanna Shen

Pekin boi się odpowiedzialności za pandemię



Zaraz po tym, jak Chiny ogłosiły, iż uporały się z epidemią COVID-19, rozpoczęły wojnę dezinformacyjną, która ma odwrócić naszą uwagę od tego, że to właśnie Pekin jest odpowiedzialny za rozprzestrzenienie się pandemii na cały świat.

Sygnałem dla świata, że Chiny poradziły sobie z epidemią COVID-19, miała być wizyta prezydenta Xi Jinpinga w epicentrum zakażeń w mieście Wuhan 10 marca tego roku. Tuż przed nią zlikwidowano 14 szpitali polowych, wysyłając w ten sposób informację, że pacjenci wyzdrowieli i nie ma potrzeby utrzymywać takich jednostek. Dodatkowo Pekin podtrzymał, że liczba zakażonych jest teraz minimalna, a przypadków lokalnych zarażeń już nie ma.

► O czym oficjalnie się nie mówi

Nie była to jednak prawda. W wypowiedzi dla japońskiej agencji Kyodo jeden z lekarzy z Wuhan, którego nazwiska nie ujawniono, stwierdził, że z powodu wizyty prezydenta Xi Jinpinga w mieście zaczęto fałszować dane. „Niektórzy pacjenci wykazujący objawy zakażenia zostali w tym okresie przedwcześnie zwolnieni z kwarantanny, a część testów na koronawirusa zawieszono” – powiedział lekarz. Duże grupy pacjentów ze zlikwidowanych szpitali polowych przeniesiono do 300 mniejszych tzw. stacji przekazyńkowych.

Jednocześnie chińscy internauci cały czas umieszczają w internecie filmiki pokazujące, że regularne szpitale są do tego stopnia obłożone zakażonymi wirusem COVID-19, iż nie przyjmują innych pacjentów. Na jednym z materiałów z połowy marca mężczyzna, który przybył karetką z chorym na serce ojcem pod szpital w Wuhan, tłumaczy strażnikowi, że nie chodzi

mu o to, by ojciec został w szpitalu, lecz by lekarz na ostrym dyżurze sprawdził, czy nie ma zagrożenia dla życia taty. Mężczyzna usłyszał, że szpital nie przyjmuje żadnych pacjentów, bo jest pełen chorych na koronawirusa, i że musi się udać karetką do innej placówki. Na to pacjent odpowiedział, że był już w trzech i wszędzie go odsyłano do innej jednostki.

Pracownicy krematoriów w Wuhan m.in. w wypowiedzi dla gazety „Epoch Times” mówią, że otrzymują ciała, przy których w dokumentacji jako powód śmierci podaje się niezidentyfikowane zapalenie płuc, co w rzeczywistości oznacza koronawirusa.

Dodatkowo Chiny zaatakowała druga fala zakażeń, których źródłem są Chińczycy przybyli z Europy albo USA. Oficjalne dane mówią o około 40–50 takich przypadkach dziennie w drugiej połowie marca. Jednak należy przypuszczać, że tak jak liczby dotyczące lokalnych zachorowań były od 5 do 10 razy zaniżane, tak samo jest w przypadku importowanych zarażeń.

Pekin jednak wysłał w świat informacje, że kontroluje sytuację. I tak próbuje uciec od odpowiedzialności.

► Kłamstwa, które doprowadziły do pandemii

Odpowiedzialność za rozprzestrzenienie się koronawirusa na cały świat leży po stronie chińskiej władzy, czyli partii komunistycznej i prezydenta Xi Jinpinga. Niczemu nie są tu winni zwykli Chińczycy, którzy są w rzeczywistości największymi ofiarami tej katastrofy.

Dzięki dziennikarzom hongkońskiej gazety „South China Morning Post”, którzy dotarli do odpowiedniego dokumentu wydanego przez władze prowincji Hubei, wiemy, że pierwszy przypadek zachorowania na COVID-19 odnotowano już 17 listopada. I nie mamy gwarancji, że to jest pacjent zero. Chińskie władze, i media pod ich kontrolą, tak naprawdę zaczęły alarmować samych Chińczyków i świat o gwałtownym wzroście liczby osób zakażonych po wystąpieniu prezydenta Xi Jinpinga 20 stycznia. Tak więc przez dwa miesiące (od połowy listopada do połowy stycznia) Pekin nie podjął żadnych działań, które zapobiegłyby pandemii. Co więcej, prześladował tych, którzy alarmowali, tzw. sygnalistów, że dzieje się coś niepokojącego. Taki los spotkał lekarza z Wuhan Li Wenlianga, który wraz z innymi siedmioma lekarzami jeszcze w grudniu ostrzegał przed epidemią groźnego wirusa wywołującego zapalenie płuc. Za to był dwukrotnie zatrzymywany i kazano mu podpisać dokument, w którym „przyznaje się”, że rozsiewał plotki i przyczyniał się do zakłócania porządku społecznego. Li wrócił potem do pracy do szpitala i zarażony przez pacjenta koronawirusem zmarł.

Włoska dziennikarka specjalizująca się w tematyce dotyczącej Azji Południowej, Francesca Marino, na swoim blogu napisała, że jej rodacy „są wściekli, ponieważ Chiny uciszyły sygnalistów, a teraz Włosi padają jak muchy”. Kobieta pisze o „zbrodniczej ciszy” ze strony Pekinu.

I właśnie takich głosów, które będą wskazywać na odpowiedzialność Chin za rozprzestrzenianie się pandemii na cały świat, Pekin boi się najbardziej.

Dziś już wiemy, że gdyby zamiast kłamstw i represji wobec mówiących prawdę o epidemii władze Chin właściwie zareagowały na początku grudnia, to pewnie udało by się ograniczyć epidemię do prowincji Hubei. Potwierdza to m.in. badanie naukowców z University of Southampton opublikowane 13 marca na medRxiv (witrynie internetowej, na której naukowcy mogą publikować nowe i jeszcze niezrecenzowane artykuły), a opisujące, jaki wpływ na ograniczenie epidemii miały niefarmakologiczne metody, w tym m.in. izolacja chorych, ograniczenia w podróży czy kordony sanitarne w Chinach.

Pekin zaczął działać poważnie w sprawie koronawirusa dopiero po 20 stycznia 2020 roku. Przytoczone badanie mówi, że gdyby ChRL wprowadziła podobne metody tydzień wcześniej, to byłoby o 66 proc. mniej przypadków zachorowań. Reakcja dwa tygodnie wcześniej oznaczać mogła aż o 86 proc. mniej przypadków, a trzy tygodnie – to 95 proc. mniej chorych na COVID-19.

► Zrzucanie winy

Najlepszą metodą uniknięcia odpowiedzialności jest zrzucenie winy na kogoś innego. Najpierw Chiny puściły w świat kłamstwo, że inne państwa reagowały za wolno i stąd epidemia rozwija się u nich w szalonym tempie. 23 lutego w artykule zatytułowanym „Niektóre kraje powoli reagują na wirusa” tuba propagandy KPCh „Global Times” napisała, że cztery kraje, w których nagle wybuchły przypadki COVID-19, tj. Japonia, Korea Południowa, Iran i Włochy, zbyt wolno reagowały, by powstrzymać rozprzestrzenianie się wirusa. W artykule wychwalany był też „ogromny system medyczny” Chin i lamentowano, że cztery wyżej wymienione kraje nie dysponują takimi zasobami jak chińskie państwo komunistyczne.

27 lutego Zhong Nanshan, szef Narodowej Komisji Zdrowia, stwierdził, że choć prawdą jest, iż epidemia koronawirusa wybuchła w Chinach, to niekoniecznie stamtąd ona pochodzi. Resztę dopowiedziała wspomniana już gazeta „Global Times”, sugerując, że wirusa do Państwa Środka przywieźli Amerykanie. Wskazano nawet, kiedy do tego doszło. COVID-19 przywieźli żołnierze USA biorący udział w Światowych

Grach Wojennych, które miały miejsce w ChRL w październiku. Wersję o amerykańskiej odpowiedzialności za podrzucenie wirusa Chinom powtarzali oprócz chińskich mediów także chińscy dyplomaci i politycy.

21 marca „Global Times” zaprezentował inne wyjaśnienie. W połowie marca dyrektor Instytutu Badań Farmakologicznych im. Mario Negri w Mediolanie Giuseppe Remuzzi w wywiadzie dla amerykańskiej stacji National Public Radio stwierdził, że w listopadzie w Europie pojawiły się bardzo dziwne przypadki zapalenia płuc. Remuzzi sugerował, że wirus mógł się rozprzestrzeniać, zanim go naprawdę odkryto, a więc nie zaprzeczał, iż wirus pochodzi z Chin. Tymczasem „Global Times” tak zinterpretował wypowiedź włoskiego eksperta, że konkluzja mogła być tylko jedna. Koronawirus był już we Włoszech, zanim pojawił się w Chinach, a więc to Włochy są odpowiedzialne za epidemię.

Kilka teorii wzajemnie się wykluczających na temat pochodzenia wirusa rozgłaszanych przez Chiny to chaos informacyjny. I nie jest on bezcelowy.

► Pekin czerpie z dorobku Moskwy

Laura Rosenberger, dyrektor Sojuszu na rzecz Bezpieczenia Demokracji w amerykańskiej Fundacji Marshalla, w wypowiedzi dla portalu Axios stwierdziła, że Chiny w kwestii manipulacji odeszły od metod stosowanych w przeszłości. Ekspertka uważa, że KPCh naśladuje działania, które są historycznie związane z rosyjską dezinformacją.

Rosenberger wskazuje na trzy główne taktyki zastosowane przez Pekin w kampanii wypuszczania wiadomości dotyczących COVID-19, które wyraźnie przypominają rosyjską strategię. Pierwsza to promowane „wielu sprzecznych teorii”. Druga to mocne wsparcie stron internetowych promujących teorie spiskowe, tak by propagowały te przekazy, które państwo chce rozwinąć. I wreszcie Chiny w skoordynowany sposób wykorzystują konta dyplomatów i ambasad na Twitterze oraz media państwowe w celu wsparcia tych teorii.

Według Camille Francois, specjalistki firmy Graphika ds. wojen cybernetycznych, chińska propaganda nie jest pierwszym przypadkiem, kiedy to podmiot państwowy koncentruje się na chorobach, aby realizować swoje cele. „Rosja posiada długą tradycję wykorzystywania chorób w swojej dezinformacyjnej narracji. To nie jest coś nowego. Widzieliśmy, jak wykorzystuje dezinformację wokół AIDS, malarii czy gorączki denga. Należy pamiętać, że światowe problemy są wylęgarnią operacji informacyjnych. Większość podmiotów państwowych prowadzi tego typu działania w celu wprowadzenia chaosu, umacniania po-

działów w społeczeństwie i jego osłabienia” – powiedział Francois w wypowiedzi dla portalu informacyjnego o cyberbezpieczeństwie – CyberScoop.

► To nie jest pomoc

Plan KPCh jest bardzo precyzyjny. Ma on nas przekonać, że Chiny poradziły sobie z wirusem i nie są za niego odpowiedzialne, a nawet mogą nam pomóc w walce z nim.

Obecne wsparcie Chińskiej Republiki Ludowej dla państw europejskich to jednak żadna pomoc. Gdyby Chiny naprawdę chciały wspomóc, zamiast kłamliwej propagandy i represji wobec mówiących prawdę o epidemii, alarmowałyby inne kraje w sprawie rozprzestrzeniania się niebezpiecznego wirusa. Przyjęłyby także pomoc oferowaną m.in. przez USA. Gdyby tak postąpiły, pewnie udałoby się ograniczyć skalę zarażeń. A tak na całym świecie mamy pandemię.

Dziś w większości przypadków wszystkie państwa muszą ponosić wysokie koszty rzekomej pomocy ze strony Chin. Dodatkowo widzimy, że Państwo Środka zaopatruje nas często w materiały ochrony medycznej o bardzo słabej jakości. I tak na przykład Czechy, Hiszpania i Turcja alarmują, że chińskie testy na obecność koronawirusa mają bardzo wysoki margines błędów, na poziomie 80 proc.

Ale jest jeszcze dodatkowa cena, z której teraz nie zdajemy sobie sprawy. Chińskie przysłowie mówi: „Toutao baoli”, czyli dawać śliwki w zamian za brzoskwinie. Dziś KPCh oferuje nam śliwki w postaci m.in. masek, ale jednocześnie Xi Jinping ma dobrze przygotowany plan, jak i kiedy za rzekomą pomoc w czasach zarazy upomnieć się o brzoskwinie.

Jest to plan większego uzależnienia politycznego i gospodarczego od Pekinu. Aby do tego nie doszło, państwa, które ucierpiały w wyniku COVID-19, powinny pociągnąć Pekin do odpowiedzialności za to, że wirus do nich dotarł, zniszczył życie i zdrowie wielu ludzi, a także dokonał szkód w gospodarce.

Takie kroki już są podejmowane na świecie. Na stronie Białego Domu powstała petycja wzywająca Donalda Trumpa do pociągnięcia Chin do odpowiedzialności za COVID-19. „Pandemia koronawirusa rozprzestrzeniła się na cały świat z powodu oszustwa i zaprzeczania faktom przez komunistyczny rząd Chin. [...] Amerykański doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Robert O'Brien miał rację, mówiąc, że ukrywanie informacji o wirusie przez Chiny »kosztowało społeczność światową dwa miesiące«. Komunistyczny rząd Chin musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności za ukrywanie wybuchu epidemii i za zbliżającą się globalną recesję” – mówi petycja. ■



EGZAMIN Z ODPOWIEDZIALNOŚCI

Małgorzata Matuszak





„Nigdy, w najciemniejszych koszmarach, nie wyobrażałem sobie, że mogę zobaczyć i doświadczyć tego, co dzieje się tutaj w naszym szpitalu od trzech tygodni. Koszmar płynie, rzeka staje się coraz większa. Na początku było trochę, potem dziesiątki, a potem setki [chorych], a teraz nie jesteśmy już lekarzami tylko sortownikami na taśmie, którzy decydują, kto ma żyć, a kogo należy odesłać do domu na śmierć” – opisywał włoski lekarz codzienność w jednym ze szpitali we włoskiej Lombardii, rejonie szczególnie dotkniętym epidemią koronawirusa. Bądźmy odpowiedzialni – tylko tak mamy szansę uniknąć włoskiego scenariusza w Polsce.

fot. SERGIO PESCI/PAP/VEA

Nikt się tego nie spodziewał. Terminy „epidemia” czy „pandemia” kojarzyły się nam z katastroficznymi filmami albo sytuacjami, które miały miejsce już dawno, a my ich po prostu nie pamiętamy. Tymczasem – stało się. Pandemia koronawirusa coraz mocniej wpływa na nasze życie. Wielu Polaków, podobnie zresztą jak mieszkańców innych krajów, podjęło decyzję – własną albo wymuszoną – pozostawania w domach. Większość z nas odczuwa lęk, niepewność i bezradność. Czujemy, bardziej lub mniej, że nasz wpływ na to, co będzie, zmalał, że coraz mniej rzeczy zależy od nas. Z drugiej strony musimy zdawać sobie sprawę, że w tej sytuacji tym bardziej ciąży na nas odpowiedzialność za to, na co wpływ mamy.

► #zostanwdomu

Akcje „Zostań w domu” czy „Siedź w domu” to odpowiedź Polaków na zalecenia władz i służb sanitarnych, którzy apelują, by nie wychodzić bez potrzeby i ograniczać kontakty z innymi ludźmi. To była mądra i jedyna słuszna decyzja rządzących naszym krajem, z którą zgadza się zdecydowana większość Polaków. Dobrze oceniamy ograniczenia wprowadzone przez władze i jesteśmy w stanie zaakceptować kolejne, jak wynika z ankiety przeprowadzonej przez United Surveys na zlecenie „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM.

Nie wszyscy jednak stosują się do zaleceń. Na portalach internetowych spotkać można, pod artykułami dotyczącymi obecnej sytuacji w kraju i na świecie, komentarze typu: „Ludzie, opanujcie się!!! Pozamykali was w mieszkaniach, a wy się z tego cieszyacie!!! Manipulują wami, jak chcą, a wy im bijecie brawo!!! Ludzie, co się z wami stało???”. Autorzy tych słów nie zdają sobie sprawy, że w tej chwili najważniejsze jest działanie na poziomie jednostki, czyli to, by każdy z nas zachowywał się odpowiedzialnie, by stosował się do zaleceń.

Niektórzy bagatelizują problem, są zwolennikami „budowania odporności stadnej”, apelują więc w swych komentarzach na przykład w taki sposób: „Trzeba odejść od tej paranoi, znieść stan epidemii, wrócić do normalności, wyjść z domu i pozwolić firmom działać. Niech starsi uważają, a reszta do roboty. Trudno, że trochę ludzi umrze. W wypadkach drogowych i tak zginie więcej, a nikt dróg nie zamyka”. To prawda, ludzie umierają – w wypadkach, albo są chorzy, bo ich ziemski żywot w naturalny sposób dobiegł końca. Jeśli jednak ktoś nie zdaje sobie sprawy z niebez-

pieczeństwa i konsekwencji, które wypływają z takiego podejścia do problemu, ten wykazuje się niezrozumieniem tego, że w warunkach nieograniczonego wzrostu epidemia ta w krótkim czasie może dotknąć miliony ludzi, którym w wielu przypadkach nie można będzie pomóc. Wprowadzając środki dystansu społecznego, można radykalnie spowolnić jej narastanie, tym samym ocalić wiele istnień ludzkich. Chyba że komuś nie zależy na życiu ludzi starszych, chorujących przewlekłe, słabszych... Niekiedy taka postawa wpływa z tego, że dopóki nie doświadczymy nieszczęścia choroby sami albo kogoś z bliskich czy znajomych, dopóki jesteśmy przekonani, że dotyczy to innych, a nie nas, dopóty nie zrozumiemy powagi pewnych sytuacji

To prawda, że w większości przypadków choroba ma lekki przebieg. Najciężej COVID-19 przechodzą osoby starsze i chorujące przewlekłe na inne choroby, jednak nawet zdrowi i silni mogą ulec wirusowi. Na Twitterze ukazał się wpis Głównego Inspektora Sanitarnego, w którym podano, iż blisko 25 proc. zakażeń koronawirusem w Polsce dotyczy osób poniżej 30. roku życia. Dlatego GIS zaapelował do młodych ludzi, przestrzegając ich przed narażaniem życia i zdrowia: „Zastanów się, czy NAPRAWDĘ musisz wyjść z domu? Nie narażaj zdrowia i życia swojego i swoich bliskich. Nie lekceważ zagrożenia”. Jeśli nawet chorobę przechodzi się lekko, można zarazić nią kogoś, kto nie będzie w stanie sobie z nią poradzić.

► To takie trudne?

Nie tylko młodzi ludzie mają problem z ograniczeniem kontaktów międzyludzkich. Koronawirus zmienia naszą rzeczywistość, nie każdy jednak umie w tej zmienionej się odnaleźć. Nasze życie straciło swój rytm, zostaliśmy wyrwani z codziennych rytuałów. Utrata wolności osobistej związana z izolacją i kwarantanną często może być dla niektórych frustrująca, a u wielu z nas pojawiają się pustka lub strach o pracę i środki do życia. To ostatnie jest zupełnie normalne, wszak wielu z nas może stracić pracę i popaść w finansowe tarapaty. Tym bardziej że prognozy gospodarcze nie napawają optymizmem.

Ludzie mają problem z ograniczaniem kontaktów towarzyskich także dlatego, że zatarli poczucie bliskości z tymi, z którymi powinni być najbliżsi. Na co dzień. Oddalili się od siebie nawzajem i od siebie samych, dlatego tak trudno być im z bliskimi i z samymi sobą. Czasami okazuje się, że rodzina nagle zmuszona do tego, by przebywać dłu-

żej razem, w jednym miejscu i czasie, razem być nie potrafi. Rodzą się kłótnie, wybuchają awantury, może zaistnieć przemoc. Christophe Castaner, minister spraw wewnętrznych Francji, poinformował, iż tamtejsza policja w tygodniu po wprowadzeniu administracyjnego nakazu pozostawania w domu odnotowała 32-procentowy wzrost liczby przypadków interwencji w związku z przemocą domową.

Ważne, by tego czasu ograniczonych kontaktów społecznych nie traktować jako kary, lecz pewnego rodzaju szansę na przemyślenie własnego życia, tego, co naprawdę w nim ważne. Jako coś, co robi się także dla innych. I by nie poddawać się panice czy histerii. Wyszliśmy ze strefy komfortu, ale musimy sobie jakoś z tym poradzić. Na pewne rzeczy wpływu nie mamy, musimy to sobie z całą bezwzględnością tego faktu uświadomić. Może zbyt przyzwyczailiśmy się do tego, co przewidywalne, do poczucia, że wszystko jest pod naszą kontrolą? To trudne, bo też sytuacja jest trudna. Nie wiemy, co będzie dalej, jak wszystko się potoczy. Jednego z pewnością robić nie powinniśmy – lekceważyć tej sytuacji. Winniśmy starać się, by działanie koronawirusa jak najbardziej ograniczyć – stosować się do wytycznych naszych władz, w przypadku zaś, gdy zaczniemy podejrzewać u siebie chorobę lub jej możliwość, dołożyć wszelkich starań, by „nie być roztargnionym”. Jak powiedział wszak Jean Tarrou w „Dżumie”: „Mikrob jest czymś naturalnym. Reszta [...] to skutek woli, która nie powinna nigdy ustawać. [...] człowiek, który nie zaraża [...], to człowiek możliwie najmniej roztargniony. A trzeba woli i wysiłku, żeby nie ulec roztargnieniu”.

► Bohaterowie niecodziennej codzienności

Pracownicy służby zdrowia, policjanci, ratownicy, ludzie pracujący w handlu robią wszystko, żeby pomóc nam w tej trudnej codzienności. Należy im się nasza pomoc i wsparcie. Oni są jakby na pierwszej linii frontu na wojnie, w której przeciwnik jest niewidoczny i atakuje na oślep. Mamy wpływ na dalszy rozwój sytuacji, na to, co się wydarzy. Jest bowiem jedna podstawowa rzecz, którą możemy zrobić – stosować się do zaleceń i zostać w domu, mimo narastającej w nas frustracji. Jesteśmy to także winni tym, którzy dla nas się narażają.

Niestety, wciąż wiele osób zataja przed medykami informacje, że mogli mieć kontakt z kimś zakażonym koronawirusem lub że wrócili niedawno do kraju i przebywają w kwarantannie domowej.

Jeśli ta informacja „wypłylnie” dopiero później, już po kontakcie z lekarzem czy pielęgniarką, kwarantannie i badaniu na obecność wirusa musi być poddany cały personel, który kontaktował się z pacjentem. To z kolei sprawia, że osoby z personelu medycznego zostają wyłączone z pracy. Wyobraźmy sobie wiele takich sytuacji. Kto będzie leczył? I przecież nie chodzi tu tylko o osoby zarażone SARS-CoV-2, lecz także o innych podupadłych na zdrowiu, epidemia nie sprawiła wszak, że przestały nas dręczyć inne choroby. Z powodu epidemii wielu pacjentów chorych przewlekłe zostało wypisanych do domu. Im też trzeba pomóc, przecież nadal potrzebują opieki medycznej, pielęgniarki, a lekarze muszą do ich domów dotrzeć osobiście. Nie wszystko można wykonać za pomocą teleporady.

Wiele osób z personelu medycznego zaraziło się

czyż tego, co dzieje się tutaj w naszym szpitalu od trzech tygodni. Koszmar płynie, rzeka staje się coraz większa. Na początku było trochę, potem dziesiątki, a potem setki, teraz nie jesteśmy już lekarzami, tylko sortownikami na taśmie, którzy decydują, kto ma żyć, a kogo należy odesłać do domu na śmierć, nawet jeśli ci wszyscy ludzie płacili podatki we Włoszech.

Jeszcze dwa tygodnie temu ja i moi koledzy byliśmy ateistami. Jesteśmy lekarzami i normalne było dla nas, że nauka wyklucza obecność Boga. Ja zawsze śmiałem się z rodziców chodzących do kościoła.

Dziewięć dni temu przyszedł do nas 75-letni duchowny, miał poważne problemy z oddychaniem. Był miłym człowiekiem. Miał przy sobie Biblię, którą czytał umierającym i trzymał ich za ręce. Wszy-

WAŻNE, BY TEGO CZASU OGRANICZONYCH KONTAKTÓW SPOŁECZNYCH NIE TRAKTOWAĆ JAKO KARY, LECZ PEWNEGO RODZAJU SZANSĘ NA PRZEMYŚLENIE WŁASNEGO ŻYCIA, CO NAPRAWDĘ W NIM WAŻNE. JAKO COŚ, CO ROBI SIĘ TAKŻE DLA INNYCH. I BY NIE PODDAWAĆ SIĘ PANICE CZY HISTERII.

koronawirusem. Wszyscy pracują w stresie, w niepewności, często ponad siły. Nie wszyscy potrafią sobie z tym poradzić. Jedna z włoskich pielęgniarek, Daniela Trezzi, która pracowała w szpitalu w Lombardii, po otrzymaniu pozytywnego wyniku testu na obecność koronawirusa popełniła samobójstwo. Jej rozpacz spotęgowana była świadomością, że mogła zarazić inne osoby, z którymi miała kontakt – pacjentów, medyków. Tydzień wcześniej taka sytuacja miała miejsce w Wenecji, z tych samych przyczyn. Pielęgniarki i lekarze, zwłaszcza w rejonach najbardziej dotkniętych pandemią, pracują dziś jak żołnierze podczas wojny, w związku z czym jeśli nie otrzymają odpowiedniego wsparcia, poziom stresu, którego doświadczają, może doprowadzić wręcz w przyszłości do zespołu stresu pourazowego.

► Poruszające świadectwo

Wielu w tej sytuacji pyta: gdzie jest Bóg? Dlaczego go na to pozwala? Może da im do myślenia ten poruszający wpis na Facebooku „True Love in Jesus”, umieszczony przez Iuliana Urbana, 38-letniego lekarza z Lombardii:

„Nigdy, w najciemniejszych koszmarach, nie wyobrażałem sobie, że mogę zobaczyć i doświad-

scy byliśmy zmęczeni, zniechęceni, psychicznie i fizycznie, jednak kiedy tylko mieliśmy czas, to szliśmy go posłuchać.

Teraz musimy przyznać, że my, jako ludzie, sięgnęliśmy naszych granic i nic więcej nie możemy zrobić, a z każdym dniem umiera coraz więcej osób. Moich dwóch kolegów zginęło, wielu jest zarażonych. Uświadomiliśmy sobie, że tam, gdzie człowiek nie może już nic zrobić, potrzebujemy Boga, i zaczęliśmy prosić Go o pomoc, kiedy tylko mamy kilka wolnych minut. Rozmawiamy ze sobą i nie możemy uwierzyć, że jako ateści teraz każdego dnia prosimy Pana, aby pomógł nam opiekować się chorymi. [...]

6 dni nie było mnie w domu, nie wiem, kiedy ostatnio jadłem. Zdaję sobie sprawę z mojej bezwartościowości na tej ziemi i chcę poświęcić swój ostatni oddech na pomoc innym. Cieszę się, że wróciłem do Boga teraz, gdy otacza mnie cierpienie i śmierć moich bliskich”.

To piękne świadectwo. I przerażające jednocześnie. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by nie dopuścić do takiej sytuacji, w której trzeba będzie podejmować decyzje, kogo podpiąć pod respirator. Kogo leczyć, a komu pozwolić po prostu umrzeć. Bądźmy odpowiedzialni. ■



Tomasz P. Terlikowski



ZUPEŁNIE NOWA WOJNA

Kryzys, wywołany zatrzymaniem świata przez koronawirusa, wymaga zupełnie nowych sposobów jego przezwyciężenia. Jeśli ktoś myśli, że świat po pandemii będzie taki sam, że wszystko szybko wróci do normy, to wydaje się wyjątkowo naiwny.

Generałowie przygotowują się do tych wojen, które już się odbyły, a wygrywają je ci, którzy przeprowadzili je w zupełnie nowy sposób. Ta stara militarna prawda doskonale odnosi się do polityków. Gigantyczny kryzys, jaki wywoła koronawirus, będzie wymagał zupełnie nowych środków zaradczych, innej polityki i odmiennie wyakcentowanego życia gospodarczego. I ci politycy, którzy najszybciej to rozumieją, mają największe szanse, żeby nie tylko przetrwać w polityce, lecz także skutecznie odpowiedzieć na to, co będzie się działo nie tyle w najbliższych tygodniach, ile w najbliższych miesiącach, a może nawet latach. I nie jest to przesada, obecny kryzys w niczym nie przypomina bowiem tego, co do tej pory przeżyliśmy gospodarczo i społecznie.

► Zatrzymany świat, zatrzymana gospodarka

Aby to zrozumieć, trzeba na moment zatrzymać się nad tym, co obecnie rzeczywiście się dzieje. Społeczna kwarantanna, która obejmuje kolejne kraje (w Polsce wcale nie jest najsurowsza ani najbardziej restrykcyjna, by przypomnieć tylko izraelskie rozwiązanie, zgodnie z którym nie wolno poruszać się w odległości większej niż 100 metrów od domu), a także coraz bardziej paraliżujący strach doprowadziły do tego, że w wielu krajach gospodarka w istocie stanęła, miliony ludzi już straciły środki do życia, potężne branże, dzięki którym utrzymywały się przy życiu dziesiątki milionów osób, szybko się nie odrodzą, a to oznacza, że kolejni będą tracić pracę i środki do życia. Ilu ich będzie? Trudno na razie oszacować, ale jeśli pandemia potrwa do czerwca, a potem odrodzi się w październiku-listopadzie, to będą to liczby ogromne. Niewyobrażalne. Jakby tego było mało, zerwane (już) zostały w wielu gałęziach przemysłu łańcuchy dostaw, co oznacza – w dalszej perspektywie – możliwe ograniczenie gospodarczej globalizacji i... podniesienie cen. Te zimne dane oznaczają zaś, że... setki milionów, a może więcej ludzi na świecie straci środki do życia.

W efekcie tego gospodarka zatrzyma się jeszcze bardziej (bo nie będzie miał kto i za co kupować usług i produktów), ale także ludzie nie będą mieli jasnego celu i zaczęną pogrążyć się w depresji. Upadłych systemów zdrowotnych (a we Włoszech czy Hiszpanii one już w istocie upadły, oby nie stało się to w Polsce) wcale nie będzie łatwo odbudować, o zaufaniu do nich nie wspominając. I wreszcie relacje społeczne, które zostały naruszone przez nieustanne powtarzanie (zrozumiałe w czasach pandemii, ale wcale niełatwe później do odwrócenia), że drugi człowiek jest dla nas zagrożeniem. Relacje społeczne się

zmieniają, chociaż dziś trudno ocenić, jak. I wreszcie kwestia ostatnia – postępująca radykalizacja mas sfrustrowanych nieoczekiwaną zmianą. To, co się wydarzy, wyprowadzi ludzi z równowagi (stracili naprawdę wiele), wtrąci ich w ręce populistów, i to nie tych, przed którymi nieustannie ostrzegają media, lecz prawdziwych. „Wielki kryzys” lat 30. pomógł zdobyć i zachować władzę nie tylko Hitlerowi, ale także innym, mniejszym satrapom. Potencjał rewolucyjny może się pojawić naprawdę łatwo.

► Bezwarunkowy dochód osobisty

Wszystko, o czym piszę, nie jest jakąś pesymistyczną wizją, lecz realnym i potwierdzanym przez ekspertów scenariuszem, na który trzeba się przygotowywać. Kłopot polega tylko na tym, że świat nigdy dotąd nie przerabiał takiego scenariusza. I choć można się spierać, czy „zamknięcie świata”, jego zatrzymanie było rzeczywiście konieczne, czy politycy nie ulegli panice i zbiorowej histerii, to teraz jest już za późno, by rozważać inne scenariusze zachowania. Nacisk społeczny i medialny był na tyle silny, że – jak pokazuje przykład Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych – nie sposób było mu się na dłuższą metę oprzeć. To jednak oznacza, że podobny kryzys ogarnie niemalą część świata (być może z wyjątkiem Dalekiego Wschodu, co tylko wzmocni pozycję Chin).

W takiej sytuacji „tarcze kryzysowe” – choć są niezbędne i dobrze, że się je wprowadza – jednak nie wystarczą. Weźmy prosty przykład: turystyka. Jak długo można trzymać ludzi na etatach (nawet wspomaganych przez państwo), jeśli nie ma się realnej perspektywy powrotu, choćby częściowego, ruchu turystycznego? Ile czasu można utrzymywać restauracje czy punkty usługowe, jeśli nie ma nadziei na normalność? Jeśli pandemia trwałaby trzy miesiące, to pakiety antykryzysowe proponowane przez wiele państw zapewne by wystarczyły. Ale jeśli raczej mają ci epidemiolodzy, którzy sugerują, że wszystko może potrwać, z krótką – ale wcale niekonieczną – przerwą w okresie wakacji, jeszcze półtora roku, a nawet dwa lata – to sytuacja diametralnie się zmienia. Coś trzeba bowiem zrobić, żeby milionom ludzi bez środków do życia pozwolić przeżyć ten czas, i żeby ta pomoc oraz bankowe długi nie dobiły gospodarki do końca.

Redystrybucja środków, i to masowa, będzie w tym czasie niezbędna. Jak jej dokonać? Wydaje się, że rozsądnym rozwiązaniem będzie jakaś forma czasowej „pensji obywatelskiej”, czy może lepiej – bezwarunkowego dochodu podstawowego. W największym skrócie: państwo – przynajmniej

na czas głębokiego kryzysu – wypłacałoby każdemu obywatelowi niewielką, ale stałą pensję (rentę), która pozwoliłaby mu przetrwać najgorszy czas. Pytaniem kluczowym jest oczywiście, skąd wziąć na to środki, ale... może się okazać, że nie będzie innego wyjścia, jeśli chcemy utrzymać gospodarkę w ruchu (i to nie tylko tę zależną od „narodowej kwarantanny”). 500 plus pokazało, że pieniądze wpuszczone w gospodarkę przynoszą efekty. Trzeba mieć jednak świadomość, że raz przyznane uprawnienia mają tendencję do pozostawania na stałe.

Wiem, że dla wielu to postulat skrajnie lewicowy, ale... warto zdać sobie sprawę, że zgłaszali go także najpoważniejsi teoretycy liberalizmu i neoli-

beralizmu, czyli Milton Friedman i Friedrich von Hayek. Friedman przekonywał, że takie rozwiązanie ogranicza biurokrację związaną z pomocą społeczną, umożliwia lepsze działanie rynku, pozwala bowiem każdemu „głosować swoimi pieniędzmi”, wreszcie uwalnia energię konieczną do wykonywania prac charytatywnych. Hayek uzupełniał, że taki dochód nie tylko chroni ład społeczny, ale także pozwala ludziom na życie w zgodzie ze swoim światopoglądem, a nie tym narzucanym przez państwo (czy – warto to dziś dodać – globalne korporacje). Jego zdaniem tego typu rozwiązanie pozwala także ludziom zaopiekować się dziećmi lub osobami starszymi, zamiast wykonywać niskopłatną i nierozwojową pracę.

jest w domach seniora i domach opieki. Takie ośrodki to nic złego, ale jeśli martwych pacjentów odkrywa się po kilku dniach, to... trudno nie zadać pytania, gdzie były ich dzieci? Dlaczego nikt o nich nie pytał? Apele o troskę, o jak najdłuższe życie seniorów, można zestawiać z eutanazyjnym prawem, jeszcze całkiem niedawno wprowadzanym w kolejnych krajach. Trudno nie spytać: jak pogodzić obie te rzeczy – rzekomą troskę o życie starszych i... zgodę na ich eutanazję? Solidarność międzypokoleniowa znaczy przecież także to, że osoby starsze, nasi seniorzy pozostają z nami, a nie są wysyłani do ośrodków. W swoich domach mają o wiele większe szanse nie tylko na dłuższe, lecz także bardziej godne życie.

TAM, GDZIE NIE MA DZIECI, GDZIE WIELODZIENTNOŚĆ NIE JEST MODELEM, SYPIE SIĘ
ZARÓWNO SYSTEM EMERYTALNY, JAK I ELEMENTARNA SOLIDARNOŚĆ MIĘDZY POKOLENIAMI.
I TO NIE Z WINY DZIECI, LECZ RODZICÓW.

beralizmu, czyli Milton Friedman i Friedrich von Hayek. Friedman przekonywał, że takie rozwiązanie ogranicza biurokrację związaną z pomocą społeczną, umożliwia lepsze działanie rynku, pozwala bowiem każdemu „głosować swoimi pieniędzmi”, wreszcie uwalnia energię konieczną do wykonywania prac charytatywnych. Hayek uzupełniał, że taki dochód nie tylko chroni ład społeczny, ale także pozwala ludziom na życie w zgodzie ze swoim światopoglądem, a nie tym narzucanym przez państwo (czy – warto to dziś dodać – globalne korporacje). Jego zdaniem tego typu rozwiązanie pozwala także ludziom zaopiekować się dziećmi lub osobami starszymi, zamiast wykonywać niskopłatną i nierozwojową pracę.

► Społeczeństwo bardziej solidarne

Ale jest jeszcze jedna rzecz, o której nie wolno zapominać. W debacie publicznej, w publicznych apelach pojawiło się bardzo mocne wezwanie do solidarności międzypokoleniowej. I dobrze, że tak się stało. Ale jednocześnie płyną doniesienia – na przykład z Hiszpanii, choć nie tylko – że najwięcej ofiar, i to często takich, których długo nie wykryto,

Solidarność międzypokoleniowa oznacza jednak również... dzietność. Tam, gdzie nie ma dzieci, gdzie wielodzietność nie jest modelem, sypie się zarówno system emerytalny, jak i elementarna solidarność między pokoleniami. I to nie z winy dzieci, lecz rodziców. To oni wprowadzają pierwszy element niesprawiedliwości i braku solidarności. Sami bowiem wychowują jedno dziecko, a chcą, by to jedno dziecko zajmowało się potem dwojgiem rodziców. Trudno przy takim modelu zachować solidarność czy funkcjonowanie systemów emerytalnych albo społecznych. Wspomaganie dzietności to zatem na dłuższą metę wspieranie systemów opieki zdrowotnej, pomocy społecznej i gospodarki.

Ala żeby wielodzietność była opłacalna, znowu wracamy do „bezwartunkowego dochodu podstawowego”. Trzeba ludziom dać wybór: czy chcą pracować w domu dla swoich dzieci, dla swojej i państwa przyszłości, czy wybierają inny model rozwoju? W tej chwili wyboru nie ma, ale wiele wskazuje na to, że potężny kryzys, jaki nas czeka, może to zmienić. Inna sprawa, że aby tak było, konieczne jest, by politycy i ekonomiści zobaczyli, iż są na zupełnie nowej wojnie i jej wygranie wymaga nowych metod. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... Pascha

Pascha, słowo używane często w liturgii, bywa rozmaicie interpretowane, co związane jest z trudnościami translacyjnymi i etymologicznymi hebrajskiego słowa „Pesach”, które tłumaczmy właśnie jako „Pascha”. Ze względu na czasownik „pasach”, od którego pochodzi rzeczownik „Pesach”, można słowo to tłumaczyć jako „ocalenie wskutek szybkiego przejścia, przeskoczenia (ominięcia)”. Na taką interpretację kładzie nacisk tradycja żydowska, pojmując „Pesach” jako „przejście”, prawdopodobnie w sensie „ominięcia”. Z analizy tekstów, w których rzeczownik ten występuje, wynika też, że słowo to ma również inne znaczenie – terminem „Pesach” określa się obrzęd ofiarny, uregulowany przepisami, podczas którego spożywano zabitego baranka, przy czym główną treścią tego słowa jest sam baranek, zabity i spożyty. W najtrafniejszy zaś – dla chrześcijan – sposób sens terminu „Pascha” wyraził św. Paweł w 1. Liście do Koryntian: „Jako nasza Pascha ofiarowany został Chrystus” (1 Kor. 5,7).

„Pascha” przypomina nam zatem, po pierwsze, historyczne, rzytkowne „przejście” ludu żydowskiego pod wodzą Mojżesza, od niewoli w Egipcie do wolności Narodu wybranego przez Boga, przejście najpierw anioła zagłady w Egipcie, potem Izraelitów przez Morze Czerwone. Po drugie oznacza ofiarę – baranka zabitego przez Żydów przed Wyjściem i zabijanego potem co roku na wieczystą pamiątkę tego „przejścia”. Określa również, po trzecie, samego Jezusa, Mesjasza, prawdziwego Baranka, którego ofiara uwolniła ludzkość z ucisku grzechu i zakończyła „przejście” od Starego do Nowego Testamentu. Pascha oznacza wreszcie przejście Jezusa ze śmierci do nowego życia, przejście przez mękę i śmierć krzyżową do zmartwychwstania. Pascha to chwalebne zmartwychwstanie Chrystusa trzeciego dnia po Jego śmierci na krzyżu. Dlatego Pascha nazywa się Wielkanoc w języku łacińskim czy w językach romańskich, w języku rosyjskim, greckim i innych.

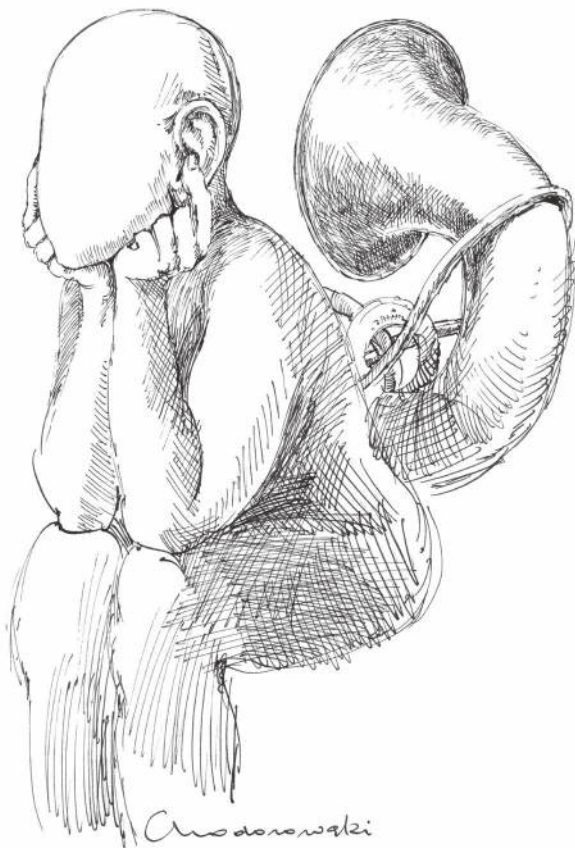
Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielka Sobota tworzą święte Triduum Paschalne, podczas którego celebrujemy misterium paschalne Jezusa Chrystusa: Jego mękę, śmierć i zmartwychwstanie. Sama nazwa „triduum” pochodzi od łacińskiego wyrażenia „tres dies”, czyli właśnie „trzy dni”. Ich zwieńczeniem jest Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego, która po-

twierdza, że Bóg, który wskrzesił Jezusa z martwych, jest Panem życia. Chrystus, „zwycięzca śmierci, piekła i szatana”, stał się naszą Paschą, naszym Przejściem ze śmierci do życia, także więc z ciemności do światła, z grzechu do łaski, z rozpacz do nadziei. Nigdy odwrotnie. Dlatego cała duchowość chrześcijańska jest paschalna, gdyż powołaniem chrześcijanina jest powołanie do przejścia: od grzechu do miłości, od śmierci do życia, od starego człowieka do nowego, od życia doczesnego do wiecznego. I taka postawa

WIELKANOCNE ŚWIĘTA W WYJĄTKOWY,
SZCZEGÓLNY SPOSÓB PRZYBLIŻAJĄ
NAS DO NAJWIĘKSZYCH TAJEMNIC
NASZEJ WIARY, DO TAJEMNICY ŚMIERCI
I ZMARTWYCHWSTANIA JEZUSA CHRYSTUSA.

winna być owocem świąt wielkanocnych, szczególnie w tym trudnym dla nas wszystkich czasie.

Tegoroczna Wielkanoc nie będzie taka jak zwykle. Jest to jednak, bez względu na wszystko, czas otuchy i nadziei. Zwłaszcza teraz, gdy najbardziej ich wszyscy pragniemy. Wielkanocne święta w wyjątkowy, szczególny sposób przybliżają nas do największych tajemnic naszej wiary, do tajemnicy Śmierci i Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Bo przecież gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, nasza wiara byłaby próżna, a nauczanie daremne, jak pisał św. Paweł (1 Kor 15,14). Wielkanoc przypomina nam, kim naprawdę jesteśmy, co oznacza bycie człowiekiem wierzącym i ochrzczonym. W tym roku niezwykle ważne jest to, by dokonało się w nas nie tylko przejście nadprzyrodzone, lecz także ludzkie, którego doświadczyć może każdy z nas. Przejście zatem od wielkopiątkowej śmierci Jezusa na krzyżu do pełnych radości słów: „Chrystus zmartwychwstał! Alleluja!” wielkanocnego poranka i przejście od smutku do radości, od pesymizmu do optymizmu, od rozpacz do nadziei, od niepewności do lepszego, szczęśliwego jutra. Bardzo potrzebujemy tego, by zmartwychwstały Chrystus stał się światłem w naszej trudnej rzeczywistości. ■



Jakub Augustyn Maciejewski



NA TROPIE TRZECIEGO TOTALITARYZMU

Po śmierci Rogera Scrutona nasz stary świat, z jednej strony podgryzany przez kunktatorskich liberałów, z drugiej bity przez oszalałą lewicę, stracił kolejny wielki intelektualny filar. Tym bardziej powinniśmy doceniać inne konserwatywne, chrześcijańskie umysły, które jeszcze bronią tradycyjnych wartości. Chantal Delsol jest jedną z takich postaci.

Choć jako chrześcijanka jest zaangażowana w ratowanie normalnego społeczeństwa przed fanatycznymi ideologiami, to jednak udaje jej się zachować dwie rzeczy. Po pierwsze – nie wypadła z mainstreamu, jest cytowana, szanowana, ma własną rubrykę w „Le Figaro”, a prasa – nie tylko francuska – zabiega o wywiady z nią. Bo być konserwatystą to jeszcze nie wszystko – dziś sztuką pravicowców jest nie dać zepchnąć się do katakumb, nie pozwolić sobie przypiąć etykiety szaleńca, nie dać się zmarginalizować i zamknąć w salkach parafialnych, które jeszcze pozwalają głosić zgodne z nauką Kościoła poglądy. Po drugie – choć zaangażowana ideowo i krytykująca ponowoczesność, używa argumentów racjonalnych, korzysta z tej myśli św. Tomasza z Akwinu, która pozwala czystej logice i faktom dochodzić do prawdy.

► Dlaczego ateizmu nie ma w pogaństwie

Gdy na przykład potępia aborcję, eutanazję i małżeństwa homoseksualne, rozgranicza ideowe zaplecze tych zjawisk. W wywiadzie dla „National Catholic Register” francuska filozof stwierdziła, że aborcja i eutanazja mają korzenie pogańskie, zaś małżeństwa homoseksualne to już wynalazek nihilizmu. Intelktualistka wskazuje, że dwa pierwsze zjawiska występowały w wielu kulturach pogańskich, przerywanie ciąży i zabijanie starszych były obecne w surowych kulturach niechrześcijańskich, zaś homoseksualne związki to nowość. W takich momentach podnoszą się sprzeczki hunwejbiniów LGBT, że przecież związki gejowskie istniały od zawsze. Rzadko kiedy dostrzega się fakt, że wszyscy pederasty – jak sami siebie nazywali – romansowali z młodymi mężczyznami, ale nie zawierali z nimi stałych związków i nie udawali przez to rodziny. Jeszcze w latach 20. jeden z najważniejszych homo-aktywistów postulował, by za wzorzec zachowań przyjąć modę niezobowiązujących relacji seksualnych z młodszymi partnerami. Dopiero niemiecki seksuolog Magnus Hirschfeld wprowadził koncepcję naśladowania związku damsko-męskiego. Stąd Chantal Delsol trafnie ujmuje sytuację – „małżeństwa homoseksualne” to wynalazek nihilistyczny, biorący się znikąd i prowadzący donikąd.

Delsol nie narzeka, nie lamentuje nad słabnięciem katolicyzmu i chrześcijaństwa – ona opisuje przyczyny, przebieg i skutki. W wywiadach i publikacjach tego nie ocenia, choć osobiście jest przedstawicielką tradycyjnych wartości. Zatem zajmuje się tłumaczeniem zjawisk być może z przekonaniem, że chłodne i logiczne wywody będą wystarczającą bronią przed szaleństwami nowoczesności. Francuzka

wskazuje na przykład, skąd się wziął ateizm – czemu takich przeciwnych Bogu czy bogom deklaracji nie mieliśmy wcześniej w historii, przed chrześcijaństwem. Delsol powołuje się na historyka Paula Veyne’a i jego badania nad starożytnością, by pokazać, dlaczego walka z bogiem nie była dawniej potrzebna. „To afirmacja prawdy wywołuje jej negację. Ateizmu nie ma w pogaństwie, w którym istnieje wiele bóstw i mitów, które się ze sobą przeplatają” – twierdzi filozof w rozmowie z „National Catholic Register”. Przytacza prace Veyne’a, gdzie badacz nakreślił, że choć kultury religijne w świecie antycznym były bardzo silne, to nie wynikały z wiary. „W społeczeństwie wierzącym w mity wszystko było relatywne i rządzili synkretyzm” – słowem: nikt nie twierdził, że za religią stoi prawda. Składanie ofiar bogom i modły w świątyniach były obrzędem, za którym szła być może refleksja kulturowa, ale nic więcej. Nie trzeba było się sprzeciwiać religii, skoro nie głosiła ona prawdy, lecz jakieś luźno opisane wzorce, i koncentrowała się na spajaniu społeczeństwa i państwa. Chrześcijaństwo pokazuje Boga prawdziwego – ci, którzy temu chcą zaprzeczyć, muszą wojować z taką wiarą.

► Lewica i liberałowie chcą przebudować ogród

Chantal Delsol założyła w 1993 roku Instytut Hanny Arendt, w którym zajmuje się spuścizną wielkiej badaczki totalitaryzmu, ale przede wszystkim kontynuuje analizę tendencji społecznych i politycznych prowadzących do totalnych rozwiązań. To ważne dziedzictwo – praca Hanny Arendt „Korzenie totalitaryzmu” z 1951 roku jest do dziś uznawana za najbardziej wnikliwą i przełomową diagnozę nazizmu i – choć w dużo mniejszym stopniu – komunizmu. Arendt co prawda planowała napisać drugą wielką pracę, gdzie bardziej skoncentrowałaby się na sowieckim eksperymencie społecznym, ale nie starczyło jej już na to sił – praca nad nazizmem i postawami ludzkimi w obliczu totalnych ideologii zdeterminowała jej dalsze badania. Delsol wskazała jednak nowe zagrożenie – ponowoczesność.

Filozof dostrzegła we współczesnym liberalizmie groźny potencjał, który pcha nas do tych samych celów co... komunizm. Oba ustroje nienawidzą bowiem konkretnych grup społecznych, które opierają się na rodzinie, własności i wspólnotce. „Chcąc zakwestionować małżeństwo, [ponowoczesność] sugeruje, że patriarchalne mieszczaństwo narzuciło rozróżnianie i dyskryminację płci. Koziół ofiarny pozostał zatem ten sam. Późna ponowoczesność będzie wystrzegać się zabierania dzieci rodzicom, by wychowywać je w państwowych sierocińcach, jak próbował to czynić

Stalin. Będzie jednak próbowała zniszczyć rodzinę w inny, subtelniejszy sposób: czyniąc ją zbędą, pozbawiając ją znaczenia i wyśmiewając” – pisała w 2016 roku w książce „Nienawiść do świata. Totalitaryzmy i nowoczesność”. Na pierwszych stronach książki autorka nakreśla obrazową i malowniczą metaforę współczesnych postaw. Dla niej lewica czy też liberałowie to ludzie, którzy chcą przebudować ogród – zarość ziemię, zniszczyć ogrodzenie, postawić w tym miejscu coś, jak wierzą, lepszego. Konserwatysta chce ten ogród uprawiać, chce być ogrodnikiem. Owszem, chce pracować, przycinać, zmieniać i upiększać otrzymane dziedzictwo kwiatów, krzewów i drzew, ale nie chce wywracać wszystkiego do góry nogami – a tego chcą wyznawcy ponowoczesności.

► Głos ludu jest jedynie pretekstem

Delsol twierdzi, że domeną współczesnych czasów jest wykorzenienie – próba odcięcia ludzi od przeszłości

„Nazizm jest znienawidzony z innego powodu, bardziej niejasnego i nieomal nie do pomyślenia: nienawidzi się go, bo jest próbą powrotu do pewnej (zresztą śmiercionośnej) postaci zakorzenienia – zakorzenienia w tożsamości, w tym przypadku w tożsamości rasy, w tożsamości kulturowej, choćby nawet zmyślonej, w ojczyźnie, we wszystkim, co stanowi o korzeniach” – konstatuje Delsol. Idzie za tym złowieszczą diagnoza – to znaczy, że masowe mordy i ludobójstwa nie są takim kryterium potępienia, jak sądziliśmy. Podobnie stwierdził prof. Andrzej Zybertowicz w pracy „Samobójstwo Oświecenia”. „Zbrodnie nie wygaszają atrakcyjności idei” – napisał w książce wydanej w 2015 roku (czyli jeszcze przed pracą Chantal Delsol!). Polski socjolog sformułował to ostrzeżenie w nieco innym kontekście – sama monografia pokazuje bowiem, że nadchodzą czasy dyktatury technologii, gdzie zaprzęgnięty w kajdany neuronauki człowiek będzie tylko po-

WSZYSTKIE PRZEKONANIA FEMINISTEK, RUCHÓW GENDEROWYCH I ATEISTÓW, WSZYSTKICH LEWICOWYCH FANATYKÓW ATAKUJĄCYCH KOŚCIOŁ CZY RODZINĘ, DELSOL POTRAFI ZDEFINIOWAĆ JEDNYM ZDANIEM: „ABSOLUTNA WOLNOŚĆ MOŻLIWA JEST JEDYNIJE WÓWCZAS, GDY UNICESTWIMY RELACJE”.

swojej wspólnoty, bo jeśli znamy historię, to potrafimy wskazać zasługi, winy, szereg różnic między wspólnotami, a różnice – dla dzisiejszej lewicy – to groza hierarchii, z którą ona walczy. „Usuwa się korzenie, sakralizując emancypację” – pisze Delsol. Emancypacja, a więc odcinanie się od więzów, wartości, nawet płci, jest więc świętością, która ma być czymś lepszym, bardziej oświeconym – to zresztą także podobne jest do komunizmu. W tym miejscu badaczka, jak rzadko kiedy, pozwala sobie na subtelne oburzenie. „A przecież ludzie są bytami wcielonymi, ich ojczyzną nie jest abstrakcja” – twierdzi poetycko. Tymczasem odcinanie się od korzeni, zrywanie więzi z przeszłością i wypaczanie tradycyjnych pojęć przynosi wymierne skutki. Delsol właśnie w tym widzi przyczynę, dla której komunizm nadal nie jest potępiany, a cała krytyka totalitaryzmu jest skierowana na nazizm. Wielu współczesnym wydaje się, że widzą w III Rzeszy czyste zło, bo tamto niemieckie państwo stosowało terror – dlatego więc autorzy terroru, który pochłonął większą liczbę ofiar, Sowietci, są bardziej akceptowalni?

ślusznym wykonawcą bodźców podsuwanych przez potężne algorytmy, internetowe sztuczki i zaawansowane wynalazki. Wniosek jednak sprowadza się do tego samego – dzisiejszy człowiek może zgodzić się nawet na zabijanie, jeśli za tym ma przyjąć mityczny postęp, nowoczesność, lepszy świat. To dlatego na milionach kobiet na całym świecie usunięcie ciąży, zabicie własnego dziecka nie robi wrażenia. Będą dzięki temu wolne czy jak woli nazywać to Chantal Delsol – wyemancypowane. Wolność ponad wszystko, ponad życie i śmierć! Porównanie komunizmu i ponowoczesności jest u niej bardzo precyzyjne. „Komunizm chce, by człowiek nie był już powiązany z niczym i z nikim poza swoim gatunkiem, by zawierał się bez reszty w pojęciu człowieka, bez konieczności określania się jako członek tej czy innej partykularnej grupy. Ponowoczesność (zwłaszcza we Francji) zmierza do tego, by obywatel był wyłącznie obywatelom, człowiekiem uniwersalnym, nie definiującym się już jako członek

jakiejkolwiek grupy” – tłumaczy myślicielka. Wszystkie przekonania feministek, ruchów genderowych i ateistów, wszystkich lewicowych fanatyków atakujących Kościół czy rodzinę, Delsol potrafi zdefiniować jednym zdaniem: „Absolutna wolność możliwa jest jedynie wówczas, gdy unicestwimy relacje”. Jako obywatelka Francji, co do której sama przyznaje, że została już mocno przeżarta współczesnym szaleństwem, tłumaczy też, jak często instrumentalne traktowanie opinii społecznej służy jako taran dla nowych eksperymentów społecznych: „Sprytnie manipuluje się sondażami: 70% społeczeństwa akceptuje małżeństwa gejowskie, a zatem sami widzicie, że trzeba uchwalić stosowne prawo; ale identyczny procent akceptował też karę śmierci, gdy ją znoszono. Głos ludu jest jedynie pretekstem”.

► Co, gdy ludzie przerobią w cyborgów

Delsol i Zybertowicz wraz z zespołem opisują nieopohamowany pęd za udoskonaleniem człowieka – dziś za pomocą nowych technologii.

Choć Zybertowicz i Delsol nie cytują siebie nawzajem, to obie prace sprawiają wrażenie, jakby korespondowały ze sobą. Zybertowicz wraz z zespołem swoich pracowników (Maciej Gurtowski, Katarzyna Tamborska, Jan Waszewski, Mateusz Trawiński) ostrzegają, że ludzkość już próbuje osiągnąć nieśmiertelność, na przykład poprzez przeniesienie świadomości do świata cyfrowego, czyli po prostu przekopiować myślenie swojego mózgu do komputera. Tymczasem Delsol twierdzi, że ten projekt się nie uda, bez względu na stan zaawansowania technologii. „Można sobie kogoś przywłaszczyć. Ale nie sposób przywłaszczyć sobie jego uśmiechu, jego łez, jego śpiewu” – cytuje Delsol łotewskiego poetę Imantsa Ziedonisa. Twierdzi tym samym, że o ile myślenie można już zgrać na twardego dysku niczym grę komputerową, o tyle wciąż pozostaje cała gama innych doznań i płaszczyzn osobowości ludzkiej, których nie da się wrzucić do komputera. „Pamięć nie »znajduje się« jedynie w mózgu, lecz w całym ciele; jak mówią Japończycy, cały człowiek, duch i ciało, składa się ze śladów. Nie da się zapisać na dysku CD tego, co można oddać jedynie w poezji lub w literaturze: indywidualnego istnienia” – twierdzi francuska filozof. To z jednej strony pokazuje, jak dziki i nienormalny jest pęd wielkich tego świata, by poprzez przeniesienie się do świata cyfrowego osiągnąć nieśmiertelność, a z drugiej zachwyca złożonością istnienia człowieka. „Kto utożsamia swoją świadomość z zawartością klucza USB, źle zna człowieka. Żyjemy w nierealistycznej utopii. Mówiąc dokładniej:

jeśli można było wytworzyć wyjątkowych Aryjczyków, zmieniając ich w hordę oprawców, czy wytworzyć proletariuszy bez więzów społecznych, zmieniając ludzi w zombie, to z pewnością można też będzie wytworzyć ludzi nieśmiertelnych, zmieniając nas w cyborgów” – naśladuje ponowoczesny tok myślenia katolicka naukowiec.

► Nie wolno porzucać nadziei

Przykład Chantal Delsol, urodzonej w 1947 roku, jest bardzo ważny dla, będących w defensywie, europejskich katolików. Skoro nawet w zlaicyzowanej i superlewackiej Francji da się prowadzić filozoficzne rozważania nad zachowaniem katolickich wartości, to tym bardziej może to się udać gdzie indziej. To ważny sygnał dla tych zrozpaczonych katolików, którzy w poczuciu bezsilności nad rozpadem tradycyjnego społeczeństwa francuskiego wołają prosić o pomoc kagiebię Władimira Putina, niż samemu uprawiać podarowany nam przez Boga ogród. Jak wiemy, wielu konserwatystów francuskich, skupionych także wokół prawicowej polityk Marine Le Pen, uznaje Moskwę za ostoję chrześcijaństwa, gdy tymczasem Kreml potrafi to cynicznie wykorzystać. Tymczasem wierzącym w Boga nie przystoi rozpacz – nie wolno porzucać nadziei. Delsol potrafiła ostać się na uniwersyteckiej katedrze i publikować prace krytykujące mainstreamowe badania genderowe, to dla czego innym miałyby się nie udać?

Ale w opowieść o francuskiej filozof możemy wpleść także wątek polski – badaczka przecież zna i obszernie cytuje polskich autorów: Leszka Kołakowskiego, Zbigniewa Herberta, Czesława Miłosza. Z wielkim szacunkiem traktuje nasz narodowy i kulturalny dorobek, zresztą w opisywaniu walki cywilizacyjnej sięga do refleksji wielu narodów europejskich – nie tylko z zachodniej części kontynentu.

Jeśli Polska chce jeszcze podjąć sztandar rechrystianizacji Europy, to takich intelektualnych tytanów katolickiej filozofii powinna stanowczo wspierać. Niedługo przed śmiercią Roger Scruton otrzymał z rąk prezydenta Andrzeja Dudy Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, a z rąk ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego Doroczną Nagrodę Ministerstwa w kategorii architektura (Scruton był miłośnikiem i wielkim orędownikiem piękna i ładu w architekturze).

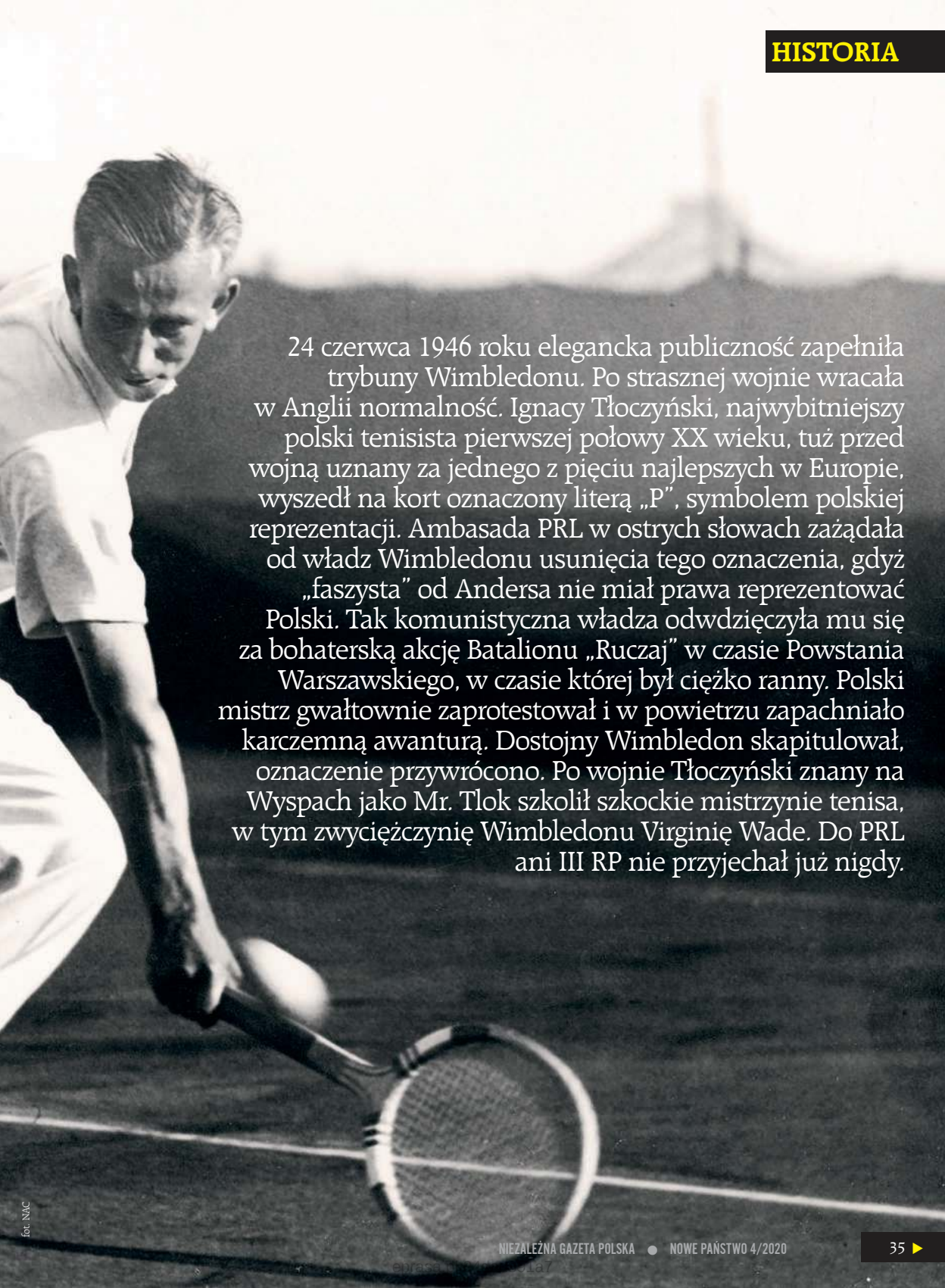
Może warto pomyśleć, by wstęgi polskich orderów nosili także inni obrońcy tradycyjnej Europy? Wielcy konserwatyści współczesności to rzadkość – warto ich doceniać i wspierać, pokazując jednocześnie, że Polska jeszcze się nie poddała lewicowemu szaleństwu. ■



Piotr Lisiewicz

Herbata dobrze osłodzona, czyli niepodległość na trawie





24 czerwca 1946 roku elegancka publiczność zapełniła trybuny Wimbledonu. Po strasznej wojnie wracała w Anglii normalność. Ignacy Tłoczyński, najwybitniejszy polski tenisista pierwszej połowy XX wieku, tuż przed wojną uznany za jednego z pięciu najlepszych w Europie, wyszedł na kort oznaczony literą „P”, symbolem polskiej reprezentacji. Ambasada PRL w ostrych słowach zażądała od władz Wimbledonu usunięcia tego oznaczenia, gdyż „faszysta” od Andersa nie miał prawa reprezentować Polski. Tak komunistyczna władza odwdzięczyła mu się za bohaterską akcję Batalionu „Ruczaj” w czasie Powstania Warszawskiego, w czasie której był ciężko ranny. Polski mistrz gwałtownie zaprotestował i w powietrzu zapachniało karczemną awanturą. Dostojny Wimbledon skapitulował, oznaczenie przywrócono. Po wojnie Tłoczyński znany na Wyspach jako Mr. Tłok szkolił szkockie mistrzynie tenisa, w tym zwyciężczynię Wimbledonu Virginie Wade. Do PRL ani III RP nie przyjechał już nigdy.

Historyk Tadeusz Wolsza pisze, że występ Tłoczyńskiego jako Polaka na Wimbledonie był dotkliwą porażką komunistycznej dyplomacji: „Tłoczyński i Czesław Spychała (żołnierze 2. Korpusu) wzięli udział w wimbledońskim turnieju tenisowym w 1946 r., pomimo protestów ambasady polskiej w Londynie. Na nic się zdały naciski dyplomacji warszawskiej na organizatorów turnieju, że »Tłoczyński i Spychała to żołnierze faszystowskiej armii gen. Andersa«. Z satysfakcją o porażce reżimu warszawskiego donosił »Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza« oraz »Orzeł Biały«.

Robert Radwański, ojciec naszych mistrzyń Agnieszki i Urszuli, przypomniał niedawno historię wielkiego polskiego tenisisty w magazynie „Tempo”. Napisał: „Można się domyślać, sądząc po AK-owskiej karcie, jak bardzo Tłoczyński mógł być rozczarowany powojenną Polską, gdzie mordowano patriotów, torturowano przyjaciół, wreszcie gdzie traktowano tenis jako burżuazyjną dyscyplinę”. Dodajmy, że owa „karta AK-owska” nie tylko Tłoczyńskiego, lecz także innych polskich tenisistów walczących w Batalionie „Ruczaj” była wyjątkowo piękna: była się w nim elita przedwojennego polskiego tenisa, a w akcji, w której uczestniczyli, wzięto do niewoli 78 esesmanów, o czym za chwilę.

Komunistyczna prasa w początkach PRL zapowiadała kilkakrotnie, że Tłoczyński wróci do Polski. Ale gdy po rozmowie ze swoim dowódcą, generałem Władysławem Andersem, odmówił on powrotu, gazety w PRL zaczęły cieszyć się z jego... porażek. Józef Prutkowski, twórca socrealistycznej satyry, pisał w „Trybunie Robotniczej” z 16 października 1947 roku: „Były mistrz Polski Ignacy Tłoczyński przegrał sromotnie na kortach Queens Clubu z 50-letnim Borotrą i Petrą. W czterech przegranych setach Tłoczyński zdobył zaledwie 8 gemów. Emigracja nie wpływa na poprawę poziomu. Należało dbać nie tylko o poziom, ale przede wszystkim o pion... moralny”.

► Herbata osłodzona koniakiem przed czwartym setem

„Szkłanka dobrze osłodzonej herbaty między 3 a 4 setem jest dla mnie znakomitym bodźcem dla dalszej gry” – głosił odręczny wpis Ignacego Tłoczyńskiego dla magazynu „Lawn Tennis Polski” z 1930 roku. Zabawnie nawiązywał on do anegdoty, jak to przed owym decydującym setem w czasie jednego z pojedynków kontuzjowany młody Tłoczyński wzmocnił się – niezwykle skutecznie! – herbatą z koniakiem.

„Lawn Tennis”, czyli tenis na korcie trawiastym, był tradycyjnie sportem arystokratycznym, a najważ-

niejsze turnieje Wielkiego Szlema rozgrywane były w państwach o historii o wiele spokojniejszej od polskiej, gdzie elity nie musiały ginąć co pokolenie w powstaniach. „Tłoczyński, chudzielec i mikrus z Poznańskiego, był jednym z chłopaków, którym udało się wdrzeć do tenisa, nie mając w żyłach błękitnej krwi. Tenis, z jednej strony gra stara jak świat – jeszcze na greckich wazach widać zawodników z rakietami przebijających piłkę, z drugiej elitarna – do jej rozpropagowania przyczyniły się głównie francuskie i angielskie koronowane głowy... Wzmoczenie rywalizacji, zwłaszcza międzynarodowej, [...] odbywało pod koniec XIX wieku... Na nieśmietankowców zaczęto w latach 1900-ych przymykać lekko oko” – tak o barbarzyńskim podboju tego świata przez młodego poznańszaka pisze Marcin Andrzejewski, autor bloga fotodinoza.blogspot.com.

► „Żeby nie milicja, byłaby stolica”

Ignacy Tłoczyński urodził się 14 lipca 1911 roku w Poznaniu. Pochodził z biednej rodziny, a na korcie zaczynał od podawania piłek starszym zawodnikom. „Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości w 1918 r., jako dziecko, chodziłem z mego domu na Jeżycach, gdzie się urodziłem, do Łasku Gołęcińskiego. Tam na kortach grywali Niemcy. To mnie interesowało i wciągnęło” – wspominał w czasopiśmie „Tennis”, w wywiadzie, którego udzielił pod koniec życia, w 1997 roku.

Gołęcin... Spaceruję w czasie epidemii koronawirusa po jego nieznanym niedzielnym bywalcom ścieżkach, po śladach koni, terenowych rowerzystów i graficyarzy, i nie potrafię uciec od mocno współczesnej dywagacji. „Gołęcin, Gołęcin, piękna okolica, żeby nie milicja, byłaby stolica” – tak śpiewaliśmy jako kibice Lecha Poznań w latach 80., a potem w przyspiewce tej słowo „milicja” zastąpione zostało słowem „policja”. Sama prawda była w tej piosence, bo okolice miejskiego jeziora Rusalka, które w filmie „Ogniem i mieczem” zagrało rzekę Dniepr, są faktycznie niezwyklej urody, choć naznaczone tragedią rozstrzeliwanych więźniów niemieckiego Fortu VII.

A po wojnie komuna zainstalowała tu milicyjny klub – Gwardyjski Klub Sportowy „Olimpia”. Klub ten nie miał kibiców, bo nikt dopingować milicjantów nie chciał, a jeszcze bardziej wulgarna przyspiewka głosiła: „Olimpia, Olimpia, to nie poznański klub, to milicyjny klub i za to...”, cóż, rymowaliśmy to dalej do sformułowania „w dziób”... Dzieciaki z okolicy takie jak ja, które znały lasy wokół Rusalki jak własną kieszeń, jeśli już wchodziły na mecz Olimpii, to przez płot, który już wówczas był nie najlepszej jakości. Z kolei w III RP była milicja klub rozłożyła do

reszty, a w dawnych basenach, na których trenowali pływacy mistrzowie Polski, pływały teraz... karpie, sprzedawane poznaniakom przed Bożym Narodzeniem.

Dziś plaża nad Rusalką wypiękniała, a na odebrany teren odbudowuje się od paru lat sport. Pora, by patronem tej odbudowy stał się właśnie Ignacy Tłoczyński, z całą legendą owej postaci. O niej jest ten tekst.

► „Doping”, który dał 6:0

Póki co wróćmy więc do czasów, gdy niepełnoletni Ignacy podglądał grę Niemców – nieprzeznaczonych jeszcze przez powstańców wielkopolskich, co miało zdarzyć się za chwilę – a potem podawał grzecznie piłki i wreszcie zdradził niecodzienny talent. Dziecko z biedy, zaczął dorabiać jako platny sparingpartner starszych zawodników. Błyskawicznie stawał się coraz lepszy.

Gdy miał 17 lat, działacze AZS wystąpili do tenisowego związku o nadanie mu statusu amatora, co wbrew współczesnym konotacjom tego słowa było wówczas dużym wyróżnieniem. Udało się przekonać związek, że zarabianie przez ubogiego chłopaka w czasie sparingów z owym statusem nie koliduje. Historyczna decyzja zapadła 15 stycznia 1929 roku.

W tym samym roku Tłoczyński zadebiutował na mistrzostwach Polski. Doszedł aż do ćwierćfinału w singlu, będąc najtrudniejszym przeciwnikiem obrońcy tytułu Maksymiliana Stolarowa. A w deblu w parze z kolegą klubowym z AZS Przemysławem Warmińskim został wicemistrzem Polski. Wkrótce włączono go do reprezentacji Polski w Pucharze Davisa. W maju 1930 roku zadebiutował w tychże rozgrywkach w meczu z faworyzowaną Rumunią. Mecz skończył się historycznym, pierwszym zwycięstwem Polski w Pucharze Davisa. „Tygodnik Ilustrowany” z 10 maja 1930 roku relacjonował: „Sukces ten zawdzięczamy przede wszystkim młodemu graczowi z Poznania, Tłoczyńskiemu. Okazał się on najwspanialszym naszym zawodnikiem, pełnym ducha walki i niekapitulującym w najcięższych momentach”.

Gazety nie mogły się nadziwić, że 19-latek nie tylko pokonał, lecz także wyprowadził z równowagi aż o 17 lat starszego utytułowanego rumuńskiego rutyniarza Nicolae Mishu. „Posiadając regularną i pewną grę z głębi kortu, potrafił pokonać takiego »rutynistę« jak Mishu, grającego od lat po turniejach zachodnio-europejskich. Tem bardziej należy się też dziwić zachowaniu się Rumuna na placu, zwłaszcza podczas meczu z Tłoczyńskim. Można dużo tłumaczyć »nerwami«, ale jednak to, na co pozwolił sobie Mishu (rozmyślne »strzelenie« piłką w publiczność) należy

uznać za wybryk skandaliczny” – pisał „Tygodnik Ilustrowany”.

To właśnie w meczu z Mishu cuda miał zdziałać koniak. Gdy wynik był remisowy, Tłoczyński coraz częściej schodził z kortu z powodu skurczów. Ponawiane masáže przestały działać. Wtedy kapitan reprezentacji Aleksander Olchowicz przyniósł mu herbatę, do której dołączył koniak. Efekt zastosowania cudownego leku mógł być tylko jeden – Ignacy wygrał ostatniego seta 6:0!

„Przegląd Sportowy” napisał po tej wygranej zupełnie proroczo: „Ten tenisista o dziecinnej jeszcze budowie, o chłopcęcych, cienkich ramionach wykazał hart ducha i siłę nerwów starego, zaprawionego w bojach mistrza. Wykazał przy tym ogromny talent tenisowy, niezwykłą orientację i przytomność umysłu. Miał zawsze na ustach ów przemily uśmiech sportowca z krwi i kości, uśmiech radości, gdy udała mu się piłka, uśmiech podziwu, gdy dobrze zagrana piłka przeciwnika była dlań nie do odbicia. Uśmiech taki rzadko widywaliśmy na naszych kortach i był on, jak i gra Tłoczyńskiego, jakby zapowiedzią nowej epoki w tenisie polskim”.

► 20-latek najpopularniejszy po Kusocińskim

W tym samym 1930 roku Tłoczyński zdobył swój pierwszy tytuł mistrza Polski, pokonując Maksa Stolarowa. Magazyn „Lawn Tennis Polski” relacjonował: „Finał pomiędzy Tłoczyńskim a M. Stolarowem należał do najbardziej emocjonujących i denerwujących spotkań. Maks walczył o zbyt dużą stawkę – miał przecież zdobyć puchar na własność, wygrywając go po raz trzeci z rzędu – by mógł grać spokojnie. Tłoczyński nie miał nic do stracenia. Przegrać w finale z mistrzem – to nie dyshonor dla 19-letniego gracza. Grał tedy znacznie spokojniej, a zaczął się denerwować dopiero wtedy, kiedy zobaczył, że może wygrać”. I wygrał.

W 1930 roku Tłoczyński przeszedł do warszawskiej Legii, w barwach której został drużynowym wicemistrzem Polski. W 1931 roku finał meczu o mistrzostwo Polski odbył się w tym samym składzie i 20-latek ponownie pokonał Stolarowa. Dowodem olbrzymiej popularności Tłoczyńskiego było drugie miejsce w plebiscycie sportowca roku „Przeglądu Sportowego”, za samym Januszem Kusocińskim.

Mistrzem Polski był pięć razy, siedem razy był mistrzem Polski w grze podwójnej i mieszanej oraz sześć razy międzynarodowym mistrzem Polski. Do najważniejszych międzynarodowych sukcesów Tłoczyńskiego można zaliczyć tytuły mistrza Nicei, Portugalii, Walii i Południowej Anglii. Przyczynił się do zdobycia przez Polskę Pucharu Europy Środkowej –

trofeum, o które rywalizowały Austria, Czechosłowacja, Jugosławia, Węgry i Włochy. Odnosił także cenne zwycięstwa w Pucharze Davisa, pokonując m.in. Holendra Hendrika Timmera i Włocha Giorgio De Stefani.

Stał się postacią znaną w tenisowym świecie. Wspominał w 1997 roku: „Podczas jednego z bankietów wydawanych dla uczestników turnieju w Monte Carlo minister Józef Beck zaczął mnie przedstawiać królowi Szwecji Gustawowi V. To króla bardzo rozbauiło, gdyż w tym czasie znaliśmy się już dobrze z jednego turnieju”.

Udzielał także młodzieży tenisowych lekcji. W magazynie „Lawn Tennis Polski” instruował: „Chcąc zostać dobrym graczem w tenisa, a zdaje się jest to ambicja wszystkich początkujących, bezwarunkowo nie należy rozpocząć rozgrywania setów wcześniej, niż mniej więcej w trzy miesiące po rozpoczęciu ćwiczeń, i to przy bardzo wytężonym i codziennym treningu. Zbyt wczesne rozpoczęcie gry na punkty może się gorzko zemścić na gracz, powodując zmanierowanie świeżych jeszcze uderzeń, które, jak już z początku zaznaczyliśmy, z trudem tylko dają się naprawić”.

► Hacha? Ha, ha!

W 1939 roku Tłoczyński osiągnął najlepszą formę w swojej karierze. Tuż przed wybuchem wojny był bohaterem turnieju daviscupowego z Niemcami, w którym pokonał Hennera Henkela, również poznaniaka, ale z niemieckiego Posen, a także dawnego reprezentanta podbitej przez Niemców Czechosłowacji Rodericha Menzla.

Autor bloga „Numer 10. Blog czterech braci dla wszystkich piłkarskich hipsterów” opisuje: „Tenisiści odbijali piłkę, a polska publiczność okrzykami »Ha-ha« wyrażała dezaprobatę wobec postawy prezydenta Czechosłowacji Emila Hachy, który skapitułował przed Adolfem Hitlerem. Polska drużyna przegrała 2:3, ale Ignacy Tłoczyński wygrał oba swoje mecze. W tym przeciw trzeciemu tenisiście świata Hennerowi Henkelowi (6:4, 6:8, 6:4, 6:3). To było najcenniejsze zwycięstwo poznańskiego mistrza tenisowego w karierze, którego notowania sięgały wtedy piątki najlepszych graczy Europy”.

Cytowany już trener Olchowicz mówił: „Tłoczyński zagrał fantastycznie. Obserwuję jego karierę od samego początku. Był to na pewno jego najlepszy mecz. Rozegrał go doskonale taktycznie, miał cudowne zagrania. On dopiero teraz znajduje się w swojej szczytowej formie. Obok ambicji i zacięcia ma jeszcze jedną zaletę, którą może służyć przykładem dla wszystkich sportowców: kolosalną pracę. Bardzo du-

żo trenuje, stara się doskonalić każde uderzenie, obmyśla szczegółowo plan każdej walki”.

Robert Radwański w cytowanym już tekście przytacza relację „Przeglądu Sportowego” z 22 maja 1939 roku, gdzie na pierwszej stronie ukazało się zdjęcie niesionego na rękach przez kibiców Tłoczyńskiego z podpisem: „Jak przed 9 laty po zwycięstwie nad Mishu, na ramionach wielbicieli wyniesiony został z kortu Ignacy Tłoczyński po zwycięstwie nad Henklem”.

Osiągnął on wówczas najwyższe w karierze pozycje w światowych rankingach. Przez Francuza Kaufmana Tłoczyński został uznany za trzecią rakieta Europy, rozstawiono go też z ósmym numerem w Wimbledonie. Wszystko przerwała wojna, w czasie której taki drobiazg jak przerwanie kariery u jej szczytu przestał cokolwiek znaczyć również dla samego mistrza.

► Tenisiści biorą do niewoli esesmanów

Po 1 września Tłoczyński wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, przekształconego w Armie Krajową. Przybrał pseudonim „Igo”. Kolportował podziemną prasę. Wraz z Jadwigą Jędrzejowską, tenisistką, finalistką tenisowego Wimbledonu z 1937 roku, i Januszem Kusocińskim prowadził gospodę „Pod kogutem”.

1 sierpnia 1944 roku żołnierze Batalionu „Ruczaj”, wyposażeni w granaty i butelki z benzyną, zdobyli szturmem koszary SS przy ul. Koszykowej. Wzięli do niewoli 72 esesmanów, zdobyli około 100 sztuk broni maszynowej, żywność, amunicję oraz samochód opancerzony i ciężarówkę.

W akcji wzięli udział członkowie polscy tenisiści – bracia Ignacy i Ksawery Tłoczyńscy, Czesław Spychała, Jerzy Gottschalk, Antoni Smordowski i wybitny lekkoatleta Tadeusz Hanke. Jak pisał w „Przeglądzie Sportowym” Zbigniew Chmielewski, była „to jedna z najpiękniejszych kart nie tylko Powstania Warszawskiego, ale także polskiego sportu. W jednym plutonie, owianym legendą, znaleźli się niemal w komplecie wszyscy najlepsi polscy tenisiści lat przedwojennych, gracze drużyny daviscupowej, a także młodzi zawodnicy, będący nadzieją polskiego tenisa”.

W ataku ranni zostali Czesław Spychała i Ignacy Tłoczyński, w ostatnich dniach powstania zginął Jerzy Gottschalk. Odznaczenia dla żołnierzy batalionu „Ruczaj” wręczał osobiście gen. Tadeusz „Bór” Komorowski.

► Niektórzy spróbowali nawet mydła

Po upadku powstania Tłoczyński trafił do obozu jenieckiego koło Salzburga. Witold Gutkowski we

wspomnieniach zatytułowanych „Życie w ciekawych czasach” pisał o obozowym życiu, wspominając moment, gdy pojawiły się tam dary Czerwonego Krzyża: „Wygłodzone bractwo wzięło się żwawo za jedzenie... Niektórzy spróbowali nawet mydła. Wszystkie opisy w paczce były po angielsku, którego praktycznie nikt z nas nie znał. Przekrój społeczny jeńców był bardzo zróżnicowany, z przewagą osób gorzej wykształconych. Niemniej jednak były i osoby o standardzie międzynarodowym – dwóch polskich tenisistów – Spychała i Tłoczyński. Jak opowiadali, byli przed wojną zapraszani przez króla szwedzkiego na rozgrywki tenisowe. Miał on chęć pograć z dobrymi tenisistami, a oni pozwalali mu nawet czasem wygrać”.

Ale w obozie Tłoczyński też rozegrał tenisowy mecz. „Wśród jeńców francuskich był trener tenisa, który widział mnie w Paryżu w 1939 r. na kortach Rolanda Garrosa. Zaproponował mi mecz. Aby dostać się do francuskich baraków, trzeba było sporo ryzykować. Musiałem przebrać się to w mundur angielski, to we francuski, przedzierać się przez wyciętą furtkę w drutach kolczastych. Gdy dotarłem do Francuzów, trudno mi było uwierzyć w to, co zobaczyłem. Kort z czarnej, ubitej ziemi z wymalowanymi liniami, krzesło sędziowskie, a wokół kortu kilkuset widzów – jeńców! Dostałem szorty, buty i rakietę, sędzia zapowiedział, że wystąpi »Champion de Pologne – Ignacy Tłoczyński«. Grałem całkiem niezłe, jak na tak długą przerwę, lecz przegrałem w pięciu setach” – opowiadał w 1997 roku w czasopiśmie „Tenis”.

► „Ignacy Tłoczyński wróci do Polski”

Gdy skończyła się wojna, prasa PRL wielokrotnie zapowiadała jego powrót do Polski. „Dziennik Zachodni” 24 sierpnia 1945 roku informował w tytule: „Bracia Tłoczyńscy i Spychała żyją”, dodając, że zamierzają powrócić do kraju. „Kurier Sportowy” 26–28 sierpnia 1946 roku zapowiadał w tytule: „Ignacy Tłoczyński wróci do Polski”. I cytował wypowiedzi Jędrzejowskiej.

– Czy nie przyjedzie do Polski?

– Tak, gdyż jak mi oświadczył, nie może się doczekać, aby wrócić na stare „śmieci”. Przypuszczam, że przyjedzie na jesień.

Tymczasem w Polsce narastał komunistyczny terror, a na emigracji – świadomość, czym jest komunistyczna Polska. W 1947 roku Tłoczyński odmówił udziału w meczu Pucharu Davisa z Wielką Brytanią w Warszawie. Mimo że – jak oceniano – jego start mógł przesądzić o wygranej Polski, bo wiele razy pokonywał czołowego Brytyjczyka Tony’ego Mottrama. Na decyzji zawżyła rozmowa z generałem Andersem.

Potem był wicemistrzem Wielkiej Brytanii – dwukrotnie przegrywał w finale z reprezentantem Afryki Południowej. Trzy razy wygrywał mistrzostwa Szkocji, był także mistrzem Londynu. W Wimbledonie startował 14 razy. Uczestniczył także rozgrywkach drużynowych w barwach klubu „Polonia” Londyn.

► „Zdobyl serca publiczności rycerskim gestem”

„Gazeta Niedzielną” z 21 października 1951 roku pisała: „Znany tenisista polski, Ignacy Tłoczyński, był w ciągu ubiegłego tygodnia na ustach wszystkich Brytyjczyków. W sali Queens Club w Londynie odbywały się międzynarodowe mistrzostwa W. Brytanii w tenisie. Tłoczyński niespodziewanie wyeliminował w ćwierćfinale pierwszą rakię Anglii, Tony’ego Mottrama, w trzech setach. Już to zwycięstwo stało się powodem wielkiego rozgłosu nazwiska Polaka”.

Kolejne zwycięstwo nad Francuzem Janem Borotrą komentowano: „Przejdzie zapewne do legendy w dziejach tenisa... Tytuł mistrza zdobył 11-krotnie jeden z najlepszych tenisistów świata, »latający Bas«, Francuz Jan Borotra. Zdobył to mistrzostwo tyle razy, ilekroć startował, uchodząc za niepokonanego na krytych kortach. W roku bieżącym Borotra postanowił zdobyć po raz ostatni mistrzostwo i zakończyć swą karierę tenisową... Mecz trwał blisko 3 godziny (170 minut) i zakończył się największym życiowym sukcesem Tłoczyńskiego... Borotra, który zawsze po zwycięstwie nad przeciwnikiem miał zwyczaj przesłakiwać siatkę, aby mu uściśnąć dłoń, tym razem po raz pierwszy siatkę nie przesłakiwał, lecz tylko wyczerpany uściśnął dłoń zwycięzcy ponad siatką. Tłoczyński zdobył sobie serca publiczności rycerskim gestem, naprawiając omyłkę sędziego na jego korzyść – i to w decydującej chwili – umyślnie popsutymi piłkami. Mimo to mecz wygrał”.

Gazeta odnotowywała też, jak opisywany jest przez prasę polski mistrz: „Pisma angielskie nazywały go zależnie od zabarwienia politycznego albo Polakiem albo emigrantem polskim z własnego wyboru (»self-exiled Pole«), albo nawet »byłym Polakiem« (»Evening Standard«)”.

W 1955 roku oficjalnie przeszedł na emeryturę i zaczął pracować jako trener w klubie tenisowym Dunlop w Edynburgu. Pracował też w klubie Craiglockhart. Mr. Tłok szkolił szkockie mistrzyni tenisa, w tym najsłynniejszą z nich – zwyciężczynię Wimbledonu Virginie Wade.

Do Polski, tak odmiennej od tej, o którą walczył, nie przyjechał ani przed rokiem 1989, ani po nim. Zmarł 25 grudnia 2000 roku, mając 89 lat. ■

A close-up portrait of Janusz Krasiński, an elderly man with glasses, wearing a dark pinstripe suit, a white shirt, and a dark tie with a large gold eagle brooch. He has a serious expression and is looking directly at the camera. A green, white, and red striped scarf is visible around his neck.

JANUSZ KRASIŃSKI. PISARZ CIĄGLE UWIĘZIONY

Dariusz Jarosiński



**Gustaw Herling-
-Grudziński narodził
się jako pisarz
w sowieckich
łagrach, Janusz
Kraśiński przeżył
inicjację pisarską
w komunistycznych
polskich więzieniach.
Obaj uważali,
iż ich moralnym
obowiązkiem jest
dać świadectwo
zbrodniczego systemu
komunistycznego.
Powieść pierwszego
– „Inny Świat” – po
latach zmagania trafiła
do przychylnych
promotorów,
krytyków literackich
i, co najważniejsze,
do czytelników.
Twórczość drugiego
pozostaje nadal
mało znana.**

„Inny Świat” opisuje zbrodnie sowieckich komunistów, które działy się w bolszewickiej Rosji: Janusz Kraśiński w tetralogii opowiada o zbrodniach rodzimych komunistów w Polsce.

Ten drugi zostawił nam niezwykle świadectwo ludzkich postaw w obliczu permanentnego zagrożenia utraty życia, człowieczeństwa, honoru. Jego twórczość ma duże walory nie tylko artystyczne, lecz także historyczne, dokumentalne. Odkłamuje historię PRL-u, oddaje prawdę o wydarzeniach, ludziach, prawdę, której przez całe dziesięciolecia nam brakowało. Nie ma drugiego takiego dzieła w polskiej literaturze jak pięcioksiążkowy Kraśiński, które by w sposób tak pełny przedstawiało rzeczywistość peerelowską – od czasu narzucenia sowieckiego komunizmu po czas upadku systemu komunistycznego. Wielka opowieść liczy w sumie kilka tysięcy stron – jej bohaterem jest Szymon Bolesta, alter ego autora. Historia Szymona Bolesty zanurzona jest w historii Polski. Bolesta przeżył wszystko co straszne i bolesne w tej historii.

► Zakonspirowany ponownie

Na opowieść o losach Szymona Bolesty w czasach PRL-u składają się tomy: „Na stracenie” (1992), „Twarzą do ściany” (1996), „Niemoc” (1999), „Przed agonią” (2005). Ostatni tom tetralogii, „Przełom”, nawiązujący w tytule do przełomu lat 80. i 90., tzw. transformacji ustrojowej, ukazał się cztery lata po śmierci pisarza, w 2016 roku. Była to właściwie niedokończona książka, autor nie miał już wpływu na jej ostateczny kształt. Janusz Kraśiński tracił wzrok – w końcu przestał widzieć. 4 września 2012 roku napisał: „To już jest koniec, ślepnę!”. To prywatne zwierzenie znalazło się w książce jako ostatnie zdanie o losach Szymona Bolesty, wieńcząc jego historię. A jak się okazało wkrótce – również samego pisarza. Janusz Kraśiński zmarł śmiercią tragiczną 14 października 2012 roku.

Pisanie powieści „Na stracenie” Janusz Kraśiński ukończył w czerwcu 1989 roku. Ówczesni edytorzy nie byli zainteresowani jej publikacją, uważali, że należało zrezygnować z „rozdrapywania ran”, z opisywania „martyrologii narodu polskiego” w czasach komunizmu. Dopiero w 1992 roku Zakłady Wydawnicze „Versus” z Białegostoku podjęły się wydania tej powieści.

„Na stracenie” było pierwszą powieścią opublikowaną w Polsce opowiadającą o żołnierzach powstania antykomunistycznego, w której nie pisało o nich jak o bandytach, przestępcach, faszystach. Pokazani zostali jako bohaterzy partyzanci, do końca wierni Polsce. Książka wstrząsa, poraża

opisami komunistycznego bestialstwa. Losy powstańców antykomunistycznych poznajemy zwykle z perspektywy ich walki zbrojnej z komunistami. Krasiński pisze o ich postawie w stalinowskich kazamatach, w więziennej celi. Są to częstokroć ich ostatnie tygodnie, jeżeli nie dni życia. Na specjalne wyróżnienie zasłużył w oczach Szymona Bolesty legendarny dowódca major Hieronim Dekutowski „Zapora”, cichociemny. Poznajemy młodych partyzantów z oddziału Józefa Kurasia „Ognia”, zwanych „Plomykami”, historię żołnierza kapitana Władysława Łukasiuka „Młota”. Wielu żołnierzy pozostało anonimowymi.

Na marginesie dodam, że w 1992 roku, w czasie gdy została wydana książka „Na stracenie”, ukazał się też tom poezji Zbigniewa Herberta „Rovigo” ze słynnym, często cytowanym wierszem „Wilki”. Zbigniew Herbert stał się patronem Żołnierzy Wyklętych. „Ponieważ żyli prawem wilka, historia o nich głucho milczy”. Odważne, wolne wilki stały się symbolem wolnych, niezłomnych żołnierzy, żyjących podobnie jak one w lesie.

Tetralogia Janusza Krasińskiego została przemilczana w tzw. III RP – prawda o PRL-u uwierała rządzących, była niewygodna. Tomasz Burek, zmarły w 2017 roku wybitny literaturoznawca, eseista, niezwykle cenił twórczość Janusza Krasińskiego. O powieści „Na stracenie” pisał m.in.: „Przestrzeń dzieła Janusza Krasińskiego wypełnia ból ojczyzny, która straciła swych najlepszych synów. [...] Marzyło się niektórym (przynaję: należałem do nich), że »Na stracenie« będzie [...] sztandarowym dziełem nowej literatury rozrachunkowej, wspierającej proces dekomunizacji, depeceerelizacji, oczyszczania zbiorowej świadomości Polaków. [...] Stało się inaczej. Krasiński jako pisarz został przez Trzecią Rzeczpospolitą zakonspirowany ponownie” („Wyjście na wolność”, „Rzecz o książkach”, dodatek do „Rzeczpospolitej”, 04.10.2008 r.).

► Antykomunistą stałem się w areszcie Informacji Wojskowej

Nie odnajduję w pamięci drugiego takiego pisarza, który miałby podobne doświadczenia życiowe jak Janusz Krasiński – od trzewi poznał zło niemieckiego narodowego socjalizmu i sowieckiego komunizmu. Ojca stracił jeszcze przed wojną. Do konspiracji niepodległościowej przystąpił w 1941 roku w wieku 13 lat – współpracował z grupą żołnierzy Armii Krajowej, która wykonywała akcje dywersyjne. Jako harcerz Szarych Szeregów wziął udział w Powstaniu Warszawskim. Razem z matką został wywieziony do obozu koncentracyjnego

w Auschwitz. Matka po rozdzieleniu w obozie z synem doznała szoku, Niemiec zbrodniarzy uznali ją za osobę obłąkaną i posłali na śmierć do komory gazowej.

Jakby piekła oświęcimskiego było mało – Janusz Krasiński został wywieziony stamtąd do obozu Hersbruck koło Norymbergi. W marcu 1945 roku hitlerowscy strażnicy ewakuowali więźniów do KL Dachau. 17 dni trwała mordercza piesza wędrówka. Ludzie padali po drodze z wycieńczenia i głodu. W wydanej w 1966 roku powieści „Wózek” Janusz Krasiński wrócił do wspomnień tego marszu śmierci, gdzie ludzie umierający z głodu zdolni byli nawet do kanibalizmu. Wszyscy zazdrościli więźniom ciągnącym wózek z prowiantem i wodą, którzy mogli pożywić się resztkami jedzenia.

29 kwietnia 1945 roku obóz w Dachau został wyzwolony przez żołnierzy amerykańskich. W Niemczech, w amerykańskiej strefie okupacyjnej, Janusz Krasiński pozostawał przez dwa lata jako tzw. dipis – chodził do szkoły średniej, pełnił też służbę w Polskich Oddziałach Wartowniczych. W 1947 roku wrócił do Polski. Miał 19 lat. Myślał o ułożeniu sobie życia – chciał jak najszybciej pozbyć się wojennych, obozowych koszmarów, podjąć studia, po prostu żyć. Jednak życie ułożyli mu komuniści. Kilka miesięcy po powrocie, 24 maja 1947 roku, został aresztowany przez Informację Wojskową – Kontrwywiad Wojskowy, zbrodniczą organizację sowiecką – pod absurdalnym zarzutem szpiegostwa na rzecz wywiadu USA. Jako szpieg amerykański miał dostarczać informacje o stanie lotnictwa, podawać nazwiska i dane oficerów lotnictwa, przysyłać zdjęcia lotnisk i samolotów, pisać raporty na temat transportu wojskowego, a także o działalności partii politycznych i organizacji podziemnych. Dzisiaj brzmi to groteskowo, jak sceny z surrealistycznego filmu czy powieści Franza Kafki. Ale wówczas jego komunistyczni oskarżyciele – szef wydziału śledczego ppłk Malinowski i starszy oficer śledczy Grzelak – nie zawahali się podpisać aktu oskarżenia. Dokument tak naprawdę był wcześniej przygotowanym przez sowieckich nadzorców formularzem, w którym rodzimi funkcjonariusze zaznaczali jedne rubryki, a inne skreślali, niczym w jakiejś szkolnej zabawie „w skreślanego”. Warto przypomnieć, że w tej zbrodniczej organizacji, Informacji Wojskowej, oficerem był Marian Cimoszewicz, ojciec Włodzimierza Cimoszewicza, w czasach III RP premiera rządu, obecnie eurodeputowanego.

Po latach, w rozmowie z Krzysztofem Masłoniem zatytułowanej „Bóg mnie strzegł, sam się strzegłem”, Krasiński powiedział m.in.: „[...] anty-

komunistą stałem się w areszcie Informacji, gdy w celi zobaczyłem granatowego człowieka. To był efekt przesłuchania. Później, na Mokotowie, widziałem prowadzonych nocą na egzekucje najlepszych Polaków”.

Janusz Krasiński został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na 15 lat więzienia. Dziewięć lat spędził w więzieniach przy Rakowieckiej w Warszawie na Mokotowie, we Wronkach i w Rawiczu. Więzienie w Rawiczu opuścił w maju 1956 roku w wyniku amnestii.

► Gdy życiorys jest obsesją

Po wyjściu z więzienia miał trudności ze znalezieniem pracy. Załapał się na jakiś czas w drukarni przy ulicy Marszałkowskiej, a także jako zastępca magazyniera w przedsiębiorstwie „Arged”. Po ujawnieniu swoich zdolności literackich, pisarskich otrzymał propozycję współpracy z dwutygodnikiem „Współczesność”. Okazał się znakomitym prozaikiem, doskonale radził sobie jako dramaturg, reportażysta, autor słuchowisk radiowych i adaptacji teatralnych. W latach 1960–1966 był reporterem i redaktorem w Redakcji Słuchowisk Teatru Polskiego Radia. W latach 1966–1975 prowadził dział prozy w warszawskim tygodniku „Kultura”. Od 1975 roku został członkiem redakcji miesięcznika „Dialog”. Pełnił rolę recenzenta i doradcy Zespołu Filmowego „Iluzjon” (do 1979 roku). Pierwsza powieść Krasińskiego „Haracz szarego dnia” ukazała się w 1959 roku, potem wydał m.in. tom opowiadań „Jakie wielkie słońce” (1962), wspomnianą już powieść „Wózek” (1966), opublikował też wybór dramatów „Czapa” (1973), a także zbiory reportaży, m.in. „Przerwany rejs »Białej Marianny«” (1960), „Trzeci horyzont” (1964). Był członkiem m.in. Związku Literatów Polskich, Polskiego PEN Clubu, Polskiego Ośrodka Międzynarodowego Instytutu Teatralnego, a także Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (w latach 2005–2008 pełnił funkcję prezesa, od 2008 roku miał tytuł prezesa honorowego SPP). Nigdy jednak nie dostał umowy o pracę, na etat, zawsze były to umowy zlecenia, które w każdej chwili można było rozwiązać.

W rozmowie z Barbarą Gancarczyk mówił nie bez goryczy: „Stale byłem ścigany, traktowany jako szpieg amerykański. Czułem się tak, jakbym nadal był naprawdę w więzieniu, choć z drugiej strony w tym trudnym okresie nie zabrakło wokół mnie ludzi mi przyjaznych. [...] Niewątpliwie moją obsesją jest mój życiorys, bardzo skomplikowany i powiedzialbym, że do dziś tragiczny. Obsesją jest też konieczność, potrzeba przekazania tego, co się prze-

żyło, innym, jako doświadczenia, które, nie zakłócając szczęśliwego życia młodym, pozostawiałoby w ich świadomości fakt, że istnieje zawsze alternatywa, że nigdy nie wiadomo, co może się w życiu zdarzyć. Ja też byłem kiedyś dzieckiem, byłem szczęśliwy, po czym to się nie tyle skończyło, co momentalnie urwało. [...] chciałbym młodym ludziom przekazać to doświadczenie, które nie jest tylko moim własnym, ale także tysięcy Polaków. Ja tylko potrafiłem dać temu namacalne świadectwo, inni po prostu poodchodzili, może coś mówili, ale nie zostawili takiego śladu jak ja na piśmie” („Moją obsesją jest życiorys”, „Arcana” nr 84 (6) 2008).

Lęki i strach nie opuszczały go przez całe życie. Musiał stawiać czoło swoim demonom. W 1960 roku Włodzimierz Odojewski i Jarosław Abramow-Newerly załatwili mu pracę w radiu. To go mocno podniosło na duchu. W tym czasie w rozgłośni przy ulicy Myśliwieckiej, w Redakcji Słuchowisk Teatru Polskiego Radia, zebrała się grupa młodych, świetnych pisarzy, oprócz Odojewskiego i Abramowa byli to: Władysław Terlecki, Jerzy Krzysztoń, Ireneusz Iredyński, Stanisław Grochowiak. Janusz Krasiński szybko uczył się nowego rzemiosła pisarskiego – tworzył słuchowiska radiowe. Jedno z nich – „Czapa, czyli śmierć na raty” z 1965 roku, przerobione później na sztukę teatralną – otrzymało wyróżnienia, nagrody, również międzynarodowe. Sztuka ta grana była w wielu teatrach europejskich. Jej autor osiągnął wkrótce mistrzostwo w adaptacji dzieł pisanych prozą do wystawiania ich na deskach teatru. Zetknął się wówczas z wieloma znakomitymi reżyserami, aktorami, został zaproszony do pracy w redakcji „Dialogu”. Krasiński jest też autorem kilku scenariuszy filmowych. Jego warsztat pisarski świadczy wręcz o nieograniczonych możliwościach. Tworzył wiersze, powieści, opowiadania, słuchowiska, dramaty, reportaże. To twórczość bardzo różnorodna rodzajowo i tematycznie.

W biogramach Janusza Krasińskiego możemy przeczytać, że zadebiutował w 1956 roku na łamach „Po prostu” wierszem pt. „Karuzela” i w tygodniku „Przegląd Kulturalny” opowiadaniem pt. „Potworek”. Jednak z wydanej w 2009 roku w Kanadzie w Toronto niewielkiej książeczki pt. „Tabliczki z chleba” dowiadujemy się, że pisarz zadebiutował w więzieniu. „Dziś mógłbym powiedzieć: debiutowałem w roku 1952 w celi więziennej w Rawiczu na tabliczce z chleba pomazanej skwarkiem i posypanej proszkiem do zębów. [...] Czytelnicy zwykle są ciekawi, jak pisze się wiersz. Otóż wiersz pisze się, chodząc po celi. Kilka kroków od drzwi do okna, zwrot i te same kilka kroków z powrotem do drzwi. Przejście jest

wąskie, gdyż połowę celi zajmuje otwarta legimata. Przed wojną otwierano ją na noc, a na dzień zamykano. Lecz teraz, kiedy sienników jest nie jeden, a sześć, nie da się domknąć. Leżą na otwartej pryczy odkryte kocami równo pod kant, przyozdobione na krawędziach zawiniętym od spodu prześcieradłem. Te dwie białe szyny na wierzchu słomianej kostki, zwanej katafalkiem, spełniają ważną funkcję. Z chwilą otwarcia drzwi służą za schowek dla tabliczki. Wsunęta między koc a prześcieradło, bezpiecznie przechowuje zapisane na niej strofy. Po odejściu klawisza poeta nie od razu wyciąga ją z katafalku. Wsłuchany w rytm oddalających się kroków strażnika, powraca do swego wiersza. I znów od drzwi do okna, od okna do drzwi. I rodzą się dalsze strofy, jak niepowne przetrwania ptasie pisklęta. Poeta ma jeszcze dziesięć lat do odsiedzenia, może uda mu się wynieść te wiersze w głowie. Więc dobrze jest zapisać je na tabliczce, aby zanim je zetrze, wkuć na pamięć. Jak „Drewniaki”:

*Nade mną, pode mną kołaczę wciąż but.
Całymi się dniami wsłuchuję w ten chód.
Czy świta, czy zmierzcha, wciąż tętni mi w głuszy
Cierpliwa kołatka drewnianej tej duszy,
A rytmem tak do mnie przemawia boleśnie,
Że w dzień jest mym pulsem, a boli mnie we śnie.
I gra mi melodię z cierpienia wysnutą,
I taką w refrenie powtarza się nutą:*

*W rytm stuka o beton, w rytm bije o bruk,
W rytm dudni po schodach drewniany but.
I miękko po śniegu, a twardo po lodzie,
To chrząści na żwirze, to człapie po wodzie.
Rok jeden, rok drugi i trzeci, i czwarty...
But żółty, but czarny, but nowy, but zdarty.*

Janusz Krasiński w więziennej celi dużo czytał, uczył się. Nie stosował się do słów naczelnika więzienia, który mówił z pogardą do więźniów: „Wyście tu przyszli nie na edukację, nie na resocjalizację, ale zostawić tu swój worek kości”.

W „Tabliczce z chleba” wyznał: „[...] długo dojrzewałem do napisania tego, o czym marzyłem w więziennej celi. Wreszcie napisałem, cztery tomy. Są nawet pięknie wydane, tylko trudno dostępne, przemilczane. Piszą o nich nieliczni, za to wybitni krytycy. Kto przeczytał bodaj jeden z tego cyklu, domyśli się, komu tak niewygodna jest zawarta w nich prawda, choć nie szukałem w niej odwetu”.

► Polska was osądzi!

Autor tetralogii siedział w mokotowskim więzieniu w zbiorowej celi z przedstawicielami przedwojennej polskiej elity, profesorami, oficerami Wojska Polskiego, duchownymi, działaczami politycznymi, żołnierzami Powstania Antykomunistycznego. Miał kontakt m.in. z kapitanem Ryszardem Jamonttem-Krzywickim, adiutantem trzech kolejnych przywódców Polskiego Państwa Podziemnego – gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza „Torwida”, gen. Stefana Roweckiego „Grota”, gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora”; Kazimierzem Gorzkowskim, oficerem Wojska Polskiego II RP i Komendy Głównej AK, żołnierzem podziemia antykomunistycznego; Adamem Obarskim, działaczem PPS-WRN, uczestnikiem podziemia antykomunistycznego; Tadeuszem Płuzańskim, współpracownikiem rotmistrza Witolda Pileckiego, uczestnikiem podziemia niepodległościowego; Janem Radożyckim, tłumaczem, żołnierzem Wojska Polskiego i ZWZ-AK, działaczem Stronnictwa Narodowego; płk. Wacławem Lipińskim, wybitnym historykiem, oficerem Wojska Polskiego, piłsudczykiem, działaczem podziemia antykomunistycznego; ks. prof. Janem Stępnem, późniejszym proboszczem w Laskach. Janusz Krasiński miał też okazję poznać: Kazimierza Pużaka, działacza socjalistycznego, jednego z głównych oskarżonych w moskiewskim procesie szesnastu, zamordowanego w więzieniu; Stanisława Skalskiego, słynnego pilota Dywizjonu 303; profesora Władysława Tarnawskiego, filologa anglistę, działacza niepodległościowego; doktora Bruna Fijałkowskiego, warszawskiego lekarza, który choć nie miał nic wspólnego z polityką, spędził dwanaście lat w hitlerowskich obozach koncentracyjnych i więzieniach komunistycznych.

Należy wymieniać, przypominać nazwiska więzionych, mordowanych, torturowanych przez komunistów wielkich naszych rodaków – to oni byli predestynowani do objęcia rządów w Polsce, a nie komunistyczna hołota, której potomkowie nadal domagają się przejęcia władzy.

Warto przytoczyć choćby jeden ze szkiców do portretów literackich naszych bohaterów podziemia niepodległościowego. W X pawilonie więzienia na Mokotowie Szymon Bolesta miał okazję obserwować majora Hieronima Dekutowskiego „Zaporę”:

„Za ścianki (ubikacji) wyszedł niewysoki mężczyzna w battle dressie. Cichociemny?... Zrobił jedno okrażenie [...], przystanął i wsparł się rękami o krawędź stołu. [...] Ciemna czupryna zwisała mu

na oczy, wielkie zaciśnięte wargi – apatycznie kołysał pochylonym ciałem. [...] Nagle uczynił szybki ruch ręką, wywołując tym krótką, lecz gwałtowną wymianę zdań przy stole, po czym rozległ się jego donośny głos:

- W następnym ruchu bierzesz pan królowkę.
- Znow strzelasz pan do mnie z biodra, majorze – odezwał się drugi głos.
- O nie, mecenasie – zaoponował cichociemny.
- Nigdy z biodra, tylko tak... – ułożył łokieć na środku brzucha. – Zawsze tak... Angielska szkoła. Uniwersytet w Audley End [ośrodek szkolenia cichociemnych w Anglii – przyp. DJ]. Na dziesięć – dziesięć trafionych... Z marszu. Mógłbym to panu pokazać w lesie. Dlaczego pan się zasłonił? Uratowałby pan jeszcze damulkę. [...]

Szymonowi pociemniało w oczach. Wydawało mu się, że jest mimowolnym świadkiem profanacji śmierci. Z tym, że profanującym był nie kto inny, ale właśnie oczekujący jej skazaniec. Cichociemny z Audley End zrzucony [...] pod Zamościem z czteromotorowego halifaxa. Major Zapora – jeden z najzacieklej ściganych przez Niemców dowódców partyzantki. Szymon przeżegnał się żarliwie w duchu.

Tę opisaną partię szachów rozgrywał major „Zapora” z Władysławem Siłą-Nowickim „Stefanem” („mecenasem”), oficerem AK, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, swoim zwierzchnikiem w strukturach WiN.

Szymon obserwował niemal każdy ruch mjr. „Zapory” w dużej więziennej celi, w której przebywało kilkudziesięciu więźniów. Zawsze przy majorze trwała wiernie dwunastoosobowa grupa jego podkomendnych. Chłopcy modlili się za niego. Jeden z oddanych dowódcy partyzantów prosił nawet: „Boże, natchnij prezydenta Bieruta wolą łaski!”. Oczekujący na karę śmierci esesman Handke także z podziwem patrzył na majora „Zaporę”. „Najdziwniejszy był jego stosunek do partyzantów, do majora „Zapory”, do tych dwunastu oczekujących egzekucji. Co rano, kuląc się pod ich zimnym wzrokiem, kłaniał im się z onieśmieniem. I czytał to z takim szacunkiem, jakby fakt, iż znalazł się między nimi, poczytywał sobie za największy, choć niezasłużony zaszczyt, za fatalną pomyłką historii, przyznane mu wyróżnienie”.

Czyż to nie rehot historii, że nawet esesman potrafił okazać po swojemu szacunek dzielnym polskim żołnierzom? Jak wiemy z innych przekazów i relacji, komuniści, aby upodlić, pohańbić „Zaporę” i jego oficerów, podkomendnych, zakładali im na rozprawę sądowe mundury żołnierszy Wehrmachtu.

Major „Zapora” nie czekał biernie w więzieniu, aż komuniści wykonają wyrok śmierci. Pisarz opowiada o próbie ucieczki „Zaporczyków” z mokońskiego więzienia. Za metalową ścianką ubikacji drążyli w pocie czoła otwór w suficie. Otwór po nocnym drażeniu zaklejali nad ranem papierem i posypywali przybrudzonym proszkiem do zębów. Kiedy była już możliwość ucieczki i można było przecisnąć się przez dziurę na dach, zadenuncjował ich więzień kryminalny o nazwisku Kuźma.

Z dokumentów historycznych wiemy, że egzekucja „Zaporczyków” odbyła się 7 marca 1949 roku. Mordowani byli w kilkuminutowych odstępach. Major „Zapora” został zamordowany ostatni. Krasieński w swoim opisie nie trzymał się ściśle faktów, pozwolił sobie na własną wizję artystyczną:

„Więc kiedy tam na korytarzu najmłodszy z jego oficerów wleczony nago przez oprawców wzywał na ratunek matkę i błagał o życie, tak po dziecinnemu za wszystko przeprasząc, a [...] poddawany rewizji, która była tylko pretekstem do wyprowadzenia skazanych, zupełnie odebrało głos, wtedy major „Zapora”, także obnażony do pasa, wykrzyknął: »On sam pójdzie! Pozwólcie mu się tylko ubrać, szubrawcy!«. A do tego chłopca: »Żołnierzu, strzelałeś i wiesz, co to kula w łeb. Wstań! Oni ci nic więcej zrobić nie mogą«. Potem splunął w twarz najbliższemu z oprawców: »Krótko tu waszej władzy, stalinowskie pacholki! Polska was osądzi!«”.

► Pointa

Janusz Krasieński bardzo bolał nad tym, że jego saga o losach Szymona Bolesty jest przemilczana przez krytyków, że nie ma dyskusji toczonych na temat jego książek – nie trafiają tym samym do szerszego kręgu czytelników. Powątpiewał w sens pisania, dręczyl się, że jego książki są nikomu niepotrzebne, nieważne.

Jego twórczość, mimo „nieprawomyślnej” przeszłości autora, również mimo cenzury, cieszyła się dużo większym uznaniem w czasach PRL-u niż w tzw. III RP, w postkomunizmie. W czasach komunizmu Krasieński dostroił się do ówczesnych wymogów politycznych, jego utwory współbrzmiały z oficjalną wersją prawdy. Wtedy powstały nagradzane teksty: „Wózek”, „Czapa, czyli śmierć na raty”, „Śniadanie u Desdemony”.

Możemy się jednak pocieszyć, że wybitni polscy krytycy literaccy: śp. Tomasz Burek, prof. Krzysztof Dybciak, prof. Maciej Urbanowski, doceniają twórczość Janusza Krasieńskiego powstałą w wolnej Polsce. ■



Dom polski według Nakwaskiej

Ewa Polak-Pańkiewicz

„Jest naturalne, że dotknąć mysz, żabę, węża, kreta lub pajaka nogą prawie nie odzianą, jest nader przykrą rzeczą” – pisała Karolina z Potockich Nakwaska (1798–1875) w swoim zbiorze porad „Dwór wiejski”. „Nie podobna chodzić po ogrodzie, dziedzińcu, folwarku, w lekkich prunelowych trzewikach z cieniućkami podeszwami. Sądzę, że te cienkie obuwia czynią zapewne Polki tak czułymi i bojaźliwymi na obrzydliwego”.

Józef Ignacy Kraszewski we wspomnieniu o Karolinie z Potockich Nakwaskiej, autorce poradnika domowego „Dwór wiejski”, pełnego szlacheckiego animuszu, kreśli intrygującą postać. Barwną, wszechstronną, obdarzoną żywą inteligencją i ciekawością świata, a przy tym niesłuchanie praktyczną i rezerwową we wszystkim, co dotyczy nie tylko gospodarstwa domowego, lecz także codziennego życia rodziny, w którym tak potrzebna jest wiedza i wyobraźnia, a przede wszystkim kultura i dobre obyczaje. Wykształcenie jej było wszechstronne – niemal „encyklopedyczne”, podkreśla Kraszewski – posługiwała się kilkoma językami, miała gruntowną wiedzę „o wszystkim, co z powołaniem kobiety, matki, żony, gospodyni, pani domu, jest związane, a przy tym smak dla sztuki i literatury wyrobiony”. No i znajomość świata wielką – ludzi w wielu krajach Europy, ich siedzib, zwyczajów, sposobu życia oraz rodzin polskich i ich losów, wyniesioną z niezliczonych przymusowych wędrówek po całym kontynencie.

► Jakiś ogień, rzeźwość, moc

Są w tej pisarce – spontanicznie, z wdziękiem, ale i z prawdziwym zapałem udzielającej porad innym kobietom – typowe cechy Potockich. Jakaś zawziętość w zbieraniu przydatnej wiedzy, konsekwencja w prezentowaniu zasad świata przyrody i prawideł moralnych, a zarazem żywiołowość i energia. Tu „z krwią i duchem przechowuje się jakiś ogień, rzeźwość, moc, jakaś potęga woli, na której drugim zbywa” – twierdzi pisarz. Za czasów Stanisława Augusta żaden inny ród nie prezentował też jego zdaniem „takiej galerii postaci aż do ekscentryczności dochodzących”.

„Wspomnijmy tylko typ polskiego magnata we Franciszku Salezym, wojewodzie kijowskim; dziwactwo starosty kaniowskiego, genialne rzucanie się w szukaniu prawdy Jana Potockiego, rolę polityczną i wspieranie Ignacego i Stanisława, szaleństwo polityczne Szczęsnego, rzutkość Prota, dowcip Kossakowskiej, wybryki starosty szczerczeckiego...” (Pisarz zagalopował się tylko przy Szczęsnym, bowiem jego „szaleństwo polityczne” powszechnie uznawano za przejaw żenującej miernoty intelektualnej i zwyczajnej hucpy. Historycy zgodnie podkreślają nie tylko jego nędzę moralną, lecz także tępy umysł).

Karolina była córką pułkownika Adama Potockiego i Marii Antoniny Rostworowskiej. Ojciec, słynny dowódca 11. pułku jazdy Księstwa Warszawskiego, był synem starosty olsztyńskiego, z tak zwanej linii prymasowskiej. Jako dwunastolatek został wysłany do szkół we Francji wraz z trzema innymi Potockimi. „W r. 1794 osiemnastoletni bił się już pod Kościuszką” – wspomina Kraszewski. W 1809 roku uzbroidł własnym kosztem

dwustu ludzi konnych ze swoich dóbr, którzy dzielnie walczyli przeciw Austriakom; pułk, którego był twórcą, został wcielony potem do dywizji generała Latour-Maoubourga i poszedł walczyć pod Napoleonem. Był pod Mirem, Mołajskiem, doszedł do Moskwy. Ta straszliwa kampania, „jej trudy, gorycze, doznane cierpienia, przedwcześnie, bo w trzydziestym piątym roku życia dobiły hr. Adama i osierociły rodzinę”.

Młodość Karoliny Potockiej naznaczona była dramatem utraty ojcowskiego majątku, który został objęty sekwestrem najeźdźcy. Była zarazem świadkiem rozbudzenia życia narodowego, ofiarności ojca, „błysków nadziei i nieszczęść, jakimi je opłacono... Nie były bez wpływu na córkę ojcowskie zajęcia, atmosfera naukowa i artystyczna, która ją otaczała” – zaznacza Kraszewski.

Po śmierci ojca Karolina wychowywana była przez matkę, osobę lekkomyślną i rozrutną, pozbawioną kobiecej mądrości. W krótkim czasie roztrwonila ona pozostały majątek. Nie umiejąc utrzymać reszty rozległych dóbr i pokierować mądrze życiem córki, wydała – a w istocie wypchnęła – siedemnastoletnią Karolinę za Aleksandra Starzeńskiego. Małżeństwo zawarte pod presją rodziny zostało po kilku latach uznane przez Kościół za nieważnie zawarte. W 1826 roku Karolina poślubiła w Krakowie Henryka Mirosława Nakwaskiego, późniejszego posła na sejm okresu powstania listopadowego, działacza emigracyjnego i publicystę. Małżonkowie przenieśli się z Galicji do Nakwasina na ziemi wyszogrodzkiej. Tu Karolina miała okazję poznać prawdziwe życie wiejskie w zamożnym majątku, także życie chłopów, podjąć obowiązki pani domu i gospodyni. Zajmowała się z wielką energią dziećmi, włościanami, szpitalem i szkołą wiejską. Jej syna Stanisława trzymało do chrztu oprócz rodziców męża dziesięć par sołtysów z dziesięciu dziedzicznych folwarków. Tu rozwinęła się siła woli i niezłomny zdrowy rozsądek przyszłej autorki „Dworu wiejskiego”.

Od najmłodszych lat Karolina miała zacięcie pisarskie. W 1830 roku w „Gazecie Polskiej” zabłysnęła omówieniem „Mnicha” Józefa Korzeniowskiego. Była jednak przede wszystkim naturą czynną i pełną zapału do niesienia pomocy innym oraz pomysłów, jak usprawnić codzienne życie domu i gospodarstwa.

W czasie powstania listopadowego, gdy pod Grochovem grzmiąły działa, założyła razem z generałową Małachowską szpital dla rannych i chorych w salach reduktowych teatru warszawskiego; w jego prowadzeniu pomagały aktorki teatru. Mąż tkwił po uszy w życiu politycznym powstańczej Warszawy. Gdy ona opatrywała rannych, ziemianie przybyli z Podola wybrali jej męża na posła na sejm Królestwa Polskiego z województwa bradawskiego – jako niezamienitego właściciela majątku na tamtych ziemiach.

► Tułacz szlak

Po upadku Warszawy we wrześniu 1831 roku Henryk Nakwaski razem z wojskiem, przez Pragę i Zakroczym, opuścił granice Królestwa. Rodziny członków sejmu miały stanowczy zakaz wyjeżdżania ze stolicy. Karolina Nakwaska, zmuszona do pozostania w Warszawie, zajęła się pielęgowaniem złożonego chorobą ojca swego męża, senatora-wojewody Franciszka Salezego Nakwaskiego (był w czasie powstania prezesem senatu, potem organizatorem i prezesem Komitetu opiekującego się rodzinami wojskowych oraz Komitetu wspierającego dotkniętych klęskami wojny). Dzięki jej zabiegom i staraniom rozkaz wielkiego księcia Michała skazujący go na wygnanie do Rosji nie został wykonany. Dopiero w 1832 roku Karolina mogła połączyć się z mężem w Dreźnie. Tutaj jednak uchodźcom polskim nieustannie przypominano, że nie mogą pozostawać tu dłużej. Wyjazd małżonków wstrzymywała poważna choroba synka. Wreszcie zmuszono ich do opuszczenia Drezna wraz z wieloma rodakami, m.in. z Adamem Mickiewiczem.

Z Drezna wyruszyli do Karlsruhe, ale i tu mogli zostać zaledwie kilka miesięcy. „Wyprawy emisariuszy do kraju, zaburzenia we Frankfurcie [...] sprawiły, że się Polakom nigdzie nie pozwalano osiedlić na stałe. Nieszczęśliwym trafem pp. Nakwascy znaleźli się 4 sierpnia 1833 r. w sercu bitwy pomiędzy Bazyleą a wiejską ludnością kantonu, w której Polaków powołano na instruktorów. Potem kilka spokojnych miesięcy mogli spędzić w Vevey” – pisze Kraszewski.

Priorytetem dla małżonków była sprawa utrzymania ich własności na zabranych przez okupantów ziemiach. Dla ratowania resztek majątku w Galicji Karolina Nakwaska zdecydowała się wyjechać do kraju. Władze austriackie pozwoliły jej zaledwie dotrzeć do Łańcuta i zmusiły do powrotu do Szwajcarii. Nakwascy otrzymali obywatelstwo tego kraju. Dane im było kilka lat wytchnienia, jeśli można tak nazwać czynne życie wśród niezliczonych obowiązków publicznych. „Wielu dziesiątkom nieszczęśliwych naszych współbraci, bezdomnych i głodujących wygnańców trzeba było dać jakiś przytułek i środki do życia” – przypomina Kraszewski. Demokratyczne przekonania Henryka spowodowały, że znalazł się poza najbardziej wpływowym nurtem emigracyjnym, jakim był Hotel Lambert księcia Adama Jerzego Czartoryskiego. Od 1833 do 1834 roku współwydawał „Souvenirs de la Pologne”. Był jednym z założycieli Szkoły Polskiej w Paryżu. Pisywał w prasie emigracyjnej na tematy oświatowe, rolnicze, bankowe; był autorem pamiętników z lat 1830–1850, których fragmenty drukował Józef Kallenbach w monografii Mickiewicza. Działal na rzecz uwłaszczenia chłopów.

Emigracyjną tułaczkę, pełną dramatów osobistych (m.in. śmierć synka, który nie przeżył przymusowej eksmisji z Drezna). Nakwasy dzielili z grupą twórców i działaczy patriotycznych. Po Paryżu i Szwajcarii, w 1862 roku przenieśli się do Tours, gdzie słynną już wśród Polaków autorkę „Dworu wiejskiego” poznał Józef Ignacy Kraszewski.

► Ziemianie bez ziemi

Po powstaniu resztki mienia Potockich zostały zaskwestrowane, skonfiskowano też majątek męża Karoliny w Kępie Polskiej. W 1834 roku udało się jej uzyskać paszport emigracyjny, mogła wyruszyć ponownie na Podole, by próbować ratować zniszczony majątek i prosić o zdjęcie sekwestru.

„Gubernator podolski przyjął panią Nakwaską dość uprzejmie; można się było nawet spodziewać, iż sekwestr zdjęty zostanie, ale na to potrzeba było rozkazu generała-gubernatora Bibikowa. Pomimo ostrej zimy

do jak najszybszego wyjazdu, uznano ją za niebezpieczną wicherzycielkę i oskarżono o katolicką propagandę.

Miała jeszcze nadzieję, że majątek zostanie oddany córkom urodzonym przed rokiem 1830, zatrzymała się więc w Kamieńcu; kurier z Petersburga przywiózł jednak rozkaz, że ma natychmiast opuścić miasto. Niedomagając z powodu ciężkiej zimy, z dzieckiem przy pierś, zmuszono ją do oddania paszportu i w zamian wręczono jakiś świstek... W trzaskający mróz odprowadzono ją saniami do granicy austriackiej z policyjną eskortą. Austriacy pozwolili jej łaskawie udać się do jej własnego majątku Bilcze, gdzie chciała odpocząć po trudach wyprawy. Jednak zarządca majątku nie znał jej osobiście i nie chciał przyjąć pod dach bilczewskiego dworu osoby bez paszportu. Wkrótce też administracja austriacka zaczęła robić trudności co do dalszego jej pobytu w Galicji. (Bilcze, jedna z najpiękniejszych majątności w województwie tarnopolskim, sprzedane zostało w rezultacie za bezcen i dostało się ks. Leonowi Sapiesze). Karolina w drodze do Wrocławia, gdzie miała połączyć się

OD NAJMŁODSZYCH LAT KAROLINA MIAŁA ZACIĘCIE PISARSKIE. W 1830 ROKU W „GAZECIE POLSKIEJ” ZABEYŚNEŁA OMÓWIENIEM „MNICHA” JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO. BYŁA JEDNAK PRZED W SZYSTKIM NATURĄ CZYNNĄ I PEŁNĄ ZAPAŁU DO NIESIENIA POMOCY INNYM ORAZ POMYSŁÓW, JAK USPRAWNIĆ CODZIENNE ŻYCIE DOMU I GOSPODARSTWA.

udała się więc do niego do Kijowa” – wspomina J.I. Kraszewski. (Dmitrij G. Bibikow był gubernatorem podolskim i wołyńskim oraz gubernatorem wojennym kijowskim. Był to zdecydowany rusyfikator, współinicjator i wykonawca wielkiego antypolskiego przedsięwzięcia, weryfikacji szlachectwa, w wyniku której ogromna część polskiej szlachty została pozbawiona praw stanu; jako kurator Okręgu Kijowskiego wprowadził też do szkół rygor wojskowy). „Przyjęta bardzo na pozór grzecznie przez hr. R., który naówczas pewną rolę odgrywał na dworze Bibikowa...” Jednak informacje, które ten rusofil zdobył od szpiclów, wrogo nastawiły do niej Bibikowa. „Ten rodzaj wiernopoddanej zdrady” – jak zaznacza Kraszewski – wkrótce stał się znany wśród polskiej szlachty jako przykład podłego zachowania. Bibikow przyjął Karolinę Nakwaską z wyszukaną grzecznością, by jej oznajmić z zimnym uśmiechem: „Pani obowiązkiem jest starać się pomóc mężowi, a moim nie dopuścić, aby się to stało”. Sekwestr nie tylko nie został zniesiony, ale Bibikow starał się zmusić Karolinę

z mężem, próbowała jeszcze we Lwowie uprosić o pozwolenie na przyjazd męża, by mógł uregulować sprawy majątkowe u ówczesnego namiestnika Galicji arcyksięcia Ferdynanda d'Este (dowódcy wojsk austriackich przeciw wojskom Księstwa Warszawskiego w 1809 r.). Arcyksiąże odmówił.

Po tych niepowodzeniach Nakwasy mieli już tylko nadzieję, że będą mogli przez jakiś czas pozostać jeszcze w Poznańskim i w Prusach zachodnich. Chcieli być jak najbliższe rodzinnych stron. Srodze się jednak zawiedli na „wrozumiałości i ludzkości” pruskich władz. Fakt zawiązania w Paryżu w 1841 roku przez grono dawnych członków sejmiku stowarzyszenia Ojców Rodzin, które zaczęło organizować polską szkołę w Batignolles, był dla administracji pruskiej sygnałem alarmowym. Nakwaski miał zbierać na rzecz szkoły składki w Księstwie, co zrodziło podejrzenie gromadzenia funduszy na cele rewolucyjne. I kiedy małżonkowie znajdowali się na wsi w Choryni, serdecznie goszczeni w domu przyjaciół Taczanowskich, miejscowy landrat odebrał polecenie, by

zandarmi natychmiast odprawili ich do Poznania. Ostrzeżeni w porę, wyjechali inną drogą.

► Miejsce do twórczości wybrane

Właśnie tu, w Choryni Taczanowskich (w tym samym dworze, który gościł kilkakrotnie Mickiewicza i gdzie powstała „Reduta Ordona”), Karolina Nakwaska powzięła myśl napisania „Dworu wiejskiego”, po przejechaniu i poznaniu całego obszaru dawnej Polski „od Dniepru do Bałtyku”, jak pisze. Mniej więcej w tamtym czasie zetknęła się też z francuskim dziełem „La maison de campagne”, wydanym w 1830 roku przez Aglaé Adanson. Książka stała się wzorem i inspiracją dla Karoliny. Wielka popularność pierwszego tomu pozwoliła jej wydać następne, koryzowała przy tym z przedpłat stałych czytelniczek. (W czasie pobytu w Heidelbergu Karolina napisała także powieść dla dzieci i „Krótką historię polską” po angielsku. Jej wspomnienie o ojcu wydano w Krakowie w 1872 roku).

Po stracie córki Marii i po wypadkach 1846 roku w Galicji pobyt w Niemczech (mieszkali m.in. w Heidelbergu) stał się tak trudny i uciążliwy, że Nakwascy przenieśli się do szwajcarskiej wioski Laney pod Genewą, gdzie schroniło się kilkunastu Polaków. W 1862 roku przeprowadzili się do Tours. Stąd w 1870 roku, z powodu wojny niemiecko-francuskiej, musieli wyjechać do Bordeaux.

Kraszewski osobiście poznał Karolinę Nakwaską właśnie w Tours, w ostatnim roku jej życia. Była już schorowaną starszą panią, pisarz był jednak pod wrażeniem świeżości jej umysłu i szerokości horyzontów oraz „gorącego przejęcia się wszystkim, co Polski dotyczyło”. W stylu emigrantki dostrzegł zaś „coś sympatycznego, ożywionego, ciepłego, dobitnego, polskiego”.

► „Trzeba ci wiedzieć o krowach, świnia i kurach...”

Dla kogo pisany był „Dwór wiejski”? Przemawia w nim do czytelników jakby dorosła już Zosia z „Pana Tadeusza”. Zosia nie tylko romantyczna, uczuciowa, kochająca ogród, wieś i zabawy z małymi dziećmi, lecz gospodyni w wielkim stylu, która poznała niezliczone tajniki wiejskiego życia, w którym zmagać się trzeba z niewygodami, trudami, dzikimi zwierzętami i nieurodzajem, chorobami, kataklizmami, niepokodą, nieproszonymi gośćmi, niesformą służbą i wszelkimi żywiołami. Zosia pracowita, wspaniałomyślna, odważna i przezorna. Dama i fachowa ogrodniczka w jej osobie.

Ponadto, gdy „dorosła Zosia” pisze w swoim poradniku o „lenistwie” i „pańskości”, staje się prawdziwą pogromczynią największych wad sfery wyższej.

„Mężom tu dasz pokój, bo nie im przypisana ta książka, lecz wy, panie, przyznajcie, czyście tak czynne,

jak żony, matki, gospodynie być powinny? Czy wam się nie marzy, że zatrudnienie jest wam ubliżeniem, elegancją próżnowanie, pańskością nie dbanie o swoje rzeczy, wytwornością zasklepienie się w zaropiałych błędach? [...] nikomu Bóg leniwym być nie dozwala; przy zatrudnieniu stanie się życie wasze weselsze, ustronie domowe miłsze i ozdobniejsze, [...] pańskością nigdy nie będzie nieporządek, boć i aktorka na scenę się wystróić potrafi... Bądźcie wielkimi paniami, jeśli was Bóg na tym stopniu postawi! – odznaczajcie się datkiem, pomocą, opieką, doskonałością ułożenia, wyższą oświatą...” – napomina w namietnym porywie autorka. I zaraz po tym umoralniającym traktacie radzi, co zrobić, gdy sadze zajmą się w kominie („dobrze rzucić na ognisko garść siarki w proszku, osłaniając otwór komina mokrą płachtą”) oraz zaleca, jak mieć zawsze w ziemie świeże ogórki („trzeba je w beczółce zakwaszwszy, tę szczerlnie zabić, zapakować i wpuścić na dno studni lub stawu, sznur od niej na brzegu przytwierdzając, aby je z łatwością wydobyć”).

Właściwą odbiorczynią książki Nakwaskiej jest pani domu ze średnio zamożnego ziemiaństwa. Zawarte tu rady – praktyczne i moralne – trafiają idealnie w potrzeby ziemianki, która należy do tych, „którzy kilkanaście tysięcy dochodu tylko liczą”. Czyli do osób o podobnym statusie społecznym jak autorka, wywodząca się z rodziny magnackiej, ale żyjąca oszczędnie i skromnie.

„Jeżeli cię więc Bóg postawił w stanie tej szczupłej mierności, choćbyś stu sławnych przodków, tytułami najświetniejszymi oznaczonych miała, trzeba ci zapomnieć o ich zaszczytach, raczej tylko pamiętać o tym, aby świetne pochodzenie żadnym brudnym czynem nie zeszpecić. Co zaś do gospodarności, przykładaj się do niej we wszystkich szczegółach. Trzeba ci wiedzieć o krowach, o świnia i o kurach, mieć staranie o płotno, o ogrodzie, o kuchni... Pracować z córkami około odzieży, nauczycielką być dzieciom, nie trzymać obcych guwernantek, nie dawać błyskotliwego wychowania, wymierzonego na próżność... Nie jesteś w stanie trzymać lekarza dla włościan? Ale sama chorymi trudnić się możesz. Nie masz apteki? Ale jesteś w możności sadzenia, zbierania, suszenia ziół”. (W innym miejscu Karolina doradza, jak założyć przydomową hodowlę pijawek, sprowadzając je z Litwy lub z Węgier). „Nie masz szkoły? Ale ci nie jest wzbronionym nauczać cnoty i pierwszych umiejętności dzieci ubogich...”.

► Na szczycie niewieściej doskonałości

„Zawód kobiety nie jest tak błahy ani tak poziomy, jak to niektórzy myślą i mówią: w waszych bowiem rękach szczęście mężów, pomyślność dzieci, od was idzie przykład podwładnym, wy się uważać powinniście jako mające opiekę duchową nad tyłu istotami waszej pieczy

przez Opatrzność powierzonymi” – takie przesłanie przyswieceła autorce trzech tomów „Dworu wiejskiego”.

Tom pierwszy „Dom wiejski” mówi o rozlicznych zaletach życia na wsi. Przedstawia m.in. „Korzyści dla zdrowia i przyjemności życia wiejskiego”; plan urządzenia spiżarni; zagadnienia architektoniczne i budowlane wiejskiego domu; sposób postępowania ze służbą, wykaz książek przydatnych na wsi, zakładanie pasieki, drwalni, stolarni, pralni, kurnika... Tom „Kuchnia wiejska” zawiera paręset bardzo atrakcyjnych także dziś przepisów na dania proste i pomyslowe. Na ostatni tom „Rady i przepisy” składają się praktyczne rady ułożone w porządku alfabetycznym (na przykład: „Ból zębów”, „Ciężarność”, „Maligna”, „Małżeństwa”, „Mikstury”, „Morwy”, „Muchy i mrówki”, „Odwiedziny”, „Śluby”, „Własności pokarmów”, „Wścieklizna”, „Wykręcenie nogi lub ręki”, „Zachowanie się kobiet”, „Zegary i zegarki”, „Zgorszenia”, „Złoto”, „Zolzy”, „Zwierciadeł chędożenie”...). Nie sposób nie przyznać autorce wytrawnej wiedzy chemicznej, botanicznej, zielarskiej oraz tej z zakresu medycyny konwencjonalnej i naturalnej, tak dziś modnej, już nie mówiąc o fachowej wiedzy kulinarnej, ogrodniczej, inżynierskiej.

Najciekawsze dla dzisiejszych czytelników rozdziały dotyczą porządków domowych, zabezpieczenia domu przed mrozem, wilgocią i złodziejami, architektury i położenia domu, rozplanowania gospodarstwa i ogrodu. Rodzaje win i innych trunków, octów, olejów, wód, których sporządzanie we własnym zakresie Karolina Nakwaska dokładnie opisuje, mogą wywołać lekką zazdrość dzisiejszych pań domu. Rozdział o rodzajach nici budzi zachwyt. „Do cerowania i haftowania muslinów najlepiej jest brać wysnute nitki ze szkockiego batystu... nici saskie lńiane są piękne i mocne... Nici czarne trzeba kupować w gatunku, jaki kapelusznicy potrzebują, są one mocne i nie farbują. Do znaczenia bielizny najlepszy kolor jest czerwony, bawełna niebieska prędko się wypiera (Patrz: pokrzywy)”. Rozdział o nauczycielach domowych udowadnia, że autorka знаła od podszewki środowisko, skąd wielu z nich się wywodziło: w Szwajcarii, Niemczech i we Francji napatrzyła się i nasłuchiwała tych, których później przyjmowano w dworach polskich z wielką rewerencją jako „preceptorów” i „bony”, często bez rekomendacji. Przestrzegała przed naiwnością i łatwowiernością polskich matek, a zarazem perswadowała, by traktować obcokrajowców z szacunkiem i serdecznością.

Gdy pisze o wyposażeniu pokoi służących i potrzebie wyposażenia ich łóżek w materace, by nie spali na słomie, wie, że naraża się na krytykę. „Prawda, że u nas nienajeden się na pismo moje roześmieje! Rzuci książkę, powie: a to baba, dziwaczka, każe naszym Marynom i paniskom Maćkom i Kubom na materacach sypiać! Śmiecie się zdrowo, moi Państwo! Ale śmiejąc się,

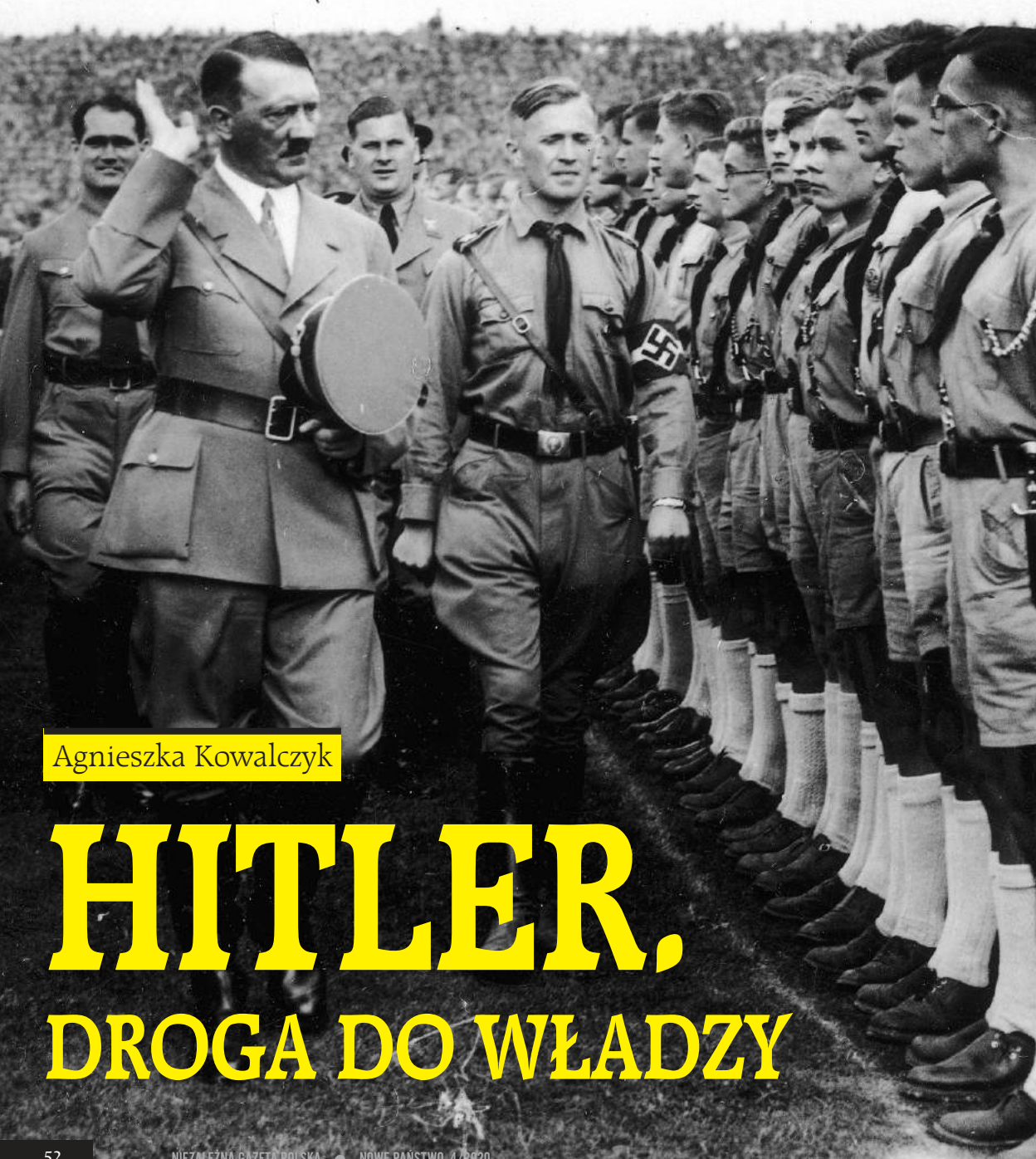
pamiętajcie na to, aby drudzy na was nie płakali! Aby ludzie przez Opatrzność pieczy waszej powierzeni, za których Bogu odpowiedzieć kiedyś macie, z winy waszej szwanku na zdrowiu i siłach nie ponieśli. Zdrowie i siły są ich całym majątkiem...”

Cała książka jest zresztą przepelniona wdzięcznością i uznaniem dla polskich kobiet, dam, matron i dziewcząt. Czuje się, iż autorka wie, że zasługują na kompetentną pomoc, na prawdziwie mądrą, przyjacielską radę. „W Polsce, podług powszechnego uznania, kobiety tak szczerze obdarzyła Opatrzność darami przyrodzenia, powabem, dowcipem, dobrocią serca, niechże i do tych zalet przyłączy roboczą skrętność, a będą na szczycie niewieściej doskonałości [...]. Wszędzie powtarzam, że żona jest ręką, a mąż głową... gdzie jest inaczej, tam się wyradza potwór towarzyski, przeciw przepisom Boga i prawom ludzkim... nie ma dla kobiety pożądansego szczęścia na tej ziemi, jak w dopełnianiu obowiązków jej właściwych” – pisała w przedmowie do pierwszego wydania „Dworu wiejskiego” w 1842 roku.

„Rozszerzyliśmy się nad życiem autorki »Dworu wiejskiego« nie bez przyczyny” – wyjaśniał Józef Ignacy Kraszewski w listopadzie 1875 roku we wspomnieniu po Karolinie Nakwaskiej, sporządzonym w Dreźnie. „Jakież to obraz losu naszych niewiast polskich, ich cierpień, poświęceń i pracy; jaki przebieg tego całego życia od kolebki senatorskiego domu do grobu na obcej ziemi: z miłością kraju w sercu, w ciszy, rezygnacji i spokoju. Zaprawdę, są męczeństwa w dziejach głośniejsze i świetniejsze, ale większych nad te w oczach Boga i ludzi po Bożemu świat pojmujących – nie ma! [...] Opatrzność wystawiła ją na próby, na jakie tylko wybranych swoich naraża. Od dzieciństwa wśród walk, burzy, ciosów i klęsk, prześladowań losu i ludzi, z pogodą i spokojem dotrwała do końca – to zaiste przykład wielki i zasłaga ogromna!”.

Książkę tej zapomnianej autorki dziś zwłaszcza warto odkryć, bo jest wielką, choć nie wyidealizowaną i nie podkolorowaną apoteozą polskiego domu, ogniska domowego i prawdziwej kobiecości. A kobiecość to nie tylko umiejętność prania koronek (w oliwie!) czy przyrzadzanie na kilka sposobów sztokfisa (dorsza), to także sztuka opiekowania się chorym, zadbanie w porę o zbiory owoców w sadzie, przyjazny, ale nie pobłażliwy stosunek do pracowników. Wiedza, co podać, gdy ktoś boli gardło czy brzuch, gdy ktoś ma migrenę, dreszcze lub ugryzła go goszczola.

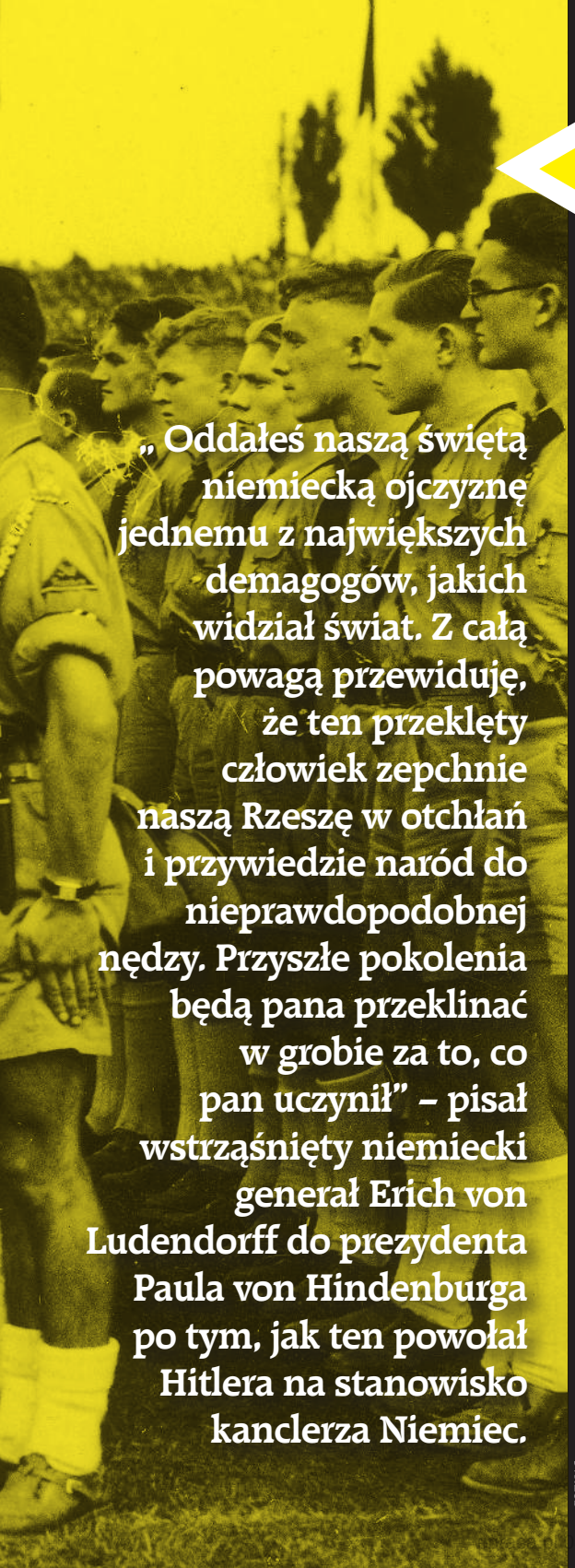
Ważna wiedza i nieoszacowanej wartości umiejętność zaprawiona hartem ducha, zwłaszcza dziś, gdy tak wiele rodzin z dziećmi wiedzionych zdrowym instynktem wybiera życie poza miastem. Im wszystkim warto zadedykować ten poemat prozą o pięknie i sile kobiecej natury przez „dorosłą Zosie” napisany. „Dwór wiejski” przez Karolinę z Potockich Nakwaską, jak głosi napis na stronie tytułowej. ■



Agnieszka Kowalczyk

HITLER.

DROGA DO WŁADZY



„Oddałeś naszą świętą niemiecką ojczyznę jednemu z największych demagogów, jakich widział świat. Z całą powagą przewiduję, że ten przeklęty człowiek zepchnie naszą Rzeszę w otchłań i przywiedzie naród do nieprawdopodobnej nędzy. Przyszłe pokolenia będą pana przeklinać w grobie za to, co pan uczynił” – pisał wstrząśnięty niemiecki generał Erich von Ludendorff do prezydenta Paula von Hindenburga po tym, jak ten powołał Hitlera na stanowisko kanclerza Niemiec.

Początki życiowej drogi Hitlera, Austriaka pochodzącego z Braunau, w niczym nie zapowiadały tak spektakularnej kariery politycznej. Przyszedł na świat jako syn urzędnika celnego, który był niesłubnym dzieckiem Marii Anny Schickelgruber, urodzonym przez nią w czasie, gdy służyła u pewnej żydowskiej rodziny. Po dojściu do władzy Hitler chciał zataić ten kompromitujący go fakt, doprowadzając do zniszczenia cmentarza w Dollersheim, gdzie znajdowało się miejsce pochówku jego ojca i babki. Jako młodziemiec przyszedł kanclerz Rzeszy miał pewne aspiracje artystyczne. Marzyły mu się studia malarskie w wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, do której próbował dwukrotnie się dostać, ale za każdym razem bezskutecznie. Na swe utrzymanie pracował dorywczo jako dekorator wnętrz i malarz pocztówek, szukając przytułku w obskurnych wiedeńskich noclegowniach. Już wtedy, jak charakteryzuje go Norman Davies, był „introvertyczny, zawzięty i samotny; a także dobrze obeznany ze społeczną patologią antysłowiańskiego i antysemickiego półświatka niemieckiego Wiednia”, którego światopogląd miał lec u podstaw jego szaleńczej ideologii.

Przełomem w życiu Hitlera stał się wybuch I wojny światowej, który zastał go w Monachium. Od razu zaciągnął się jako ochotnik do 6. Bawarskiej Dywizji Rezerwy, brał udział w bitwie pod Ypres, walczył w rejonie Arras i nad Sommą. Podczas służby został dwukrotnie odznaczony Żelaznym Krzyżem, a ucierpiawszy od gazu bojowego, trafił do szpitala w Pasewalku, gdzie doczekał kapitulacji Niemiec, która była dla niego prawdziwym ciosem. Mając 30 lat, we wrześniu 1919 roku wstąpił do Niemieckiej Partii Robotników (Deutsche Arbeitspartei), która w niedługim czasie przyjęła nazwę NSDAP (Narodowo-Socjalistyczna Partia Pracy). Po niespełna dwóch latach został jej przywódcą, zyskując w strukturach partyjnych niemal dyktatorską władzę i znajdując oparcie w działających na terenie Niemiec bojówkach, czyli tzw. Oddziałach Szturmowych SA, które w przyszłości miały specjalizować się w mordowaniu przeciwników politycznych i dokonywaniu pogromów Żydów. Pierwsza próba przejęcia władzy, która przeszła do historii jako pucz monachijski, zakończyła się dla niego fiaskiem (listopad 1923) i osadzeniem w twierdzy Landsberg. Tam też napisał książkę „Mein Kampf” („Moja walka”, 1925), stanowiącą wykład ideologii nazistowskiej, która w jego przekonaniu miała doprowadzić upokorzone Niemcy do dawnej wielkości.

► Pierwsze zwycięstwo

W wyniku I wojny światowej potęgą Cesarstwa Niemieckiego, posiadającego wielkie aspiracje imperialistyczne i kolonialne, została złamana. Zwycięzcy sygnatariusze traktatu wersalskiego, który miał zaprowadzić no-

wyład w Europie, to właśnie Niemcy obarczyli odpowiedzialnością za wybuch wielkiej wojny, nakładając na pokonanych wysokie reparacje wojenne i zmuszając do demilitaryzacji kraju. Przegrana wojna przyniosła zmniejszenie terytorium państwa o 70,5 tys. km². Niemcom odebrano wszystkie kolonie i zabroniono połączenia z Austrią. Po abdykacji cesarza Wilhelma II (9 listopada 1918 roku) ogłoszono powstanie Republiki Weimarskiej o parlamentarno-gabinetowym systemie rządów, której pierwszym prezydentem został socjaldemokrata Friedrich Ebert.

„Niemcy były ciężko ranne, ale nieprzejednane” – ocenia ich położenie po I wojnie światowej Norman Davies, pisząc, że młodziutka republika niemiecka stanowiła wówczas bardzo kruchy twór. W styczniu 1919 roku Berlin przeżył lewicowe powstanie, w marcu 1920 roku stał się świadkiem prawnicowego puczu Kappa, w sierpniu stanął wobec zagrożenia najazdem bolszewickim i widma rozruchów społecznych. Z chaosu ścierających się ze sobą sił politycznych prawicy i lewicy, ze wzmagającej się atmosfery rozgoryczenia, z poczucia klęski i braku perspektyw wyłoniła się w 1920 roku Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza (NSDAP), na której czele stanął Adolf Hitler. Wtedy nikt jeszcze nie przypuszczał, że to on właśnie decydować będzie o losach Niemiec i świata, tym bardziej że NSDAP w swoich początkach nie cieszyła się zbyt wielkim poparciem społecznym. Dopiero wielki kryzys, który wybuchł po krachu na nowojorskiej giełdzie Wall Street (24 października 1929 roku), miał wywołać w Niemczech, uzależnionych od amerykańskich pożyczek, falę nowych wstrząsów społeczno-politycznych. Miał też przyczynić się do wyniesienia Hitlera na wyżyny władzy, którą zdobywał krok po kroku w ramach funkcjonowania demokratycznego systemu rządów.

Gdy w obliczu pogłębiającego się kryzysu zapowiedziano wcześniejsze wybory do Reichstagu (14 września 1930 roku), Hitler wiedział, że tej szansy nie wolno mu zaprzepaścić. Dlatego postanowił zdobyć sobie przychylność Niemców, podsycając umiejętnie nienawiść, jaką żywili do demokratycznego ustroju Republiki Weimarskiej i do tych wszystkich polityków, którzy godzili się na jej powstanie pod protektorem państw Ententy. Przed milionami rozczarowanych i pogrążonych w marazmie rodaków rysował wizję świetlanej przyszłości, która czeka naród niemiecki, w momencie gdy unicestwieni zostaną wszyscy jego wrogowie, z komunistami i Żydami na czele. Tymczasem machinę kampanii wyborczej, mającej pozyskać dla partii rzesze nowych wyznawców, rozkręcał z wyczuciem i znanstwem szef propagandy Joseph Goebbels, organizując przeszło 20 tysięcy spotkań z wyborcami.

Wybory w Niemczech przyniosły zwycięstwo Hitlerowi. Jego partia weszła do Reichstagu, zdobywając prze-

szło 100 mandatów (6 064 023 głosów), choć spodziewano się, że będzie ich najwyżej 50. Był to drugi wynik po tym, jaki uzyskała Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (8 223 286 głosów).

► Drugi Mussolini w Berlinie

W dążeniu do władzy Hitler nigdy nie krył swoich prawdziwych aspiracji, rósł w siłę i umiejętnie wykorzystywał własne wpływy. Po kolejnych wygranych wyborach, w lipcu 1932 roku, polska prasa pisała, że Hitler „chce być Mussolinim w Berlinie”, o czym świadczyć miał przebieg jego rozmowy z prezydentem Hindenburgiem, podczas której zażądał dla siebie takiej samej władzy, jaką posiada w Rzymie Benito Mussolini. Ten, zdawałoby się, dalekosiężny cel przyszło mu osiągnąć szybciej, niż sam mógłby się spodziewać. Już 30 stycznia 1933 roku, dzięki poparciu konserwatywnych polityków, większości generalicji oraz znaczących przedstawicieli wielkiego przemysłu i finansjery, Hitler został kancleżem Niemiec, powołany na to stanowisko przez prezydenta Paula von Hindenburga, który przez długi czas był mu przeciwny. Z decyzją tą nie mógł się pogodzić jeden z czołowych polityków i dowódców niemieckich, generał Erich von Ludendorff, który wstrząśnięty i oburzony tym faktem, napisał do Hindenburga: „Oddałeś naszą świętą niemiecką ojczyznę jednemu z największych demagogów, jakich widział świat. Z całą powagą przewiduję, że ten przeklęty człowiek zepchnie naszą Rzeszę w otchłań i przywiedzie naród do nieprawdopodobnej nędzy. Przyszłe pokolenia będą pana przeklinać w grobie za to, co pan uczynił”.

► Kto podpalił Reichstag?

W nocy z 27 na 28 lutego 1933 roku, tydzień przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi, całymi Niemcami wstrząsnęła hiobowa wieść o podpaleniu Reichstagu. O ten akt barbarzyństwa, wymierzony w podstawy demokratycznego systemu państwa, hitlerowcy oskarżali komunistów, twierdząc, że ich celem jest wzniecenie czerwonej rewolucji w Niemczech i przejęcie władzy w wyniku zamachu stanu. Taką też wersję wydarzeń podali do publicznej wiadomości. Relacjonując na bieżąco wypadki z Berlina, polskie gazety pisały o wzmożonej akcji policyjnej przeciwko działaczom komunistycznym i o aresztowaniu w związku ze sprawą stu podejrzanych osób, w tym znanego pacyfisty niemieckiego Otto Lehmana-Russbülta oraz komunisty i powieściopisarza Ludwiga Rennego. Pojmanym podpalaczem według wszelkich danych miał być niejaki Marinus van der Lubbe, holenderski komunist, który ważył się na swój czyn z żądzy zemsty na międzynarodowym kapitalizmie. Do przeprowadze-

nia śledztwa w tej sprawie powołana została specjalna komisja, na której czele stanął zaufany człowiek Hitlera Herman Göring, od sierpnia 1932 roku przewodniczący Reichstagu. Naziści szerzyli wieść, że podpalenie gmachu parlamentu miało być sygnałem do wybuchu rewolucji komunistycznej w Niemczech, a dowodem na wywołanie wojny domowej – ogromne ilości skonfiskowanej w Domu Karola Liebknechta „bibuły wywrotowej” z instrukcjami, jak należy przeprowadzać akty terroru komunistycznego na sposób bolszewicki. Przechwycone materiały świadczyły o tym, że w dalszej kolejności podpalone zostaną w Berlinie budynki rządowe, muzea, zamki i przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. W świetle niemieckich doniesień wydarzenia w Reichstagu miały rozpocząć ciąg aktów terroru w całych Niemczech przeciwko poszczególnym osobistościom, własności prywatnej, życiu i mieniu spokojnej ludności.

Tuż po wybuchu pożaru na miejscu zdarzeń pojawili się Hitler, von Papen i Göring. W sytuacji zagrożenia państwa zarządzono natychmiast „najostrzejsze przygotowanie alarmowe policji i rozpoczęto szeroko zakrojoną akcję przeciwko komunistom i socjaldemokratom. Hitler gotów był nawet na wprowadzenie stanu wyjątkowego, w tym ograniczenie wolności osobistej obywateli. Część posłów frakcji komunistycznej aresztowano, część poddano nadzorowi policyjnemu bądź internowano. Podobny los czekał też socjaldemokratów, na których spoczęły równie poważne oskarżenia. Cała prasa opozycyjna została zawieszona w swych prawach na cztery tygodnie. Niemieckie pismo, „Völkischer Beobachter” donosiło, że kanclerz Hitler zwrócił się do jednego z zagranicznych dziennikarzy ze słowami: „Czego Niemcy i Europa mogą oczekiwać od komunizmu, widzi pan tutaj. Ten czyn został jednak poddyktowany komunistom przez złego ducha. Pięści naszej spadną na ich głowy ciężko i twardo”.

► Rozprawa nie ma precedensu w kronikach sądowych

To była oficjalna wersja wydarzeń szerzona przez Hitlera oraz jego popleczników. Obok niej istniała jeszcze inna, odsłaniająca prawdziwe motywacje kanclerza i wnioskująca w arkana jego przemyślanej strategii politycznej. W społeczeństwie europejskim narastało bowiem przekonanie, że podpalenie Reichstagu przez holenderskiego komunistę jest czymś wprost niewiarygodnym i że czynu tego musieli dopuścić się naziści, dążący za pomocą terroru do wyeliminowania wszystkich swoich przeciwników politycznych. Tak uważał m.in. polski dziennikarz Floryan Sokołów, pisząc, że „honor budowniczych Trzeciej Rzeszy” domaga się wyroku skazującego, a ci, którzy dysponowaliby jakimi-

kolwiek materiałami odciążającymi oskarżonych, nie chcą narażać się na niebezpieczeństwo obozu koncentracyjnego, a nawet śmierci. Dlatego też zdecydowali się świadczyć przed międzynarodową komisją prawników zebraną w Londynie, w skład której wchodzili przedstawiciele ośmiu państw. Powstała ona z inicjatywy komitetu pomocy ofiarom faszyzmu niemieckiego i miała dowieść prawdy dotyczącej podpalenia Reichstagu. „Rozprawa, tocząca się od kilku dni w lokalu Law Society, nie ma precedensu w kronikach sądowych. Bo też bez precedensu są okoliczności, które ją spowodowały” – stwierdzał Sokołów, podkreślając, że podpalenie Reichstagu to nie tylko przestępstwo kryminalne, podlegające jurysdykcji niemieckich sądów, lecz przede wszystkim wypadek wielkiej wagi politycznej, który w oczach świata uchodzi za akt prowokacji partii hitlerowskiej i tym samym budzi poważne obawy, czy można mieć jakiegokolwiek zaufanie do „rządu podpalaczy”. Sokołów odwołując się do materiałów londyńskiej komisji oraz do podejmującej ten temat publikacji zatytułowanej „Brunatna księga o terrorze hitlerowskim i podpaleniu Reichstagu”, pisał, że „w świetle zeznań oskarżonych van der Lubbe był tylko narzędziem pomocniczym w ręku istotnych sprawców pożaru – narzędziem użytym po to, by stworzyć pozory, iż podpalaczami są komuniści. Według świadków autorem pomysłu był Goebbels, protektorem jego Göring, a wykonawcami kierowani przez Rehma i Hainesa szturmowcy narodowo-socjalistyczni, którzy dostali się do gmachu przez tunel, łączący Reichstag z pałacem jego prezydenta, wówczas Göringa”. Sokołów zauważał, że trzech ludzi, którzy na ten temat wiedzieli najwięcej, już nie żyją. Dwaj z nich – dr Bell, Szkot z pochodzenia, narodowy socjalista, będący łącznikiem między Rehmem a van der Lubbem, oraz jasnowidz i okultysta Hanussen – zostali zamordowani przez hitlerowców, natomiast trzeci – dr Oberföhrer, przywódca Niemców narodowych, otwarcie oskarżający w swym memoriale Hitlera o podpalenie Reichstagu, zginął śmiercią tajemniczą. W ten sposób najważniejsi świadkowie zostali skutecznie usunięci. Zdaniem dziennikarza, wnioski nasuwają się same...

Sceny z procesu odbywającego się w Lipsku, z udziałem głównego oskarżonego Marinusa van der Lubbe i jego „współtowarzyszy”, odtwarzał w „Gazecie Polskiej” inny z kolei dziennikarz, posługujący się pseudonimem Wotan. Zdumiewał go wygląd i zachowanie 24-letniego holenderskiego robotnika murarskiego, który z upiornym śmiechem odpowiadał na zadawane mu pytania:

„Przewodniczący: – Dlaczego Pan się śmieje? Sprawa jest niesłychanie poważna. Ostrzegam Pana. – Oskarżony: – Ja śmieję się z procesem...Van der Lubbe się śmiał, kiedy pytano go, po co wędrował pieszo po Węgrzech,

śmiał się, kiedy zeznawał świadek o kontaktach jego z nacjonal-socjalistami, śmiał się, kiedy zeznawał jeden z Bułgarów. Ten dziwny, ponury śmiech, albo raczej kurczowy grymas twarzy szczerzącej zęby, brzmiał w pierwszym dniu procesu i nieodmiennie pojawia się na ustach oskarżonego co dnia prawie, od tygodnia, ni stąd ni zowąd, w najbardziej niespodziewanych okazjach. Van der Lubbe już nie jest skuty w kajdany, które żelaznym łańcuchem wiązały ręce jego z pasem w pierwszych dniach procesu. W więziennym pasiastym ubiorze, obnażającym szyję, ze zwieszoną w ramionach głową, już nie stoi podczas przesłuchań, jak reszta oskarżonych lub świadków, lecz siedzi, gdyż na stanie brak mu sił.

Okazało się, że właśnie przerwał on rozpoczętą głośną, ale i tak sprawiał wrażenie „oślupiałego”. Kierując odpowiedzi w stronę przewodniczącego rozprawy dr. Büngera, mówił cicho i krótko: „tak” lub „nie” albo: „być może”. Był jakiś nieobecny, a wyrwany z letargu znów chichotał, tak iż trzęsły mu się ramiona. Czterej pozostali oskarżeni – Niemiec Ernst Torgler i trzech Bułgarzy: Georgi Dymitrow, Blagoj Popow i Wasil Tanew – okreśłani jako „towarzysze” Lubbe, stanowili zupełne jego przeciwieństwo – mieli inteligentny wyraz twarzy, byli pełni młodzieńczego zapału, a do tego przekonujący w swoich zeznaniach. Od Holendra, który sprawiał wrażenie człowieka ograniczonego, dzieliła ich przepaść. Byli to ludzie świadomi siebie i swoich czynów. Zdecydowanie wyróżniał się spośród nich Dymitrow, traktujący salę sądową jak mównicę, z której głosił swe idee, mając świadomość, że „słowo rzucone w odpowiedniej chwili ma siłę wybuchającej bomby”.

W oczach tych ludzi van der Lubbe był „dzikim komunistą”, anarchistą, człowiekiem niegodnym zaufania, którym pogardzali. Z jego zeznań wynikało jedynie, że wystąpił z partii komunistycznej, nie zgadzając się z metodami jej walki i postanowił działać na własną rękę. W wyniku przeprowadzonego procesu Lubbe został ścięty, podczas gdy pozostałych oskarżonych uniewinniono. Sądowi nie udało się udowodnić powiązań między głównym sprawcą a osądzonymi. Ze wszystkich tych obserwacji polski dziennikarz wyciągał jednoznaczny wniosek, że cała rozprawa nie miała na celu jedynie „skazania tych lub innych ludzi, nie chodzi o życie lub śmierć jednego Holendra, jednego Niemca i trzech Bułgarów, ale o skazanie komunizmu i dostarczenie w ten sposób nacjonal-socjalizmowi »legalnej« sankcji dla całej walki o władzę i metod tej walki”. Współczesny historyk i autor biografii Hitlera Peter Longerich, rozpatrując niewyjaśnioną do dziś kwestię podpalenia Reichstagu, uważa, że jest ona drugorzędna „dla zrozumienia tego, jak naziści dochodzili do władzy i jaką rolę odegrał w tym procesie Hitler. Decydujące znaczenie ma fakt, że jeszcze tej samej nocy wykorzystał on sytuację do wprowadzenia stanu wyjątkowego, aby bez ograniczeń istniejących w państwie prawa

móc prześladować wszystkich oponentów swojego reżimu i ustanowić samowładztwo”.

► Pod znakiem swastyki

Po zwycięskich dla siebie wyborach (1933) Hitler skoncentrował się na umocnieniu i rozszerzeniu zdobytej władzy, bo nie było tajemnicą, że jego ambicje wykraczały daleko poza godność kanclerską. Rzesze ślepo za nim idących nazistów zmierzały do wyeliminowania nie tylko komunistów i socjaldemokratów, lecz także pozostałości opozycji mieszczańskiej, dążąc do „stworzenia państwa jednolitego, scentralizowanego pod hegemonią swej partii”. Sam zaś Führer zmierzał w kierunku zmodernizowania dzieła Bismarcka, czyli unifikacji Niemiec pod hasłami pangermanizmu i faszyzmu.

Rok 1933 był dla Hitlera czasem prawdziwego tryumfu i umacniania władzy, jaką zdobył bez łamania konstytucji, przy jednoczesnym stosowaniu polityki zastraszania i terroru wobec swoich oponentów. 23 marca Reichstag przyjął ustawę o specjalnych pełnomocnictwach dla rządu kanclerza, dających mu prawo do wydawania ustaw i zmiany konstytucji. Odtąd wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Na początku maja rozwiązano związki zawodowe i utworzono Niemiecki Front Pracy, na przełomie czerwca i lipca przeprowadzono delegalizację partii politycznych, dzięki czemu monopol władzy przejęła NSDAP, a w styczniu 1934 roku uchwalono nową ustawę znoszącą wszystkie prawa suwerenne poszczególnych krajów związkowych Rzeszy. Początek sierpnia 1934 roku przyniósł śmierć 87-letniego prezydenta Paula von Hindenburga. Jeszcze przed jego zgonem, gdy wiadano już, że stan głowy państwa jest beznadziejny, zebrała się rada ministrów i po długiej dyskusji jednogłośnie postanowiono, że urzędy prezydenta i kanclerza Rzeszy zostaną połączone i że najwyższą władzę w państwie obejmie Adolf Hitler. O tej decyzji Niemcy dowiedziały się 3 sierpnia o dziesiątej rano z ust przemawiającego przez radio ministra Goebbelsa. Sam Hitler zarządził w sierpniu plebiscyt, który dotyczył jego awansu na stanowisko „Führera i kanclerza Rzeszy”. Zyskał poparcie 90 procent Niemców.

► Słuchając Hitlera

Hitlerowski wiec w berlińskim Pałacu Sportu (październik 1933) postanowił koniecznie obejrzeć polski publicysta Kazimierz Smogorzewski, by przekonać się, jak niemiecki kanclerz swą mową porywać będzie masy i jak wyreżyserowane zostanie jego wystąpienie. Docierając na wyznaczone miejsce przed siódmą wieczorem, znalazł się w olbrzymim, wypełnionym 30-tysięcznym tłumem wnętrzu, w którym wzrok paraliżowały zwisające od samego sufitu długie, czerwone pro-

porce z czarnymi swastykami. Na tle tej uderzającej kolorystyki wyrastała trybuna, w otoczeniu której rozstawieni byli symetrycznie nazistowscy funkcjonariusze z narodowosocjalistycznymi sztandarami. Na widok swego przywódcy z ust 30 tysięcy wznoszących ręce ludzi wyrwał się potężny okrzyk: „Heil!”. Hitler zupełnie zapomniał nad tłumem z chwilą, gdy zaczął przemawiać. Zaczął spokojnie, dźwięcznym głosem. Wspominał dawne boje, mówił o trudzie rządzenia, o błędach poprzedniego systemu weimarskiego, o walce z bezrobociem, zapewniał o swej pokojowości... Ale jego ton z czasem się zmieniał, bo oto: „uderza biczem ironii w przeciwników politycznych; [...] do bohaterstwa i poświęceń wzywa; tempo przyspiesza; głos staje się chrapliwy i gniewny; z oburzeniem i krzykiem piętnuje akcję żydowskich i »marksistowskich« emigrantów... Burza oklasków pozwala mu odetchnąć, po czym przychodzi nowy podobny okres. I tak przez półtorej godziny rozwija się jego mowa jak krzywa cyklicznych kryzysów. Co za głos i co za zdrowie!” – komentował Smogorzewski.

Już u początków swej kariery politycznej Hitler słowem i gestem potrafił przyciągać, a nawet hipnotyzować całe rzesze słuchaczy. „Stojąc na skrynkach po mydle na rogach ulic pokonanych Niemiec, jak opowiada Norman Davies, odnalazł w sobie talent mówcy i demagoga, który miał go wynieść na najwyższe szczyty. Nauczył się modulować ton i tempo głosu; gestykulować; układać twarz w wyraz zwycięskiego uśmiechu i wścieklej furii; podbić publiczność tak, że treść tego, co mówił, niemal przedstawiała mieć znaczenie [...]”. Siła jego emocji odpowiadała natężeniu uczuć upokorzonego narodu. Grał na ludzkich obawach, wygłaszając tyrady przeciwko »żydowsko-bolszewickiemu spiskowi« lub »ciosowi w plecy«, zadane mu przez aliantów”.

Wielką, masową demonstracją potęgi III Rzeszy było narodowe święto niemieckich robotników, hucznie obchodzone 1 maja 1934 roku „w rytm marszu brunatnych i czarnych koszul”. „Całe Niemcy maszerują, całe Niemcy przykryte są jednym sztandarem” – opisywał to, co działo się w gigantycznych rozmiarów berlińskim porcie lotniczym Tempelhof. Kazimierz Wierzyński, który wówczas wyprawił się do „nowych Niemiec”. Znalazł się oto wśród 2 milionów berlińczyków, tworzących skupioną i znieruchomiałą masę, „ludzką skamielinę” wpatrzoną w ogromną trybunę i mównicę... Ten żywy, falujący prostokąt poprzecinany był szpalarami zapewniającymi komunikację sztafetom łączności i służbom Czerwonego Krzyża, które, jak dowiedział się reporter, zdążyły już udzielić pomocy 2 tysiącom osób. Ale twardy, zahartowany naród niemiecki trwał w upale i czekał na swego wodza – „wiatr rozwija nad nim sztandary, chorągwie łopocą na wysokich masztach, ustawionych na polu długimi rzędami. Widok ich ma dużo niepośledniej sugestii. Czerwone płótno wysuwa ze środka czarny szpon, za-

mknięty w białym kole. Surowy i twardy kształt pozagigantycznych krzyżów nie kryje swej drapieżności. Wiatr podrywa zaczepny pazur do góry, czarny szpon zagarnia tłum pod siebie sepiem ruchem”.

Na mównicy stanął Hitler. Wprawdzie czytał z kartki, ale czynił to tak, jakby improwizował. Nie miał w sobie nic z opanowania i precyzji Goebbelsa, wręcz przeciwnie, targały nim gwałtowne emocje, unosił się, momentami z jego gardła wyrwał się krzyk. Widać, że w tym oratorskim akcie „rozgrzewa się powoli, wraz z masą”, po czym „pałą się jednocześnie oboje”... Dwa miliony słuchaczy chłonęły każde jego dobitnie wyartykułowane słowo, spotęgowane jeszcze siłą megafonów i przekazywane dalej przez radio z miasta do miasta, tak że owe 2 miliony rosły w 60 milionów. Hitler głosił jedność narodu niemieckiego w jednym wolnym państwie niemieckim, a jego słowa stawały się dla nieprzeliczonych rzesz mistyczną świętością... Wierzyński próbował zrozumieć nie tylko fenomen jego oddziaływania na tłumy, lecz także sens tego, co głosił i co legło u podstaw budowanego przezeń systemu. Z właściwą sobie analityczną wnikliwością demaskował nazistowski mechanizm absolutnego podporządkowania człowieka prerogatywom partii rządzącej, sterującej jednostką, tak że traci ona wszelkie znaczenie wobec milionów tworzących naród, któremu Hitler chciał przywrócić dawną wielkość i godność tryumfatora.

Wsluchując się w jego słowa, Wierzyński próbował oddać istotę nazistowskiej ideologii, na której wspierały się fundamenty państwa totalitarnego: „Zwalczony i zniszczony musi być Niemiec, który przystał na to, że naród jego uznano za podrzędny i nierówny innym. Zwalczony i zniszczony musi być duch, który zgodził się na poniżenie i pojednał z klęską. Nie ma dla nich pardonu. Są obozy koncentracyjne, stopy na Opernplatzu i emigracja. Musi powstać »nowy człowiek niemiecki«, który dźwignie »niemiecką wolę jedności« i przywróci »cześć pracy niemieckiej«. Nowy człowiek totalizmu niemieckiego buduje się i kształci w wielkich organizacjach, w wielkim, szczególnie zbitym szeregu, w wielkim wspólnym pochodzie gromady. Najmniejsze cyfry tej wielkości zaczynają się od milionów. Dwa miliony na Tempelhofie, trzy miliony Hitler-Jugend, dwadzieścia milionów Arbeitsfrontu, sześćdziesiąt milionów Niemców Trzeciej Rzeszy. Miliony te sprowadza do jedności jeden człowiek, der Führer”. Pisząc w ten sposób, uświślał Wierzyński wydobyc manię wielkości, jaka ogarnęła nazistów, niewahających się poświęcić praw jednostki na rzecz zaspokojenia mas oszołomionych hasłem pochodu ku wielkiemu zwycięstwu. Wtedy nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy, że będzie to pochod znaczony ogniem i krwią narodów europejskich, które staną na drodze do stworzenia wielkiego pangermańskiego państwa dla Aryjczyków czystej krwi.



Piotr Lisiewicz

Trzy miesiące temu, w styczniowym numerze „Nowego Państwa”, wspomniałem o gigantycznej pracy wykonanej przez autorów portalu Lewicowo.pl, na czele z Remigiuszem Okraską. Zebrałi oni w jednym miejscu „ponad 1300 tekstów prezentujących dzieje i dorobek polskiej lewicy niekomunistycznej, demokratycznej i niepodległościowej”.

Wnioski z tej pracy każdy może wyciągnąć, jakie tylko chce. Ideowi lewicowcy, gdyby tacy w Polsce na większą skalę istnieli, zyskaliby narzędzie do odbudowy własnego obozu. Zaś zwolennicy PiS mogą wyciągnąć jak najbardziej uprawniony wniosek, że ugrupowanie to jest dziś jedynym, na które zagłosować może uczciwy lewicowiec. Oczywiście nie dlatego, by PiS był partią kontynuującą w całości tradycje niepodległościowej lewicy. Ale dlatego, że realizuje je w istotnej części.

W odpowiedzi na wybuch śmiechu zwolenników partii Czarzastego, Biedronia i Zandberga, mam konkrety – cztery teksty liderów polskiej lewicy, z których każdy pokazuje, dlaczego ugrupowania te nie mają nic wspólnego (SLD) albo bardzo niewiele z opisywaną tradycją.

Najpierw tekst Ignacego Daszyńskiego z 1915 roku, który nie spodobałby się Oldze Tokarczuk – wskazujący potrzebę rozszerzania wpływów polskich na Wschodzie i stawiający jasno sprawę: „Tylko wrogowie Polski mogą wysnuwać z wyzwolenia Polaków jakiegokolwiek upośledzenie Ukraińców i Żydów. Austriacka polityka na korzyść rozwoju Rusinów byłaby w ogóle niemożliwa, gdyby się nie znalazła polska większość, gotowa do zrobienia ważnych ustępstw Rusinom w Galicji. A Żydzi znaleźli przecież w Polsce drugą ojczyznę”.

Później może najważniejszy z tych czterech artykuł Tomasza Arciszewskiego z 1948 roku, będący na antypodach linii „Gazety Wyborczej”, mówiący o znaczeniu Powstania Warszawskiego. Aż można odnieść wrażenie, że to do jej publicystów skierowane są słowa: „Wielka i bohaterska legenda Warszawy daje moc i wiarę przetrwania. I dlatego też wróg pragnie ją zohydzić, zniszczyć, wypłenić z serc i umysłów Polaków. Ale są to próżne zabiegi”.

Następnie tekst Zygmunta Zaremby z 1946 roku o – wtedy oczywiście nie było jeszcze tej nazwy – Żołnierzach Wyklętych, daleki zarówno od kłamstw postkomuny, jak i bredni powtarzanych od pewnego czasu także przez Partię Razem. O tym, że „lasy polskie są wciąż pełne ludzi, ludzi zaszczytujących jak zwierzęta”, bo nie zechcieli „napluć na to, co musi w jego sercu odzywać się najświętszym wspomnieniem”. Zapewne większość z nas inaczej niż autor rozłożyłaby dziś w tej sprawie akcenty, ale tekst warty przeczytania.

I wreszcie czwarty artykuł Adama Ciołkosza „Niepodległość” z 1958 roku, wskazujący m.in., że komuniści byli „renegatami socjalizmu”.

1915, 1946, 1948, 1958. Cztery daty rozciągnięte na niemal półwiecze, czterech czołowi przywódcy lewicy, cztery tematy – wmawianie Polakom pedagogiki wstydu, szacunek do tradycji powstańczych, Żołnierze Wyklęci, antykomunizm. W każdej z tych czterech spraw przywódcy lewicy byli – mocno upraszczając – „pisowscy”, w żadnej z tych tradycji Czarzasty, Biedroń ani Zandberg – nie kontynuują ich linii. Przejrzyście?

Ignacy Daszyński

Polska wyswobodzona spod panowania Rosjan

W interesie polskiego ludu leży rozszerzenie jego wpływu na Wschodzie. Z tego wynika, że Polacy są naturalnym sprzymierzeńcem tych elementów ukraińskiego narodu i Żydów, którzy są gotowi do walki z carskim absolutyzmem. Tylko wrogowie Polski mogą wysnuwać z wyzwolenia Polaków jakiegokolwiek upośledzenie Ukraińców i Żydów. Austriacka polityka na korzyść rozwoju Rusinów byłaby w ogóle niemożliwa, gdyby się nie znalazła polska większość, gotowa do zrobienia ważnych ustępstw Rusinom w Galicji. A Żydzi znaleźli przecież w Polsce drugą ojczyznę.

Z upadkiem Brześcia Litewskiego wypędzono ostatniego żołnierza rosyjskiego z polskiej ziemi. Całe Królestwo Polskie, trzynaście milionów ludzi, wywabiono przez to z carskiego jarzma, całą środkową Europę uwolniono od strasznego zagrożenia jej przez rosyjskie wojsko.

Królestwo Polskie, niesłusznie zwane „Polska Rosyjska” (Russisch Polen), było największym obozem wojennym na świecie. [...] Przeciw tej militarnej przyniatającej przemocy buntowali się Polacy w XIX wieku cztery razy. Walczyli cztery razy, nie znalazłszy ani razu pomocy w Europie. Młody kapitalizm europejski miał co innego do roboty, niż pomagać polskim powstaniom... Krwawe ziarno wolności musieli Polacy sami zasiewać. A po każdym powstaniu wędrowało buntownicze pokolenie w długim pochodzie na Syberię, w ten sposób wytępiano planowo najlepszych ludzi przez całe stulecie!

Cóż dziwnego, że współczesne pokolenie polskie w swej mniejszości odzęgnywało się od wszelkiej walki przeciw Rosji, jako czegoś niemożliwego i nieładnego, i dążyło do ugody z Rosją. Starwały się przecież wielkie państwa centralnej Europy usilnie o łaskę

i przyjaźń petersburskich władców. Powtarzamy jednak, że była to tylko mniejszość politycznie myślących Polaków, która straciła odwagę i nadzieję. Albowiem zarówno lud, jak i inteligencja pogardzali tymi, którzy w kancelariach petersburskich szukali przyszłości i praw Polski. Zanim ktokolwiek w Europie uwierzył w wojnę z Rosją, kuli już Polacy potajemnie bronił przeciw znienawidzonemu wrogowi. Bronić była słaba, ale – była: były szeregi buntownicze nieliczne, lecz w którym nowożytnym państwie, a raczej w którym państwie z taką policją jak w Rosji, było możliwe połączyć dziesiątki tysięcy potajemnie do walki przeciw temu państwu? Polacy dopięli tej szutki.

Z wyjątkiem znienawidzonej garstki tych, którzy z Rosjanami opuścili kraj dobrowolnie, oddycha z ulgą polski naród. [...] Jego religia, dzieje, kultura dzielą go od Rosjan; Polacy należą do zachodu, do Europy. A ten zachód nie może spowodować takiego ucisku Polaków, jaki był praktykowany przez długie lata ze strony Rosji. Na razie panują tu sprzymierzone armie i żołnierz musi mieć pierwsze słowo. Skutkiem tego cel wojny musi być jeszcze w mgle, a naród nie może się wypowiedzieć.

W interesie polskiego ludu leży rozszerzenie jego wpływu na Wschodzie. Z tego wynika, że Polacy są naturalnym sprzymierzeńcem tych elementów ukraińskiego narodu i Żydów, którzy są gotowi do walki z carskim absolutyzmem. Tylko wrogowie Polski mogą wysnuwać z wyzwolenia Polaków jakiegokolwiek uposłedzenie Ukraińców i Żydów. Austriacka polityka

na korzyść rozwoju Rusinów byłaby w ogóle niemożliwa, gdyby się nie znalazła polska większość, gotowa do zrobienia ważnych ustępstw Rusinom w Galicji. A Żydzi znaleźli przecież w Polsce drugą ojczyznę.

W jakim stosunku będzie znajdowała się Polska wobec swoich wybawicieli? To pytanie należy do omawiania „celu wojny”, a nie chcę w tej chwili przyjść do konfliktu z p. prokuratorem. Najbliższa przyszłość odpowie na to pytanie. Tylko jedno chcę w tym podniosłym momencie wypędzenia Rosjan z Brześcia Litewskiego podnieść: ludy i państwa, które będą żyły w ścisłej łączności z polskim narodem, muszą zachować się wobec niego jako wolnego i równego. Żaden interes chwilowej polityki partyjnej, żadne wyzyskanie chwilowego szczęśliwego lub nieszczęśliwego położenia, żadne nacjonalistyczne zaślepienie nie powinno być tu miarodajnym. Kwestia polska jest wielką kwestią, której rozwiązanie musi się dokonać na olbrzymim terenie walki jako najważniejsze wydarzenie tej wojny. Od gruntowności tego rozwiązania zależy pokój Europy może na wiele dziesiątek lat. Przygotujmy się wszyscy do tego wielkiego zadania dziejowego.

Tekst ukazał się w głównym organie prasowym austriackiej partii socjalistycznej „Arbeiter Zeitung”. Następnie polskie tłumaczenie opublikowano w piśmie „Robotnik Śląski. Organ Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej” nr 72/1915. Frysztat, 8 września 1915 r.

Tomasz Arciszewski

Moralno-polityczne znaczenie Powstania Warszawskiego

Powstanie upadło. Ale duch oporu, który dawał ludności stolicy siły i determinację, nie osłabł. Objął on w posiadanie całe społeczeństwo polskie, cierpiące pod butem nowego okupanta. Wielka i bohaterska legenda Warszawy daje moc i wiarę przetrwania. I dlatego też wróg pragnie ją zohydzić, zniszczyć, wypłenić z serc i umysłów Polaków. Ale są to próżne zabiegi.

Dwa układy określiły naszą tragedię i tragedię Europy w ciągu ostatnich lat dziesięciu: pakt Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 r. i umowa w Teheranie z grudnia 1943 r.

Spisek sowiecko-niemiecki kosztował świat 50 milionów istnień ludzkich i spowodował olbrzymie straty materialne. Nas, Polaków, dotknął najpełniej i najboleśniej: z górą 6 milionów obywateli zginęło w walkach na wszystkich frontach świata, w niemieckich i sowieckich obozach koncentracyjnych, w egzekucjach ulicznych i w więzieniach, wreszcie z nędzy i nieszczęść.

Układ teherański był zaprzeczeniem tych wszystkich celów, o realizację których społeczeństwa Europy i Stanów Zjednoczonych prowadziły straszliwą walkę z totalistycznym niebezpieczeństwem i okrucieństwem. Miast wyzwolenia przynosił krajom Europy Środkowowschodniej przedsmak nowej niewoli i niemiłosiernego wyzysku człowieka.

Skutki tajnego porozumienia w Teheranie my, Polacy, odczuliśmy bardzo szybko.

W początkach 1944 r. armia sowiecka zaczęła wkraczać na ziemię polskie. W miarę posuwania się naprzód wojsk sowieckich po terenie okupowanym przez Niem-

ców odbywa się wielka operacja zorganizowanego społeczeństwa polskiego przeciwko hitlerowcom, znana pod nazwą „Burza”. Na Wołyniu wspaniale walczy i współdziała z armią sowiecką 27. dywizja Armii Krajowej. Na Wileńszczyźnie w końcu czerwca została dokonana koncentracja oddziałów partyzanckich. Od 6 do 13 lipca toczą się zacięte boje o Wilno. Zanim nadeszły wojska sowieckie, 80% obszaru miasta zostało wydarte przez dywizję wileńską AK z łap niemieckich. Podobnie przebiega akcja powstańcza na innych terenach Rzeczypospolitej.

Ale Teheran dał Rosji Sowieckiej wolną rękę w Europie Środkowowschodniej.

Mimo takiej sytuacji na ziemiach wschodnich i na Lubelszczyźnie – powstanie w Warszawie wybuchło 1 sierpnia 1944 roku. Nie o wszystkim jeszcze wiadano, nie znano poza tym dokładnie tajnych umów zawartych w Teheranie. Ale gdyby nawet w pełni była możliwość oceny ówczesnej rzeczywistości politycznej, to jakąż inną sytuacją pozostawała nam do wyboru? [...]

Powstanie Warszawskie nie było dziełem 40 tysięcy żołnierzy AK. To poprzez całą społeczność Stolicy objawił się w pełni, na oczach całego świata, potężny pęd narodu do wolności i samodzielności.

63 dni trwał bohaterski opór ludności warszawskiej. Świadomość skutków teherańskich układów nie złamała ducha walki o drogie każdemu człowiekowi ideały. [...]

Świat zachodni, między innymi przedstawiciele związków zawodowych brytyjskich, amerykań-

kańskich, wyrażał swój podziw dla walczącego ludu Warszawy i krzepiące słowa otuchy. To powiększyło tylko tragizm sytuacji, gdyż Warszawa wołała o broń, amunicję, żywność, środki opatrunkowe, o pomoc zbrojną. Wrogie stanowisko Rosji najsilniej przejawiało się w trudnościach stawianych w uznaniu Armii Krajowej za armię kombatancką. Gdy wreszcie alianci zachodni po długich zabiegach dyplomatycznych zdecydowali się uznać żołnierzy AK, a w ślad za tym poszli Niemcy – Rosja tych praw żołnierzom AK nie przyznała.

Po 63 dniach walki, 3 października 1944 roku, Warszawa złożyła broń. Ale to nie był jeszcze koniec okropnej tragedii. Zarówno Armie Krajową, jak i ludność całej Warszawy czekały obozy, cierpienia, głód i poniewierka.

Powstanie upadło. Ale duch oporu, który dawał ludności stolicy siły i determinację, nie osłabł. Objął on w posiadanie całe społeczeństwo polskie, cierpiące pod butem nowego okupanta. Wielka i bohaterska legenda Warszawy daje moc i wiarę przetrwania. I dlatego też wróg pragnie ją zohydzić, zniszczyć, wypłenić z serc i umysłów Polaków. Ale są to próżne zabiegi. [...]

Tekst ukazał się w londyńskiej edycji PPS-owskiego pisma „Robotnik” w 1949 r.

Zygmunt Zaremba Tragedia polskiego lasu

Polski las ma swoją bohaterską i romantyczną tradycję. Krył swymi konarami oddziały powstańców 1863 roku, udzielał pewnej ostoji partyzantce Armii Krajowej w ostatniej epoce. Jest ciągle otwarty dla wszystkich, którym stało się ciasno na ulicach miast czy na drogach wsi polskich. Ku niemu zwracają się oczy, gdy ginie ostatnia nadzieja normalnego urządzenia swego życia wśród panujących stosunków. W epokach spokojnych las pozostawiony jest zwierzynie czworonożnej. W okresach zamętu zapełnia go może silniej jeszcze tropiona zwierzyna ludzka.

Niestety, życie polskie nie może ciągle wejść na tor normalne. Obywatel nie czuje się bezpiecznie na ulicach miast i drogach wiejskich. Nie czuje prawa, nie wierzy sprawiedliwości, nie zna uczucia bezpieczeństwa. Wpada w konflikt z władzą, gdy wypowie głośniejsze słowo, gdy zaprotestuje przeciw bezprawiu, gdy przeciwstawi się panującej klice. Zostaje przestępcą, a co najmniej podejrzanym, gdy zdradzi się przeszłością patriotyczną, gdy przyzna się do działalności podziemnej w obronie

ojczyzny i nie zechce przy tym napluć na to, co musi w jego sercu odzywać się najświętszym wspomnieniem. Toteż lasy polskie są wciąż pełne ludzi, ludzi zaszczytów jak zwierzęta. Zwierzę wychodzi na pola uprawne i żeruje. Dzik osaczony przez psy gończe przechodzi do ataku, rani i zabija. A jednak człowiek opiekuje się zwierzyną i nikt nie powie, by wybić wszystkie co do nogi. Tylko wobec ludzi leśnych słyszemy z ust oficjalnych jedno wezwanie: wybić, wymordować, wytrzebić...

Tragedia dzisiejsza polskich lasów jest tym większa, że ludziom szukającym tam schronienia nie może przyświecać żadna głębsza idea. Jeśli stworzono takie ułudę, to tym gorzej, bo każdy dzień poza cierpieniami fizycznymi, związanymi z życiem leśnym, przynosi jeszcze cierpienia płynące z rozczarowania i poczucia beznadziejności położenia. W czerwcu 1945 roku kierownictwo Polski Podziemnej i Armii Krajowej zarządziło likwidację walki zbrojnej. Wezwało ludzi do wyjścia z lasów na normalne tory pracy dla kraju i dla siebie. Z tą chwilą ustał polityczny sens oddziałów leśnych. Ale postarano się, żeby nie poszło za tym całkowite rozładowanie lasów. Tym staraniom zawdzięczamy, że tragedia lasów rozwija się nadal.

Działanie było dwustronne. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, wbrew swemu mianu i przyjętym zobowiązaniom, z amnestii ogłoszonej zrobił narzędzie wybierania spośród ujawniających się żołnierzy AK miłych i niemiłych. Areszty całych oddziałów i poszczególnych ludzi zniszczyły zaufanie do tego aktu, który powinien posłużyć do całkowitego wyjścia ludzi z lasów. Przeciwnie, wielokrotne nadużycie zaufania do amnestii zaczęło z powrotem pchać ludzi do lasu. Terror nieustający dostarczył nowe kontyngenty dla zielonej armii. Z drugiej strony nieodpowiedzialna agitacja niektórych elementów, najczęściej społecznie i politycznie reakcyjnych, stworzyła legendę fałszywą o wojnie, która ma nadejść lada chwila i przez to dała ułudę politycznego znaczenia zachowania sił zbrojnych w lasach. Obustronne działania tych wysiłków dało to, na co patrzeć musi z największym bólem i obawą każdy rozsądny człowiek w Polsce.

Rząd warszawski, naganiając terrorem politycznym ludzi do chronienia się w lasach, znanym sposobem usiłuje odpowiedzialność za tragedię leśną przenieść na ośrodki emigracyjne. Dobrze się też stało, że centralny ośrodek emigracyjny wystąpił ze stanowczym i zdecydowanym wezwaniem, powtarzającym raz jeszcze: „ze walką zbrojną w kraju nie odzyska się niepodległości, stworzy się natomiast pretekst do akcji eksterminacyjnej (wyniszczającej)”. Ostatni argument administracji warszawskiej został wytrącony wezwaniem „wszystkich obywateli, aby nie tworzyli żadnych nowych organizacji zbrojnych, a z istniejących niezwłocznie wystąpili”. Od chwili wydania tej odezwy do kraju, odpowiedzialność polityczna bez wątpienia dla kogośkolwiek obciążać będzie tylko rząd warszawski.

Ta odpowiedzialność była jasna i dotąd każdemu, kto wiedział, że już w 1945 roku Polska Podziemna zlikwidowała działalność bojową. Teraz prawda ta została potwierdzona z całą dobitnością.

Tekst pierwotnie ukazał się w wydawanym w Paryżu tygodniku „Lud Polski”, 29 grudnia 1946 r., a następnie w wydawanym w Londynie „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”, 8 stycznia 1947 r.

Adam Ciołkosz

Niepodległość

Renegat socjalizmu Henryk Jabłoński zarzuca Ignacemu Daszyńskiemu, że uznawał przewodnictwo burżuazji polskiej w rewolucji „burżuazyjno-demokratycznej”. Jabłoński jak gdyby przepisał ten zarzut z „Krótkiego rysu historii Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików)”, bo to jest główny zarzut, jaki bolszewicy stawiali niegdyś mienszewikom. [...] W gruncie rzeczy komunistów i renegatów socjalizmu gniewa najbardziej to, iż w koncepcji PPS klasa robotnicza nie walczyła o wolność i demokrację tylko dla siebie samej, walczyła ona o wolność i demokrację dla całego narodu, dla wszystkich, także dla swoich przeciwników politycznych i społecznych.

W okresie przed pierwszą wojną światową zadaniem polityki polskiej było: przewidywać umiejętnie rozwój wydarzeń i wiązać z nim sprawę polską; włączać sprawę niepodległości Polski w potężne nurty dziejowe, przewalające się przez świat. Polski ruch socjalistyczny spod znaku PPS spełnił to zadanie. Niepodległość Polski, którą Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, poprzedniczka Komunistycznej Partii Polski i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, uważała za „szkodliwą dla międzynarodowego proletariatu i międzynarodowej rewolucji socjalnej” – Polska Partia Socjalistyczna uważała za cel konieczny i osiągalny. Jakoż w listopadzie 1918 roku Polska niepodległa stała się rzeczywistością.

Następujące fakty stworzyły przesłanki dla odrodzenia się państwowości polskiej: (1) wybuch wojny europejskiej, która później przeobraziła się w wojnę światową, (2) klęska militarna caratu, (3) rewolucja w Rosji, (4) klęska militarna mocarstw centralnych, (5) rewolucje w Europie Środkowej.

Obecne dziejopisarstwo komunistyczne sprowadza wszystko do rewolucji w Rosji, jej rzekomo zawdzięcza Polska swą niepodległość. Jednakże do rewolucji w Rosji nie doszłoby, gdyby nie wojna i klęska militarna caratu, nie mówiąc już o tym, że rewolucja rosyjska w marcu 1917 roku bynajmniej nie była dziełem Lenina i bolszewików. Dopiero cały ten wyżej wyliczony łańcuch wydarzeń razem wziętych, i to w wyżej wymienionej kolejności, stworzył warunki, które umożliwiły powstanie drugiej Rzeczypospolitej.

Tu przechodzimy do sprawy najważniejszej. Ów łańcuch wydarzeń, o wyżej wyliczonych ogniwach, pozostałby bez następstw dla sprawy polskiej, gdyby w narodzie polskim nie było woli niepodległościowej, to jest woli odbudowania państwa polskiego. Tę wolę podtrzymała przede wszystkim klasa robotnicza polska. Rok 1864, data upadku powstania styczniowego, a zarazem data założenia Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego w Londynie pod hasłem solidarności z Polską, była tu linią graniczną. Dawne produkujące klasy społeczne, wyczerpane upływem krwi w powstaniach, utraciły siły do walki, albo nawet utraciły wiarę w możliwość prowadzenia walki zbrojnej i w zwycięstwo nad zaborcami. Tę wiarę i tę siłę znalazła w sobie nowa klasa społeczna, proletariats przemysłowy i rolny. To jest fakt historyczny. Organizacją, która tę wiarę i tę siłę wydobyla z proletariatu polskiego, była Polska Partia Socjalistyczna. To jest także fakt historyczny. W pseudonaukowym paszkwilu pt. „Polityka Polskiej Partii Socjalistycznej w czasie wojny 1914–1918” renegat socjalizmu Henryk Jabłoński zarzuca Ignacemu Daszyńskiemu, że uznawał przewodnictwo burżuazji polskiej w rewolucji „burżuazyjno-demokratycznej”. Jabłoński jak gdyby przepisał ten zarzut z „Krótkiego rysu historii Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej (bolszewików)”, bo to jest główny zarzut, jaki bolszewicy stawiali niegdyś mieniszewikom. Ale to był spór rosyjski. Jeśli chodzi o Polskę, zarzut ten nie znajduje potwierdzenia ani w doktrynie PPS, ani w jej działalności praktycznej. W koncepcji PPS przewodnictwo w walce o niepodległość Polski i demokrację brała na siebie klasa robotnicza. Była ona w tej walce nieraz osamotniona, jak w rewolucji 1905 roku, a zawsze ponosiła największe ofiary, lecz nigdy nie chowała się za innych, szła na czele, a nie w ogonie wydarzeń. W gruncie rzeczy komunistów i renegatów socjalizmu gniewa najbardziej to, iż w koncepcji PPS klasa robotnicza nie walczyła o wolność i demokrację tylko dla siebie samej, walczyła ona o wolność i demokra-

cję dla całego narodu, dla wszystkich, także dla swoich przeciwników politycznych i społecznych. Jedyńm twórcą prawa w niepodległej Polsce miał być Sejm swobodnie wybrany; rewolucja społeczna miała się dokonać – wedle słów Feliksa Perla – w majestacie prawa. Koncepcja ta była wyrazem zaufania do dojrzałości klasy robotniczej i jej naturalnego sojusznika: chłopstwa bezrolnego i małorolnego. Późniejszy bieg wydarzeń potwierdził słuszność tego stanowiska PPS. Jego alternatywą w roku 1918 mogła być tylko tzw. dyktatura proletariatu, dyktatura garstki „zawodowych rewolucjonistów” i sekretariatu generalnego rządzącej partii. Co ona oznacza, widzimy od 41 lat w Rosji, a od 14 lat także w Polsce.

Komuniści polscy zgłaszają pretensję do PPS o to, że w roku 1918 nie proklamowała w Polsce „republik radzieckiej”. Jest całkowicie zgodne z prawdą dziejową, że stanowisko PPS w dniach listopadowych 1918 roku rozstrzygnęło o tym, iż Polska nie stała się taką republiką. Nie było to jednak błędem ani grzechem, odwrotnie, jest to jedna z największych zasług PPS wobec proletariatu polskiego. Gdyby w listopadzie 1918 zatriumfowała „Polska Republika Rad”, dalsze jej losy byłyby takie same, jak np. losy Ukraińskiej Republiki „Radiańskiej”, stałaby się częścią ZSRR, utonąłaby w rosyjskim morzu. Może ktoś na to powiedzieć, że ostatecznie Moskwa postawiła w roku 1945 na swoim i podporządkowała sobie Polskę. Tak, ale świadomość narodowa i społeczna najszerzych mas polskich po roku 1918 ogromnie wzrosła we własnym państwie – prawda, że obciążonym wielkimi błędami politycznymi i ciężkimi krzywdami społecznymi, mimo to własnym. Ta świadomość i jej przejawy sprawiły, że w roku 1945 nawet Stalin musiał zachować jakiś pozór odrębności państwa polskiego i jego kontynuacji. Co najważniejsze, ta świadomość i jej przejawy sprawiły, że problem Polski wciąż pozostaje wielkim, otwartym problemem międzynarodowym; świat wolny odmawia pogodzenia się z wcieleniem Polski do sowieckiego obszaru imperialnego. To także jest jedna z konsekwencji wydarzeń listopada 1918 roku. I znowu może ktoś powiedzieć, że taka odmowa ze strony wolnego świata nie ma żadnego praktycznego znaczenia. Widocznie jednak jest inaczej, skoro Chruszczow tak nalega na uznanie przez Zachód status quo ustrojowego w Polsce i w krajach sąsiednich. [...]

Tekst ukazał się w piśmie „Robotnik”, centralnym organie PPS, wydawanym wówczas jako miesięcznik przez Centralny Komitet Zagraniczny PPS, w Londynie w numerze 11 z 1958 r.

Ryszard Czarnecki

NAUCZMY SIĘ KORZYSTAĆ Z WŁASNEJ SIŁY

Przed 34 laty (sic!) przeprowadziłem wywiad z przedstawicielem antykomunistycznej opozycji, reprezentantem ówczesnego obozu niepodległościowego. Był nim Antoni Macierewicz. Rozmowa została opublikowana w podziemnym „Komunikacie NZS Uniwersytetu Wrocławskiego” – wydawanym przez zdelegalizowane przez władze PRL cztery lata wcześniej Niezależne Zrzeszenie Studentów (byłem jego przewodniczącym na tej uczelni oraz jednym z trzech członków działającego w podziemiu prezydium Komisji Krajowej NZS). Był to czas, gdy Uniwersytet we Wrocławiu nosił imię... Bolesława Bieruta. W moim przekonaniu nasza rozmowa z Antonim Macierewiczem pokazuje ciągłość myśli politycznej i ideowej szeroko rozumianego obozu patriotycznego.

fot. Tomasz Michalak/PAP

Odbudowa szerokiej sfery społecznej aktywności jest niezbędną podstawą normalnego życia narodu, także wszelkiej działalności politycznej, i dobrze, jeśli przyszli politycy przejdą przez taką szkołę – mówił 34 lata temu ANTONI MACIEREWICZ w rozmowie z ALEKSANDREM WOŁYŃSKIM (Ryszardem Czarneckim).

► Był Pan jednym z pierwszych, którzy zainicjowali pomoc dla robotników Ursusa i Radomia w 1976 roku. Jakie doświadczenie z tamtego i późniejszego – do Sierpnia – okresu mogą być przydatne dziś?

Tamten czas coraz bardziej osnuty jest heroiczną legendą Początków. Ja także wspominam tamte lata z pewną nostalgia, ale widzę też jasno swoją niedojrzałość. Myślę więc, że należy traktować je przede wszystkim jako przygotowanie do tego, co miało nastąpić później, nie zaś jako skarbiec utraconych wzorców. Tamto doświadczenie można opisywać wielorako. Na przykład tak: przez solidarność z przesładowanymi i pracę społeczną, w odróżnieniu od polityki. To dobra droga pod warunkiem, że nigdy nie zapomni się o solidarności, a zaangażowanie społecznikowskie jasno odróżni się od działań politycznych. Odbudowa szerokiej sfery społecznej aktywności jest niezbędną podstawą normalnego życia narodu, także wszelkiej działalności politycznej, i dobrze, jeśli przyszli politycy przejdą przez taką szkołę, oba jednak rodzaje pracy wymagają odrębnych struktur, bowiem rządzą się odmiennymi regułami. A co pozostało? Pozostała umiejętność tworzenia przez poszczególne grupy społeczne niezależnych struktur organizacyjnych, pozostała też wolna prasa i wydawnictwa. A przede wszystkim z lat 1976–1980 pozostała pewna dyrektywa generalna: konieczna jest odbudowa społeczeństwa i narodu, aby była możliwa odbudowa i odzyskanie państwa.

► Po ucieczce z obozu internowania (IX 1982) ukrywał się Pan do 1984 roku. Czym kierował się Pan, rezygnując z tego sposobu działania i wychodząc z podziemia? Oczywiście jest to także pytanie o perspektywę działalności jawnej czy pół-jawnej...

Latem 1984 roku wróciłem do domu, uznałem bowiem, że „na powierzchni” będę bardziej przydatny. Drugi problem, o który Pan pyta, najlepiej kilkadziesiąt lat temu ujął Jan Ludwik Popławski i nie sądzę, bym mógł cokol-

wiek do tego dodać: „Biorąc za podstawę działalności istniejące stosunki polityczne, trzeba przede wszystkim wyzyskać wszelkie legalne środki działania, które nam zapewnią obecny stosunek prawno-polityczny do państwa, następnie zaś te niezbędne warunki i czynniki rozwoju narodowego, których na drodze legalnej osiągnąć nie można, wytwarzać i odpowiednio do potrzeb naszych przekształcać za pomocą działania nielegalnego, dopóki prawne w danej sferze gruntu nie pozyska”.

► **Różni ludzie i środowiska formułują – mniej lub bardziej otwarcie – krytyczne opinie o roli polskiego Kościoła czy prymasa Polski w obecnym czasie. Mówi się o ugodowości Kościoła, odcinaniu się (!) od „Solidarności”, nawet o... współpracy na pewnych płaszczyznach z komunistami. Zważywszy, jak olbrzymia część niezależnego życia od grudnia 1981 skupia się przy Kościele, zarzuty te wydają się absurdem bądź złą wolą. Ale może zawierają część prawdy?**

Na początku stanu wojennego Prymas rzucił na szalę cały swój autorytet, by nie dopuścić do walki zbrojnej. Jemu zawdzięczamy, że 13 grudnia 1981 roku nie stał się początkiem wydarzeń, których konsekwencje byłyby podobne drastycznym skutkom powstania styczniowego. Dzięki polityce Prymasa zachowaliśmy i umocniliśmy nasze siły. Ci, którzy dyskredytują postępowanie Prymasa, działają albo w złej wierze, albo też emocje biorą u nich górę nad rozsądkiem, nad obiektywną oceną sytuacji.

► **Trudno być wizjonerem, zwłaszcza w Polsce 1986 roku. Ale spróbujmy... Jakie widzi Pan perspektywy rozwoju sytuacji – globalnej i w kraju – powiedzmy na jutro i trochę dalej niż na jutro?**

Nikt nie jest w stanie ocenić dziś sytuacji globalnej, na tym m.in. polega jej nowość. Weszliśmy w nowy okres i można najwyżej mówić o pewnych tendencjach i wnioskach, jakie stąd dla nas płyną. Byłoby więc niepoważne, gdybym próbował formułować jakieś zasadnicze opinie. Można zaś – jako szczególnie trafne – przytoczyć słowa Prymasa sprzed czterech już blisko lat, lecz w ogólnych zarysach wciąż aktualne: „Widzimy wielkie zachwianie tej względnej równowagi, jaka dotychczas była między Wschodem i Zachodem. Naruszenie tych dwóch olbrzymich filarów, które zakolały się i trzęsą się [...], tej równowagi, która praktycznie nie była oparta na etyce ani na wartościach humanistycznych, takich jak godność ludzka, ale była oparta na jakimś bardzo hazardowym wyścigu zbrojeń, który okresowo doprowadzał do względnej równowagi [...] I to się chwije. Zjawiskami, które będą rzutowały na najbliższą przyszłość, będzie to zaognienie – jakże bolesne – na Bliskim Wschodzie [...] Będzie także wiele zależało od rozwoju sytuacji w Niemczech. Będzie także dużo zależało od tego, jak rozwinie się kryzys w ZSRR. Już ten zarys prowa-

dzi do pewnego zasadniczego wniosku: najbliższy czas – na ile będzie to od nas zależało – nie powinien być czasem rewolucji, lecz ewolucji politycznej. Albowiem gdy świat trzęsie się w posadach, trzeba uważnie pilnować swego”...

► **W ubiegłych latach wiele wysiłku poświęcono pobudzaniu aktywności społecznej. Ostatnio dyskutujemy zawzięcie o prawicy i lewicy, o aktualności nauki społecznej Kościoła. To dobrze – bez jasności podstaw ideowych niedaleko zajdziemy. Najwyższa pora, by precyzować etapowe cele, którym ta aktywność ma służyć. Rzeczywistość wymaga od wszystkich środowisk politycznych umiejętności posiadania zdania także na temat sytuacji bieżącej. W ostatnim „Tygodniku Powszechnym” p. Sławomir Siwek przypomniał zasadnicze postulaty Kościoła. Ciekaw jestem, jakie będzie stanowisko środowisk, które Pan reprezentuje?**

Pamiętam, jak wiele wątpliwości wzbudziły „Tezy Rady Prymasowskiej” i jak dwuznaczne były opinie na temat Fundacji Rolniczej. Jeśli i ta – ostatnia – inicjatywa nie znajdzie szerokiego wsparcia społecznego, nie mówmy później, że i tak była nierealna. Krótko mówiąc: nauczmy się korzystać z własnej siły, nie lamentując wciąż nad porażkami.

► **Proszę sobie wyobrazić: wielka aula uniwersytecka, 3000 studentów, 5 minut czasu i Pan z mikrofonem w ręce. Co od Pana usłyszymy?**

Zaproszę mnie na takie spotkanie, to usłyszycie.

► **No, to jest wykręt, nie odpowiedź, ale wykręt polityczny, bo nas do zorganizowania takiego spotkania obliuguje. Tylko tę liczbę to my rozłożymy na raty... Bardzo dziękuję za rozmowę, za inspiracje z niej płynące, myślę, że będziemy mieli jeszcze okazję do dłuższego spotkania.**

Antoni Macierewicz – absolwent historii UW, instruktor harcerski słynnej warszawskiej „Czarnej Jedyńki”, której członkowie zajmowali się m.in. liczeniem głosujących w wyborach do Sejmu, aby udowodnić fałszerstwo oficjalnych wyników – w czasach, kiedy nikomu się o tym nie śniło; jeden z inicjatorów pomocy dla robotników Ursusa i Radomia po Czerwcu 1976, członek KOR, a następnie KSS „KOR”, oficjalny ekspert Komisji Krajowej „Solidarności”, redaktor pisma Regionu Mazowsze „Wiadomości Dnia”, 13 grudnia 1981 roku internowany, więziony w kilku obozach, we wrześniu 1982 roku uciekł z Nowego Łupkowa i ukrywał się przez dwa lata, w lipcu 1984 roku po amnestii siedmiu członków Komisji Krajowej i czterech działaczy byłej KSS „KOR” wyszedł na powierzchnię...



Kamil Goral, ekspert RG SWS

UE wobec pandemii, czyli pomarzyć dobra rzecz...

Pandemia koronawirusa sprawiła, że funkcjonujemy w zupełnie innej rzeczywistości niż jeszcze kilka tygodni temu. Wydawało się, że globalizacja to proces, którego nie da się zatrzymać, świat bez granic to dla wielu było i chyba w dalszym ciągu jest wielkie marzenie. Tymczasem okazuje się, że to nie globalne czy kontynentalne organizacje zapewnić nam mogą pomoc i bezpieczeństwo, jakiego potrzebujemy w trudnych czasach.

Kolejny raz potwierdza się teza, że bez silnego i dobrze zarządzanego państwa nie da się funkcjonować. WHO, które czuwać miało nad światowym bezpieczeństwem zdrowotnym, podniosło alarm o koronawirusie, kiedy hulał on już po całym świecie. Być może ta agenda ONZ była zbyt zajęta propagowaniem zabijania nienarodzonych dzieci. Od lat podmiotów słynie raczej z ideologicznych przekazów niż realnego wsparcia dla bezpieczeństwa zdrowotnego.

Podobnie rzecz ma się z Unią Europejską. Ostatnio Parlament Europejski miał czas na uchwałę w sprawie edukacji seksualnej w Polsce. To gremium wypływa z siebie mnóstwo tego typu głupot. Kiedy jednak w Europę uderzyła z ogromną siłą zaraźliwa choroba, władze wspólnoty skupiły się jedynie na zapewnieniach o wsparciu. Niestety, za tymi zapewnieniami nie idą konkretne działania. Rzekome miliardy, jakie Bruksela miała przekazać na walkę z wirusem, to środki z kończącej się perspektywy budżetowej, poinformował premier Morawiecki. Czyli nic nie dali, ale powiedzieli, że dali. Bo coś mówić trzeba. Opinia publiczna nie oczekuje jednak słów i deklaracji od suto opłacanych unijnych dygnitarzy.

Od dawna UE przypomina ideologiczny wehikuł dla obłądnych projektów o marksistowskim charakterze. Nie ma tam sprawczości w kwestiach kluczowych dla ludzi. Unia skupia się zatem na wymagowanych problemach, takich jak praworządność

w Polsce, emisja CO₂ czy edukacja seksualna. Zawodzi natomiast na całej linii, jeśli chodzi o kryzys migracyjny, rozwój gospodarczy czy teraz zagrożenie spowodowane koronawirusem. Tamtejsza wierzuszka lubi mówić o wartościach i zasadach, to jednak tylko frazeologia, za którą kryje się aksjologiczna pustka. Także w obliczu zagrożenia COVID-19 słyszymy ten sam bełkot, zaraz pewnie dorzucą do tego znane hasło „więcej Europy”. Czyli więcej ideologicznej papki w rodzaju walki ze zmianami klimatu. Natomiast zero sprawczości w tematach, które pilnie czekają na rozwiązanie.

Co zatem powinna zrobić Unia? Przede wszystkim konkretnie działać, głównie poprzez celowaną pomoc finansową dla firm i pracowników. Zrezygnować trzeba w trybie nagłym z szalonych celów związanych z emisją dwutlenku węgla. Pilnie należy zawiesić mechanizm nabywania uprawnień do emisji CO₂. Środki z nowej perspektywy budżetowej zaś przeznaczyć na pomoc mikro-, małym i średnim przedsiębiorstwom. Nie tylko tym, które inwestują w „odnawialne źródła energii”. Środki powinny trafić przede wszystkim do tych firm, które najbardziej odczują skutki epidemii.

Poluzować trzeba unijne regulacje dotyczące zamówień publicznych, tak aby to krajowe firmy wygrywały przetargi i w ten sposób budowały swój potencjał po okresie przestoju związanego z epidemią. Zostawmy za sobą bezsensowne regulacje typu RODO. To niczemu nie służy, szczególnie w czasach takiej zawieruchy. Regulacyjny reset i dobrze zaadresowane wsparcie finansowe – i to szybko. Tak zadziałać powinna Unia.

Pomarzyć dobra rzecz...

Rada Gospodarcza
STREFA WOLNEGO SŁOWA



Krzysztof Karnkowski

PTAKI, ŚWINIE, ZOMBIE



Epidemie grypy trapią świat od lat, jednak można odnieść wrażenie, że najbardziej upodobały sobie Azję. Również teraz, gdy świat zмага się z koronawirusem COVID-9, wszystko zaczęło się od Chin. Epidemie ptasiej i świńskiej grypy mocno dały się we znaki Koreańczykom, zwłaszcza w pierwszej dekadzie XXI wieku. Znalazło to odbicie w kinematografii. Co ciekawe, tak popularne dziś tamtejsze produkcje o zombie pełnymi garściami czerpią z ówczesnych, inspirowanych epidemiami grypy, filmów katastroficznych.

Apogeu „grypowych” inspiracji koreańskich twórców przypada na lata 2012–2013, jednak pewien bardzo ważny dla tego nurtu obraz powstawać zaczął kilka lat wcześniej. Etiuda „Brave new world”, stanowiąca część tryptyku „Doomsday book”, początkowo nie miała szczęścia. Rozpoczęte w 2006 roku prace autoryzy musieli zawiesić na kilka lat, by ostatecznie wstrzelić się w swój czas we wspomnianym roku 2012. Choć z trzech krótkich opowieści składających się na tryptyk krytycy najbardziej docenili filozoficzną „Creation of heaven” w reżyserii Kim Jee-wona, bardziej znanego również na Zachodzie od odpowiedzialnego za quasi-komediowe „Brave new world” i zamykający zbiór „Happy Birthday” Yim Pil-sunga. Choć Kim ma na koncie tak wybitne produkcje jak „Opowieść o dwóch siostrach” czy „Gra cieni”, to jego mniej znany kolega okazał się ten jeden raz większym wizjonerem, łącząc kilkanaście lat przed innymi grype z zombie.

► Obrazy ciężkie, lecz trzymające w napięciu

„Brave new world” nie sposób przypisać do żadnego gatunku, mamy do czynienia z filmem totalnym – komedią, horrorem, dramatem egzystencjalnym, moralitetem i satyrą polityczną w jednym. Przez zaledwie pół godziny oglądamy, jak w chaosie pogrąża się cały kraj, a wszystkie wydarzenia biorą początek i splatają się z historią głównego bohatera, życiowego fajtlapy Yoon Seok-woo, który przeżywa właśnie swoją pierwszą prawdziwą miłość do Kim Yoo-min. Dookoła nich zaczynają wybuchać przemoc i panika, które początkowo wydają się tylko zwykłym ekscesem rozrywkowego weekendu, później powodującą agresywne zachowanie grypy, by wreszcie dojść do momentu, gdy na wszelkie zastanawianie się jest już za późno. Co warte docenienia, w tej opowieści nie ma żadnej niepotrzebnej sceny, a każda z nich sama w sobie stanowi arcydzieło kondensowania w obrazach symboliki i nastroju chwili i miejsca – czy będzie to szalona dyskoteka, park pełen zakochanych i szukających zaczepki, pełna ludzi knajpa czy telewizyjne studio, w którym politycy nagle osuwają się w szaleństwo.

Będące niezależnym projektem „Doomsday book”, pomimo udziału tak uznanego twórcy jak Kim Jee-won, nie odniosło komercyjnego sukcesu. Wielkim przebojem okazał się natomiast pełnometrażowy katastroficzny thriller „Deranged” w reżyserii Park Jung-woo, który po czterech latach wrócił z utrzymaną w tym samym gatunku „Pandorą”, dzięki Netflixowi dostępną też dla polskich widzów. „Pandora” to już przedstawiciel kolejnej fali filmów

katastroficznym, dzieci traumy narodowej (zatonięcie promu Sewol) i pan-azjatyckiej (Fukushima), która dała początek zmianie nastrojów społecznych, a w efekcie – władzy. Natomiast „Deranged” to owoc strachu po pandemii wirusa A/H1N1 (mutacja świńskiej grypy), film bardzo ciężki i przygnębiający, choć przy tym do niemal ostatniej chwili trzymający w napięciu.

Tajemnicze przypadki samobójstw poprzez utożsamienie okazują się efektem zagnieżdżenia się w ludzkich ciałach zmutowanej wersji pasożyta. Choć choroba nie jest zaraźliwa, staje się masowa, dotyka bowiem wszystkich, którzy w upalnym sezonie letnim mieli kontakt z wodą popularnej wśród turystów rzeki. Chorzy są również żona i dzieci głównego bohatera, naukowca współpracującego z firmą farmaceu-

strażaków i personelu medycznego, tajemniczy ocalony roznoszący chorobę... i już można się domyślić, że znów mamy do czynienia ze spiskiem, w którym chciwość korporacji i przekupstwo (lub tylko nieudolność) polityków naraża na niebezpieczeństwo zdrowie całego kraju. W pełni świadoma zagrożenia jest tylko specjalna epidemiologiczna jednostka dochodzeniowa, której zmagania śledzimy. Podobnie jak w przypadku „Deranged”, wymowa również tego serialu nie jest zbyt budująca.

Rok po „Deranged” na ekrany wszedł blockbuster „The Flu” Kim Seong-su. Pomimo gwiazdorskiej obsady i o wiele bardziej komercyjnej produkcji, cieszył się mniejszą popularnością od poprzednika, ale i tak był jednym z większych przebojów koreańskiego kina w 2013 roku. „Gry-

SERIAL „THE VIRUS” BARDZO NATURALISTYCZNIE POKAZYWAŁ PROCES ROZPRZESTRZENIANIA SIĘ EPIDEMII. TAJEMNICZY POŻAR W SZPITALU, ZACHOROWANIA WŚRÓD STRAŻAKÓW I PERSONELU MEDYCZNEGO, TAJEMNICZY OCALONY ROZNOSZĄCY CHOROBE...

tyczną. Jak nietrudno się domyślić, mającą związek z dziejącym się dramatem. Korporacja jako jedyna dysponuje stosownym lekiem, a więc i narzędziem szantażu rządu. Negocjacje trwają zbyt długo, ludzie zaś cierpią i giną, co chwilami pokazane jest dość drastycznie. To spiskowe podejście do narodowej traumy trafiło w gusta widzów, a film, choć ciężki i chwilami trudny w odbiorze, zarobił ponad 28 mln dolarów. Co ciekawe, niektóre sceny chaotycznego biegu zarażonych zostały wręcz dosłownie odwzorowane w głośnym na całym świecie horrorze „Zombie express” („Train to Busan”) z 2018 roku.

► Są tacy, którzy znają prawdę

Jego przedsmak, również inspirowany niedawnymi epidemiami, koreańscy widzowie dostali w 2012 roku w etiudzie „Ambulans” (reż. Kim Gok, Kim Sun), zamykającym zbiór „Horror stories”. W tej rasowej opowieści, rozgrywającej się niemal wyłącznie w karetce pogotowia, towarzyszymy lekarzowi, pielęgniarkie, kierowcy oraz matce walczącej o uzyskanie pomocy dla córki, będącej w trakcie spowodowanej ugrzyzieniem szczura przemianą w zombie.

Rok później koreańscy telewidzowie oglądali serial „The Virus”, bardzo naturalistycznie pokazujący proces rozprzestrzeniania się epidemii. Tajemniczy pożar w szpitalu, zachorowania wśród

pa” zaczyna się w stylu komedii romantycznej, później zaskakuje nas ukazaniem dramatu jakby w duchu farsy, by stopniowo przechodzić do ponurych, pełnych przemocy i ludzkiego nieszczęścia scen. Ostatnie kilkanaście minut filmu to już granie na emocjach widza za pomocą pewnych i sprawdzonych środków, tyleż beczelne, co skuteczne. Atak choroby pokazany jest dość realistycznie, co wskazuje na pokrewieństwo z serialowym „Wirusem”. Mutacje ptasiej grypy przywleka jedyny ocalały z transportu nielegalnych imigrantów z Hongkongu, od którego najpierw zaraża się lokalny kontakt przemytników, później zaś prawie całe leżące w pobliżu Seulu miasto. Głównym wrogiem obywateli tym razem stają się politycy i wojskowi, a do ostatecznej rozgrywki dochodzi między prezydentem Korei a szefem sił amerykańskich na półwyspie.

Epidemie z początku wieku, mające zresztą swoje późniejsze, również kłopotliwe mutacje, odcisnęły swoje piętno w wielu filmach na inne tematy, były też nieraz wspominane jako tło lub punkt odniesienia dla fabuły. Zachowanie ofiar epidemii stało się wzorcem pokazywania zombie kilka lat później. Nie można jednak wykluczyć, że tegoroczna pandemia za kilka lat zaowocuje „The Flu 2”. Trzeba będzie przecież przepracować kolejną traumę i nadgonić stracone zyski ze sprzedaży biletów kinowych. ■

Marek Kalinowski

Tata Franka Kimono

To on skomponował „Żółte kalendarze” i „Domek bez adresu”, napisał muzykę do filmów Wajdy i Żuławskiego, a także wymyślił... Franka Kimono. Andrzej Korzyński w marcu skończył 80 lat, a przy okazji okrągłych urodzin kompozytora GAD Records przygotowało album z retrospektywą jego muzyki filmowej.

Tanczne, funkowo-rockowe dźwięki z czołówki „Człowieka z marmuru”, przebojowy temat z filmu „Wielki Szu”, a także muzyka z serialu „Tulipan” – to zaledwie część skarbów, które znajdziemy na długo oczekiwanej płycie z muzyką filmową Andrzeja Korzyńskiego, kompozytora odpowiedzialnego za oprawę dźwiękową ponad 150 polskich filmów! Choć trudno na jednym krążku ukazać bogactwo jego twórczości, to obok utrwalonych w pamięci melodii poznamy także dźwiękowe eksperymenty do filmów Andrzeja Żuławskiego. Pano wie przyjaźnili się od szkoły podstawowej, stąd zapewne Korzyński podczas tej współpracy miał szczególnie dużo swobody, eksperymentując z rockiem, syntezatorami i muzyką symfoniczną.

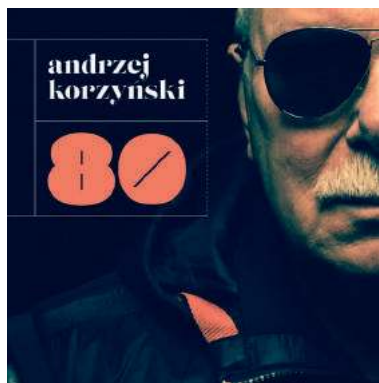
Korzyński ma niebывałą wręcz zdolność do łączenia nowych brzmień z fenomenalną melodią, co jest szczególnie ważne w kinie skierowanym do najmłodszych widzów, a dla wielu słuchaczy jubileuszowy album Korzyńskiego może się właśnie okazać wzruszającą podróżą do krainy dzieciństwa. Kto w kinowym fotelu nie kulił się ze strachu przed nadciągającą inwazją wilków, wystukiwał rytm zaklęcia doktora Pai-Chi-Wo, a potem śpiewał wraz z Małgorzatą Ostrowską refren słynnej „Meluzyny”? Tak, to właśnie Andrzej Korzyński jest autorem genialnej muzyki towarzyszącej przygodom Pana Kleksa, której na początku nie doceniły Polskie Nagrania, a cały zestaw ukazał się ostatecznie dzięki inicjatywie firm polonijnych. Muzyka odniosła niebывały sukces, jest więc oczywiste, że na składance GAD Records nie mogło zabraknąć tematu z „Akade-

mii Pana Kleksa”. Przy okazji miłośnicy rodzimego kina familijnego rozpoznają też zapewne znajome dźwięki orkiestry symfonicznej z serialu „Janka”, emitowane w Polskiej Telewizji pod koniec lat 80.

Problemy wydawnicze ciągnęły się za Korzyńskim latami. Pomimo wielu przebojów, które mu zawdzięczamy – skomponował m.in. hit Piotra Szczepanika „Żółte kalendarze”, „Domek bez adresu” Czesława Niemena, piosenki dla Maryli Rodowicz („Do łezki łezka”, „Szparka sekretarka”), Zdzisławy Sośnickiej i popularnego Franka Kimono – wytwórnie wciąż zwlekały z wydawaniem jego twórczości. Nawet muzyczny żart, wyśpiewane przez Marka Konradę i Marlenę Drodzowską „Mydelko Fa”, choć okazało się gigantycznym sukcesem komercyjnym, to jednak głównie na pirackim rynku zwarewanych lat 90., a Korzyński zapłacił za swój dowcip nie małą cenę wizerunkową.

Muzyka Korzyńskiego na szczęście odkrywana jest na nowo.

W 2012 roku twórczością kompozytora zainteresowała się brytyjska wytwórnia Finders Keepers, zachwycona wczesnymi kompozycjami do filmów Żuławskiego, a kto chciałby rozszerzyć przygodę z filmową muzyką kompozytora, może też sięgnąć po wcześniejsze wydania GAD Records. Wśród nich znajdziemy płyty ze ścieżką dźwiękową do filmu „W pustyni i w puszczy”, serialu „Tulipan”, a także ostatnie dzieło Korzyńskiego – muzykę do „Mowy ptaków”, czyli efekt współpracy z synem nieżyjącego przyjaciela, Xawerym Żuławskim. A to wszystko wciąż stanowi zaledwie ułamek fenomenalnej muzyki czekającej jeszcze na wydanie. ■



Andrzej Korzyński, „80”, GAD Records

HORYZONTY KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

Krzysztof Penderecki był kompozytorem o szerokich horyzontach. Tworzył muzykę symfoniczną, operową, sakralną i kameralistykę. Ale sławę zdobył też w Hollywood. Jego muzyka niejednokrotnie była wykorzystywana przez twórców filmowych. Utwory Pendereckiego znalazły się w takich produkcjach jak „Egzorcysta” Williama Friedkina, „Łśnienie” Stanleya Kubricka, „Dzikość serca” Davida Lyncha, „Ludzkie dzieci” Alfonso Cuaróna, „Katyń” Andrzeja Wajdy czy „Wyspa tajemnic” Martina Scorsese. Natomiast sam spis jego utworów scenicznych do oper, utworów na orkiestrę, orkiestrę smyczkową, dętą, zespół jazzowy, instrumenty solowe, muzyka kameralna i wokalna to minimum pięć stron maszynopisu.

► **Andrzej Duda: wyznaczył całą epokę w kulturze światowej**

Jego kompozycje odbiły się szerokim echem na całym świecie. „Strofy” (Warszawska Jesień 1959), „Tren – Ofiarom Hiroszimy” (1961), „Psalm Dawida”, „Pasja wg św. Łukasza”, „Polskie Requiem – Lacrimosa” skomponowana w hołdzie ofiarom Grudnia '70. Ten ostatni utwór uznany został za jedną z najpiękniejszych kompozycji XX wieku. Tworzył dzieła monumentalne, potężne, jak choćby cykl pieśni do tekstów polskich poetów, m.in. Zbigniewa Herberta, Cypriana Kamila Norwida, Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Leopolda Staffa. „Bez niego, tej charakterystycznej rytmiki i harmonizacji, nie byłoby III i V symfonii, słynnej VII symfonii »Siedem Bram Jerozolimy« (na jubileusz 3000 lat tego miasta) czy „Credo”, które on sam uznawał za swoje koronne dzieło. Charakterystyczne motywy często powracały w operach »Król Ubu« czy »Czarnej masce« – pisał w „Gazecie Polskiej Codziennie” Piotr Iwicki. Krytyk muzyczny na łamach gazety wspominał koncert Krzysztofa Pendereckiego w Rosji w 2011 roku. „Na lotnisku w Moskwie otworzyły się drzwi, Mistrz przyleciał wraz z Sinfonią Varsovia, by prowadzić koncert w słynnej Sali Kolumnowej. W hallu czekało na niego 11 telewizyjnych kamer. Dzień później publiczność zgotowała Polakom owację na stojąco”.

Informacja o śmierci kompozytora rozniosła się po całym globie. Kondolencje i wyrazy ogromnego uznania spływały dosłownie z całego świata. Warto pamiętać, że muzyk otrzymał doktoraty honoris causa na trzydziestu uczelniach w Polsce i na świecie. „Odszedł Maestro Krzysztof Penderecki. Swoją twórczością wyznaczył całą epokę w kulturze polskiej i światowej. W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej wybrzmiało Jego monumentalne dzieło »Polskie Requiem«. Był to jeden z ostatnich publicznych wy-

Sylvia Kołodyńska

Często o nieżyjących artystach mówi się, że żyją po śmierci swoją twórczością. A twórczość Pendereckiego żyć będzie nie dość, że na całym świecie, to jeszcze przez kolejne wieki. „Nawet tam, gdzie relacje polityczne są napięte i ma to wpływ na obecność polskiej kultury, muzyka Krzysztofa Pendereckiego przyciąga tłumy” – mówi Barbara Schabowska-Maszenda, dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza.

for. Arch.

stępów wielkiego Kompozytora” – napisał w dniu śmierci Krzysztofa Pendereckiego, 29 marca, prezydent Andrzej Duda. „Polska kultura poniosła dziś wielką i niepowetowaną stratę. Po długiej chorobie odszedł Maestro Krzysztof Penderecki – najwybitniejszy polski kompozytor współczesny, którego muzyki słuchano od Japonii po Stany Zjednoczone” – pisał wicepremier i minister kultury Piotr Gliński.

► Przed Chopinem...

– Niektórzy chcieliby, by Chopin był najbardziej rozpoznawalną marką polskiej kultury i są na to nawet stosowne badania. Nie jestem jednak pewna, czy w ostatnich latach lauru pierwszeństwa w świecie muzyki klasycznej nie dźwierz Krzysztof Penderecki. Jego nazwisko otwiera polskiej muzyce drzwi do

wspominam naszą krótką rozmowę w cztery oczy w Jastrzębiej Górze, gdzie Maestro często latem przebywał. Pamiętam, że pracowałem wtedy nad „Operetką” – operą na podstawie dramatu Witolda Gombrowicza – i powiedziałem o tym Profesorowi. Odpowiedział, że także jego kiedyś fascynował ten dramat, że jego zdaniem znakomicie nadał się na operę i że kiedyś przymierzał się do skomponowania opery na jego kanwie. Ale – jeśli dobrze pamiętam – od razu dodał, że pojawiły się wtedy akurat nowe zamówienia i już nigdy później nie miał czasu, by do tego wrócić. Pamiętam, że życzył mi wtedy dobrych sił twórczych i powodzenia w tej pracy – chyba to się po latach ziściło – mówi Michał Dobrzyński.

Penderecki będzie miał wielu naśladowców. Niejednokrotnie mówiło się o wąskim gronie wy-

„PO DŁUGIEJ CHOROBIE ODSZEDŁ MAESTRO KRZYSZTOF PENDERECKI

– NAJWYBITNIEJSZY POLSKI KOMPOZYTOR WSPÓŁCZESNY, KTÓREGO MUZYKI SŁUCHANO
OD JAPONII PO STANY ZJEDNOCZONE”.

sal koncertowych na całym świecie. Nawet tam, gdzie relacje polityczne są napięte i ma to wpływ na obecność polskiej kultury, muzyka Krzysztofa Pendereckiego przyciąga tłumy. Tak było chociażby na jesieni 2019 roku w Izraelu w Jerusaleem Theater – mówi w rozmowie z „Nowym Państwem” Barbara Schabowska-Maszenda, dyrektor Instytutu Adama Mickiewicza. Instytut od lat świadomie wykorzystuje twórczość Krzysztofa Pendereckiego do promocji polskiej kultury. Tylko w ubiegłym roku był koproducentem kilkunastu wydarzeń, w tym wielkiego koncertu w Praskiej Katedrze czy w Korei. Dziennikarka i menedżer kultury podkreśla, że Maestro był jednym z najważniejszych aktorów polskiej dyplomacji kulturalnej. – Bez Niego będzie nam dużo trudniej. Na szczęście Jego muzyka zostanie z nami – mówi Barbara Schabowska-Maszenda.

► Nauczyciel kolejnych pokoleń

Kompozytor Michał Dobrzyński, który napisał m.in. muzykę do „Tanga” Sławomira Mrożka i „Operetki” Witolda Gombrowicza dla Warszawskiej Opery Kameralnej, przez wielu uważany jest za wybitnego ucznia Krzysztofa Pendereckiego, uczestnika programu promocji młodych kompozytorów. – Najbardziej jednak ze wszystkich spotkań

bitnych kompozytorów polskich, którzy mogliby być uznani za jego następców. Wśród nich wymieniany jest Michał Dobrzyński. – Ważne jest, by poszukiwać własnej drogi. Moja twórczość wciąż jest in statu nascendi i prawdopodobnie tylko czas najlepiej ją recenzuje. Dostrzegam w twórczości Krzysztofa Pendereckiego wiele bliskich także mnie jako kompozytorowi wartości, takich jak poszukiwanie sacrum w sztuce, skłonność do form dramatycznych – zwłaszcza opery, precyzję w kształtowaniu narracji, dramaturgii utworu. Głęboko wierzę w to, że muzyka ma autentyczną siłę jednoczącą ludzi i będąc tworzoną w duchu wewnętrznej przeżycia wzbogaconego o prawdę, twórczą refleksję, może zmieniać świat na lepsze – mówi muzyk w rozmowie z „Nowym Państwem”.

Krzysztof Penderecki stawiał przed sobą wielkie wymagania. Wiele razy wspominał, że w kwestii tworzenia nie dawał sobie nawet dnia odpoczynku. Codziennie musiał napisać choć kilka taktów. Ale wymagał też od innych. W wywiadzie dla „Machiny” w 1998 roku powiedział: „Słucham jedynie utworów pisanych przez profesjonalnych kompozytorów. Muzyka kogoś bez żadnego wykształcenia muzycznego nie może być dobra”. Warto wziąć dziś te słowa do serca. ■

Magdalena Molak

Nieplanowane. Bunt dla życia

Książka „Nieplanowane. Bunt dla życia” to dopełnienie i przedłużenie tego filmowego obrazu. Wprowadza nas w kuluary zmagania polskiego dystrybutora z medialnymi atakami na film. Jest też biograficzną opowieścią działacza pro-life o tym, jak wygląda życie, kiedy opowiemy się za... życiem.

„Nieplanowane. Bunt dla życia” to opowieść na kilka głosów o rzeczywistości z filmu „Nieplanowane”, ujawniającym kulisy śmiercionośnego przemysłu aborcyjnego. Głosu Abby Johnson, której historię życia opisuje film, głosu Carriego Solomona i Chucka Konzelmiana – scenarzystów i reżyserów, Shawna Carneya – lidera organizacji pro-life, Tomasza Balona-Mrocza i Jerzego Wolaka, którzy opowiadają o polskich doświadczeniach z filmem, oraz głosu Jacka, Roberta, Agnieszki, Magdaleny i wielu innych, których ten obraz poruszył i zmienił.

► Nieplanowane w Polsce

„Nigdy nie popełnimy błędu, jeśli będziemy robić to, co moralnie słusznie” – powtarza za Ronaldem Reaganem Tomasz Balon-Mroczka z Domu Wydawniczego Rafael – polskiego dystrybutora filmu „Nieplanowane”. Filmu, który stał się przyczyną jednej z największych dyskusji światopoglądowych ostatnich lat. Ale droga wprowadzenia produkcji na ekrany naszych kin i rozpropagowania jej tak, aby zobaczyło ją jak najwięcej osób, była walką i ciężką pracą teamu dystrybutora. Proaborcyjni aktywiści nie odpuszczali i w swoich działaniach nie przebiegali w środkach. Te zmagania opisuje Tomasz Balon-Mroczka. Pokazuje, na jak wielu frontach toczono zmagania, i że nawet tam, gdzie na szyldach wystawia się chrześcijańskie wartości, zdarza się, że temat aborcji traktowany jest jako coś odrębnego. Ale jego historia nie jest rozliczaniem się z tymi, którzy działali przeciwko pokazywaniu filmu szerokiej widowni. Przywołuje personalia ludzi działających w kontrze, bazujących na nierzetelnych i nieuczciwych informacjach, manipulujących faktami i próbujących przeciwostoić dyskusję o aborcji. Ta zmasowana kampania przeciwko „Nieplanowanemu” przyniosła jednak skutek odwrotny niż zamierzały środowiska proaborcyjne – przysporzyła filmowi dodatkowej popularności i sprawiła, że do kin poszło więcej widzów.

► 40 dni dla życia

„Nie ma gorszej zbrodni wobec kobiety niż przekonanie jej, że kobietą czyni ją jedynie zdolność i prawo do dokonania

aborcji” – mówi Shawn Carney, założyciel i lider organizacji pro-life „40 dni dla życia”, działającej na rzecz delegalizacji aborcji w USA, której zasięg wyszedł już poza Stany Zjednoczone. Kampanie prowadzone przez wolontariuszy „40 dni dla życia” to nieustanna modlitwa przed klinikami aborcyjnymi i wsparcie dla kobiet noszących się z zamiarem dokonania zabiegu. To właśnie Shawn wraz ze swoją żoną Mariliśą modlili się pod kliniką Planned Parenthood, w której pracowała Abby Johnson. To z tą właśnie organizacją skontaktowała się Abby, a potem rozpoczęła współpracę po porzuceniu pracy w „klinice” aborcyjnej.

W wywiadzie zawartym w książce, którego Carney udzielił Paulinie Guzik, opowiada on o walce przeciwko zabijaniu nienarodzonych dzieci, o walce, w której nie ma przemocy. Jest za to spokój, modlitwa, często w ciszy, i jest miłosierdzie. Przestrzega przed nienawiścią i łatwym ocenianiem kobiet, które poddały się aborcji. Od początku kampanii taką właśnie walką wywalczyli zamknięcie 104 klinik aborcyjnych w Stanach Zjednoczonych.

► Zobaczyłam aborcję i to rozdarło mi serce

Abby Johnson, była dyrektorka kliniki Planned Parenthood, dziś aktywistka pro-life i matka ośmiorga dzieci, opowiada, jak zmieniło się jej życie po tym, gdy rzuciła pracę w klinice aborcyjnej i związała się z działalnością pro-life. Dowiemy się, że decyzja nie była łatwa ze zdroworozsądkowego punktu widzenia i zanim Abby wyszła ze strefy głębokiej ciemności i zła, musiała stoczyć ciężką batalię. Z wywiadu z nią, a także z jej autobiograficznej opowieści dowiemy się więcej o haniebnej działalności Planned Parenthood, największej aborcyjnej sieci w USA, która dąży do tego, aby stać się największą z wpływowych organizacji politycznych – nie zdrowotnych.

Poruszając częścią książki są refleksje i świadectwa widzów „Nieplanowanych”. Znajdziemy tu i „ocalonych” – ludzi, którzy dowiedzieli się, że byli „do usunięcia”, i tych, którzy pod wpływem filmu podjęli się duchowej adopcji dziecka poczętego, którego życie jest zagrożone aborcją, oraz zobowiązali się modlić przez 280 dni w jego intencji. Poznaliśmy także tych, którzy wstrząśnięci tym, co zobaczyli, postanowili diametralnie zmienić swoje życiowe postawy. ■





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Miasto Łazarza z Betanii

Na kamienicy przed kawiarnią wisi duży poster. Na nim zdjęcie ikony jakiegoś świętego. I napis informujący czytającego, że miejscowość, w której właśnie się znalazł, mieści się w zaszczytnym gronie 20 miast nieprzerwanie zamieszkałych przez 4000 lat.



Wyschnięte Jezioro Słone to zupełnie inna rzeczywistość Cypru

Nicolaus! Nicolaus! – po ulicy rozchodzą się niski, chropowaty głos. Drobny, brodaty mężczyzna wychodzi zza rogu odrapanego domu. To właśnie on wołał. Teraz, widząc czekającego na niego w swoim wiekowym samochodzie kolegę, delikatnie się uśmiecha. – Długo już czekasz na mnie?

– Nie, nie... – odpowiada drugi, powoli wydostając się z auta. – Niedługo chwilę.

– Chodź, możemy zaczynać. Co u ciebie, brachu?

Siwy, acz bardzo modnie ostrzyżony starszy mężczyzna troskliwie obejmuje przyjaciela i prowadzi go po kilkustopniowych schodkach na górę.

Po chwili obaj znikają w przestronnym pokoju, który brodaty mężczyzna specjalnie na tę okazję przed chwilą otworzył. Nie trzeba bardzo się starać, aby zajrzeć do środka. Z ulicy widać wszystko. Leżanka pod ścianą. Po przeciwnej stronie stary telewizor. I samotny fotel pośrodku. Z biureczkiem oraz lustrem obok. To lokalny zakład fryzjerski. A ten drobny mężczyzna to najwidocz-

niej tutejszy fryzjer. Umówiony klient czekał cierpliwie. We własnym aucie. Pod domem. W spokoju. W cudownej niespieszności. Sympatyczna scenka niebogatych cypryjskich emerytów, którzy kontemplują życie. Kontemplują w najlepszy z możliwych sposobów. Razem z innymi.

W Larnace nadal zima. Przynajmniej patrząc na kartki kalendarza. Turystów więc tutaj, jak i na całym Cyprze, raczej niewielu. Zakłady, warsztaty i inne gabinety usługowe otwierane są tylko na specjalne żądanie tutejszych mieszkańców. Sąsiad sąsiada zna. Pomoże. A może po wykonanej pracy zaprosi nawet na kawę. Do siebie. Za ścianę.

► Obawa o sąsiedztwo

Idę rażno dalej. Do zachodu zostały przynajmniej cztery i pół godziny. Leniwa perspektywa. Kilkaset metrów dalej południowe słońce zgrabnie



podkreśla cienie mijanych drzewek cytrusowych. Rosną już na terenie czyjś prywatny ogródek. Skręcam w boczną uliczkę, by naraz minąć... zupełnie zdewastowane ściany. Zatrzymuję się z niepokojem. Nie tego się spodziewałem. Owszem, mijane do tej pory chatki nie były rezydencjami: ot, całkiem zadbane, schludne domeczki cypryjskiego wybrzeża. Ale to co zobaczyłem, to istna ruina. Przypominająca bardziej wenezuelską bądź filipińską fawelę. Stoję chwilę i czekam. Póki co cisza. Podchodzę bliżej.

Wkoło bezładnie porozrzucane dykty. Kilka desek. Najwidoczniej ktoś tu kiedyś mieszkał. Może nawet do niedawna. Dziś pozostał tylko bałagan. Kupka gruzu. Jakiś worek po cementzie. Chaos. Tym bardziej rzucający się w oczy, że tuż za ruiną widać zadbaną kamienicę. Elegancki dom z białymi ścianami, zielonymi okiennicami. Szczelnie jednak pozamykany. No, tak. Sezonowy interes. Nie ma turystów, nie

ma biznesu. Otworzą na wiosnę. Jeśli ktoś zechce zamieszkać w takim sąsiedztwie. Obawy mogą być. To normalne.

► Brodzący i piłkarze

Od kilku godzin spaceruję po cypryjskiej Larnace. Miejscowości, do której przybywa się de facto przede wszystkim dla pięknej plaży Mackenzie Beach. Dla tych kilku (latem kilkunastu) bezcennych godzin słońca w ciągu dnia. I dla cerkwi pw. św. Łazarza. Tęgo z biblijnej Betanii. Do Larnaki przybywa się pewnie także troszkę dla deptaku o trudnej do wymówienia nazwie Foinikoudes. Będąc na nim, zaczepiam pewną panią, aby upewnić się, czy dobrze wymawiam nazwę najsłynniejszej uliczki Larnaki. Okazuje się, że dobrze.

Wzdłuż popularnego deptaku rosną niewysokie palmy. To echo końcówki lat 20. ubiegłego wieku.



Poza sezonem plaża w Larnace wcale nie jest obleganym miejscem

Nasadzone drzewka miały sprawić, że Foinikoudes stanie się troszkę niczym meksykańskie Cancun. Karaibskim odpowiednikiem Larnaka jednak się nie stała.

W odległości około stu metrów od brzegu, w morzu, widać starszego mężczyznę. Niespiesznie brnie wzdłuż wybrzeża. Idzie zamyślony. Przyjemnie ciepła woda obmywa mu brzuch i plecy. Nie ma tu dziś zbyt wielu konkurentów. Praktycznie poza nim i piątką Polaków, którzy prosto po przyjechaniu z lotniska wybrali się na powitalną kąpiel w morzu, w wodzie nie ma w tej chwili nikogo.

Ludzi widać za to na piaszczystej plaży. To tu od kilkunastu minut gromadzi się szkolna młodzież. Chłopaki grają w piłkę. Towarzyszące im dziewczęta pokazują sobie coś na telefonach. To morze to dla nich nużąca norma. Codziennosc. Prędzej utarte miejsce schadzek niż atrakcja zakosztowania kąpieli. Wodnej czy słonecznej.

Część spacerowiczów wcale nie zagląda na plażę. Zadowolona się wygodnym, szerokim chodnikiem na Foinikoudes. Stąd przecież też wszystko widać. Nawet tego pana przemierzającego się w morzu. Jest już dobre sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym widziałem go ostatnio. Porusza się na południe. Dokładnie tam, gdzie zaczyna się sąsiadująca z wypoczynkowym Foini-

koudes dzielnica Skala. Ta, której wizytówką są do dziś zrujnowane domy.

► Skala

W dzielnicy Skala palm już nie widać. Ludzi też jakby mniej. Po tureckiej inwazji na Cypr w 1974 roku dzielnica została opuszczona przez rodzimą ludność turecką, która przesiedliła się na północ, gdzie wkrótce proklamowano Tureckie Federalne Państwo Cypru, a po kolejnych ośmiu latach Turecką Republikę Cypru Północnego. Tam miało być im lepiej. Tam mieli być u siebie. Skala zaczęła popadać w zapomnienie. Przez kolejne dziesięciolecia niszczała w oczach. Ruin tu wiele. Właściwie to one stanowią pejzaż całej Skali. Dobudowywane do nich nowoczesne domy mają jedynie przyspieszyć proces metamorfozy. Cierpliwiej i wytęsknionej przez mieszkańców przebudowy.

Ostatnie lata to dla Skali bardzo powolny powrót bardziej zaradnych mieszkańców Larnaki. Turcy przenoszą tu swoje zakłady, warsztaty. Jak wspomniany wcześniej fryzjer. Jak mijany przeze mnie w tej chwili mężczyzna, który przeniósł tu swój warsztat samochodowy. Właśnie dłużej w silniku przeszło trzydziestoletniego białego fiata.



Nowość obok starości, czyli typowy widok opuszczonej swego czasu dzielnicy Skala

Skalę uratowało zapomnienie. Rozzuchwalone firmy deweloperskie stawiające wzdłuż cypryjskiego wybrzeża kolejne hotele nie chciały nawet spojrzeć w tę stronę. A przecież do plaży z tej dzielnicy idzie się zaledwie siedem minut. Brak deweloperskiego zainteresowania sprawił, że Skala zachowała troszkę oryginalności. Swoistego kolorytu. I tradycyjnego charakteru.

► Obserwator

Centrum Larnaki. Tutaj także nie ma dziś tłumów. Spaceruje się zupełnie swobodnie. Można zatrzymać się na środku chodnika i pooglądać łopoczące na wietrze flagi, które ktoś umocował na dachu pobliskiego budynku. Cypryjską i turecką.

Przez cichą ulicę przejeżdża skuter. Prowadzący go zatrzymuje się tuż przede mną. Opiera maszynę o pobliski znak drogowy i rusza w kierunku znajdującej się obok kawiarni. Podejrzewam, że to jego codzienny rytuał. Wchodzi i wita się z właścicielem stojącym za ladą. Idę niespiesznie dalej. Dopiero po zrobieniu kilku kroków orientuję się, że mężczyzna wrócił do drzwi, aby nieco dłużej mi się przyjrzeć. O tej porze turystów tu raczej nie widuję.

Na kamienicy przed kawiarnią wisi duży poster. Na nim zdjęcie ikony jakiegoś świętego. I napis informu-

jący czytającego, że miejscowość, w której właśnie się znalazł, mieści się w zaszczytnym gronie 20 miast nieprzerwanie zamieszkałych przez 4000 lat. Nie wiedziałem. Musiałem przyjść tutaj. Pod najśłynniejszą świątynię w mieście. To cerkiew pw. św. Łazarza.

Świątynia pomimo tureckiego zwierzchnictwa na wyspie przez całe lata służyła zarówno katolikom, jak i wyznawcom greckiego prawosławia. Poświadczają to wszystkie trzy tablice umieszczone na lewej ścianie świątyni. W przepięknym portyku pod arkadami. Słowa spisano w łacinie, grece i w języku francuskim. Tuż obok tablic widać rysunek świętego patrona tego miejsca.

► Łazarz z Betanii

To jedna z bardziej przejmujących historii apostołskiej działalności Jezusa opisanej na kartach Ewangelii. Po otrzymaniu informacji o zmarłym przyjacielu, jak zapisuje świadek historii św. Jan, Pan Jezus „wzruszył się głęboko”. Łazarz był jednym z bliższych ludzi dla Pana Jezusa. A Ten nie miał ich przecież aż tak wielu. Łazarz był wyjątkowy. Historia wskrzeszenia z martwych Łazarza to jeden z trzech odnotowanych przez Ewangelistów przypadków wrócenia życia człowiekowi przez Mesjasza (obok córki Jaira i syna wdowy z Nain).



Biblijny Łazarz, którego wskrzesił sam Jezus Chrystus, był przez wiele lat biskupem Kition (dawnej Larnaki)



Arkady wybudowanej jeszcze w XIV wieku fortecy

Łazarz był bratem Marii i Marty. Kobiet bez reszty oddanych Nauczycielowi. Cała trójka mieszkała razem w Betanii, na wschodnim zboczu Góry Oliwnej. Jezus bardzo często gościł w ich domu. Z kart Biblii można wywnioskować, że lubił tu bywać. Tutaj był również Jego dom.

Po wskrzeszeniu przez Jezusa Łazarz żył jeszcze kilka lat w Ziemi Świętej. Z czasem jednak, ze względu na coraz liczniejsze prześladowania, których zaczął doświadczać od żydowskich liderów, musiał opuścić umiłowaną ojczyznę. Trafił wtedy właśnie tutaj. Na Cypr. Do Larnaki. Mieszkańcy bardzo szybko poznali się na nowo przybyłym. Z czasem został uznany za wyjątkowy autorytet. Podziwiany do tego stopnia, że ogłoszono go patronem miasta, zmieniając jego nazwę z dotychczasowej „Kition” na tę, która przetrwała do dziś. „Larnaka” z języka greckiego oznacza „Dom świętego Łazarza”.

Wyświęcony na biskupa miasta Łazarz umarł drugi raz, mając 76 lat. Jego grób odnaleziono w 890 roku. Na nagrobku świadkowie znaleźli napis: „Łazarz – przyjaciel Jezusa”. Ta fascynująca historia zatacza koło właśnie w tym miejscu, w Larnace. W cerkwi pw. św. Łazarza. Dokładnie tu, gdzie znaleziono jego ciało.

Sarkofag znajduje się w cerkwi. Dziś jest jednak pusty. Ciało zmarłego wieki temu przewieziono do Konstantynopola, a następnie zabrano do Francji, konkretnie do Marsylii. Ostatecznie trafiło do położonego w środkowej części kraju Autun, do katedry pw. św. Łazarza z Betanii.

► Sól i flamingi

Malownicza świątynia św. Łazarza to prawdziwy klejnot Larnaki. Oaza spokoju. Koncentracja ciszy. Gdzie zapalona pod ikoną Matki Bożej świeca będzie niespiesznie płonąć.

Podobnie ciche miejsce jest w Larnace jeszcze tylko jedno. Jakies 40 minut spacerem. To słone jezioro. Ze stojącymi w wodzie nieruchomymi flamingami. Z cudnie zachodzącym słońcem w tle. Z białymi połaciami soli, z których jeszcze do niedawna utrzymywała się cała wyspa. Dziś leżą odłogiem niczym zeszlizowany, nikomu niepotrzebny śnieg. Może to jednak lepiej? Utworzony przez sól pejzaż sprawia, że to, co widzimy pod mało znaną cypryjską miejscowością, zapamiętamy na bardzo długo.

Przy larnakańskim forcie ktoś siedzi. Korzysta ze słońca. Zimą dni na Cyprze są troszkę krótsze. Słońce zachodzi przed siedemnastą. Mężczyzna czyta gazetę. Dyskretnie przykładam aparat do twarzy, aby uwiecznić tę chwilę. Człowiek coś mamrocze pod nosem. To chyba do mnie. Pójdę już.

Ale nie, to nie do mnie. To żona wołała. Pan niespiesznie wstaje, odkłada gazetę i powolnym krokiem idzie w stronę werandy pobliskiej odrapanej kamienicy. Obiad chyba gotowy. Tuż przed wejściem spogląda jeszcze na mnie, kiwając delikatnie głową. Wskazuje, że bym uważał na nadjeżdżający samochód. Ciągłe zapominam, że tutaj jeżdżą lewą stroną. ■

Pod koniec grudnia 2019 roku Rosja i Ukraina ogłosiły ostatecznie nowe warunki umowy o tranzycie rosyjskiego gazu przez ukraińskie terytorium na zachód. Dosłownie kilkadziesiąt godzin wcześniej Donald Trump podpisał ustawę wprowadzającą sankcje dla firm zaangażowanych w budowę Nord Stream 2. Z kolei dwa tygodnie później Władimir Putin i Recep Tayyip Erdoğan zainaugurowali (w obecności premierów Bułgarii i Serbii) gazociąg TurkStream, podobnie jak Nord Stream 2 omijający Ukrainę (przez Morze Czarne). Sześć dni przed tym wydarzeniem w Atenach szefowie rządów Grecji, Izraela i Cypru podpisali porozumienie o budowie gazociągu EastMed, którym do UE, omijając z kolei Turcję, będzie trafiał gaz z odkrytych niedawno, ogromnych złóż we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Antoni Rybczyński

Gazowa Wielka Gra



fot. ADOBE STOCK

Równolegle do działań podejmowanych przez wielkich gazowych graczy mamy starania innych państw o lepszy dostęp do „błękitnego paliwa”. Do Europy napływa coraz więcej LNG, zaś kolejne kraje tej części kontynentu, która z racji historycznych uwarunkowań i zbudowanej wtedy infrastruktury jest uzależniona od rosyjskiego gazu, szukają nowych źródeł dostaw tego surowca. Polska rozbudowuje Terminal LNG im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu, buduje gazociąg Baltic Pipe i planuje pływający terminal LNG w Gdańsku. Chorwacja buduje terminal LNG na wyspie Krk. Litwa ma terminal w Kłajpedzie, a podmorski łącznik gazowy połączył kraje bałtyckie z Finlandią. Budowany jest gazociąg łączący kraje bałtyckie z Polską. Ukraina chce amerykańskiego LNG transportowanego przez Polskę i myśli o zaangażowaniu się w projekt Południowego Korytarza Gazowego (gaz kaspijski). Podobnie Rumunia. Na południu Bałkanów powstaje Gazociąg Transadriatycki (do Włoch) i odchodzący od niego Gazociąg Jońsko-Adriatycki, mający zaopatrywać kraje byłej Jugosławii w kaspijski gaz. Dalej na południu Egipt, znów samowystarczalny po odkryciu podmorskich złóż, chce swą infrastrukturę LNG wykorzystać do reeksportu do Europy gazu izraelskiego i choćby cypryjskiego. Duża część Europy przypomina dziś wielki plac budowy. Budowy gazociągów, interkonektorów i terminali LNG. Kończy się era dominacji Gazpromu. Dopiero skuteczna dywersyfikacja źródeł dostaw gazu ostatecznie zapewni bezpieczeństwo krajom choćby Europy Środkowej i Wschodniej oraz na dobre zakopie zimnowojenny podział Europy.

► Gazowe kleszcze Moskwy

Rozmowy rosyjsko-ukraińskie (z mediacją unijną) były długie i trudne. Gazprom wciąż liczył na to, że zdąży z uruchomieniem obu wielkich projektów eksportu gazu do Europy omijających Ukrainę przed zakończeniem dotychczasowego kontraktu tranzytowego z Kijowem (czyli do końca 2020 roku). Stało się jednak inaczej. Co prawda uruchomiono TurkStream, ale tylko jedną nitkę – na rynek turecki – a druga, ważniejsza, mająca pompować gaz do Europy, wciąż nie jest gotowa. Jeszcze gorzej poszło na północy, z tym ważniejszym projektem. Nord Stream 2 utknął na samym finiszu. Kiedy Dania nie była już w stanie dłużej zwlekać z wydaniem decyzji i w końcu na jesieni 2019 roku dała zgodę na budowę gazociągu w jej strefie ekonomicznej, Rosjanie mówili, że potrzebują już tylko pięciu tygodni na dokończenie projektu. Admini-

stracja USA groziła sankcjami od tak dawna, że Rosjanie i ich europejscy partnerzy chyba już zaczęli zupełnie ignorować sygnały zza oceanu. Tym większy musiał być szok, gdy jednak Amerykanie wprowadzili ustawę, która spowodowała, że statek układający rury na dnie Bałtyku natychmiast został wycofany przez właściciela, szwajcarską spółkę Allseas. A było już zrealizowane 95 proc. projektu... W efekcie Gazprom, rad nie rad, musiał podpisać kontrakt z Ukraincami. Zapewnia on przepływ gazu rosyjskiego przez Ukrainę przez kolejne 5 lat. Będzie go mniej niż dotychczas (około 90 mld m³ było w 2019 roku, ma być 65 mld m³ w 2020, zaś 40 mld m³ rocznie w latach 2021–2024), ale Kijów zyskuje kilka lat na przygotowanie się do niemal zupełnego zakończenia tranzytu, który przynosi konkretne zyski. Gazprom miał kłopot z określeniem najbardziej wygodnych dla siebie wielkości tranzytu przez Ukrainę, ponieważ wszystko zależy od tego, kiedy będzie mógł wykorzystywać Nord Stream 2 (55 mld m³ rocznie) i drugą nitkę TurkStream (15,75 mld m³). Teraz Putin mówi, że Nord Stream 2 będzie gotowy na początku 2021 roku. Tyle że jest kłopot z znalezieniem specjalistycznego statku do dokończenia budowy. Prawdopodobnie będzie to ostatecznie rosyjska jednostka Akademik Czernski, którą trzeba było jednak ściągać aż z Kamczatki.

Niewątpliwie można dziś mówić o klęsce – choć oczywiście nie można przesądzać, co się wydarzy w tej sprawie w przyszłości – rosyjskiej koncepcji ominięcia krajów tranzytowych w Europie Środkowej i Wschodniej. Wszak Nord Stream 2 (podobnie jak już działający Nord Stream) i TurkStream omijają nie tylko Ukrainę, lecz także Białoruś, Polskę, Słowację. W optymalnym dla Kremla wariantcie realizacja projektów dostaw gazu do Europy przez Bałtyk na północy i Morze Czarne na południu umożliwiłaby odcięcie dostaw na Ukrainę i Białoruś oraz prowokowanie poważnych kryzysów w Europie Środkowo-Wschodniej, bez ryzyka dla dostaw do partnerów zachodnich. Docelowo chodzi o przebudowę europejskiej architektury przesyłu rosyjskiego gazu. W rezultacie państwa takie jak Polska, Czechy, Słowacja czy Ukraina zostałyby zmuszone do importu surowca z Zachodu zamiast ze Wschodu, po uwzględnieniu wszystkich opłat tranzytowych na rzecz Niemiec i Austrii. Realizacja Nord Stream 2 i TurkStream ma też mocniej wiązać Niemcy czy Turcję z Rosją – także politycznie – i buduje konflikty wewnątrz UE i NATO. Gazociągami Rosja podsyca i pogłębia podziały w łonie Zachodu. Nord Stream 2 wywołał już głęboki konflikt między Stanami Zjednoczonymi a Niemcami. Przewidziane w ustawie budżetowej Departamentu Obrony sankcje, które de facto za-

mroziły realizację projektu, wywołały też niezadowolenie w unijnych instytucjach. Taka sytuacja z pewnością odpowiada Rosji.

► Dwie Europy

Rosja pozostaje największym dostawcą gazu do Unii Europejskiej i ogólnie do Europy. Według szacunków takich instytucji jak Międzynarodowa Agencja Energii (IEA), tak pozostanie do 2040 roku. Jeden na trzy metry sześciennego „błękitnego paliwa” będzie płynął do UE właśnie z Rosji. Utrzymując dominującą pozycję w dostawach surowca gazociągami (Gazprom) oraz zwiększając dostawy LNG (Novatek), Moskwa chce przeszkodzić innym dostawcom i wywalczyć jak najlepsze pozycje na rynku, zanim zaczną się on kurczyć z racji przechodzenia UE na tzw. czystą energię. Rosja wykorzystuje poważny infrastrukturalny podział „gazowej” Europy na dwie części – wynikający z historii. Zachód od dawna ma bezpieczny model dostaw gazu – z różnych kierunków, od różnych dostawców, w różnej formie – i nie zna zjawiska wykorzystywania dostaw gazu w charakterze broni politycznej. Rosja to tylko jeden z wielu dostawców. Jakże inaczej sytuacja wygląda w krajach byłego bloku wschodniego, które Moskwa zdążyła jeszcze przed upadkiem Związku Sowieckiego (i zaraz potem) uzależnić od siebie odpowiednio skonstruowaną siecią gazociągów. Dwie jej główne osie to gazociąg Bratierstwo uruchomiony w latach 80. XX wieku (biegnie z Rosji przez Ukrainę, dalej przez Słowację, aż do hubu Baumgarten w Austrii i do Niemiec) oraz gazociąg Jamał–Europa, uruchomiony już na początku lat 90. XX wieku, biegnący przez Białoruś i Polskę do Niemiec. Taka architektura gazociągów – czyli połączenia równoleżnikowe – do niedawna zapewniały Rosji jeśli nie monopolistyczną, to z pewnością dominującą pozycję na rynku. Gdy kraje tego obszaru zaczęły szukać innych źródeł surowca i podejmować wysiłki dywersyfikacyjne, Moskwa postanowiła podzielić się częścią wpływów z Niemcami. Stąd projekty Nord Stream i Nord Stream 2 – pozornie wpisujące się w dywersyfikację dostaw gazu. Toczy się obecnie wyścig z czasem o to, czy utrwalona zostanie gazowa dominacja Rosji i Niemiec w tej części kontynentu, czy jednak łącząc um państwom uda się przełamać niekorzystny stan i zdywersyfikować źródła dostaw gazu – m.in. budując alternatywny dla starego, rosyjskiego, południkowy system transportu gazu. Kraje regionu, głównie tzw. Trójmorza, chcą jak największego wsparcia Komisji Europejskiej, żeby zwiększyć swe bezpieczeństwo energetyczne. Środki finansowe unijne (tzw. projekty PCI) mają pomóc w dywersyfikacji dostaw gazu. Decydujące może być jednak sta-

nowisko USA – Amerykanie chcą ograniczyć dominację Rosji w naszej części Europy, także energetyczną. Przy okazji oczywiście realizując swoje cele biznesowe – stąd pojawienie się amerykańskiego LNG w Polsce. Międzynarodowa Agencja Energii (IEA) oczekuje, że import LNG do Europy wzrośnie o niemal 20 proc. do 2040 roku w porównaniu z poziomem z 2016 roku. Obecnie w Europie znajduje się blisko 30 terminali LNG, a wśród nich ponad 20 jest zlokalizowanych w obrębie państw należących do Unii Europejskiej. Ale tylko dwa w krajach byłego bloku wschodniego: w Polsce i na Litwie.

► Brama Północna

Choć tzw. Brama Północna to określenie trzech kluczowych elementów polskiej polityki dywersyfikacyjnej (dwa terminale LNG i gazociąg), właściwie można tu mówić o całości działań infrastrukturalnych nie tylko Polski, lecz także krajów bałtyckich, Danii i Finlandii. Są one bardzo ważne dla całości polityki ograniczania zależności od Rosji w obszarze Trójomorza. Kluczowym krajem jest tu Polska. Chodzi i o położenie geograficzne, i o potencjał dostaw. Aby zmniejszyć zależność od Rosji, a właściwie móc w ogóle zrezygnować z rosyjskiego gazu, Polska dąży do zwiększenia importu gazu skroplonego oraz poprzez gazociąg ze złóż norweskich. Podstawą koncepcji tzw. Bramy Północnej jest zapewnienie przed końcem 2022 roku możliwości importu co najmniej 20 mld m³ gazu z wykorzystaniem już istniejącego, a rozbudowywanego obecnie Gazoportu w Świnoujściu (z obecnych 5 mld m³ do 7,5 mld m³ rocznie), budowanego gazociągu Baltic Pipe oraz planowanego pływającego terminala LNG w Gdańsku. Pierwszym ważnym projektem dywersyfikacji dostaw gazu do Polski był właśnie Terminal LNG im. Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu. Dzięki niemu Polska już teraz może importować do 5 mld m³ skroplonego gazu z całego świata. Obecnie surowiec dociera głównie z Kataru, USA i Norwegii. Możliwości importu LNG przez Polskę wzrosną po oddaniu do użytku (być może już w 2021 roku) jednostki typu FSRU. To gazowiec przystosowany do poboru i regazyfikacji LNG. Zaczumowany w Zatoce Gdańskiej i połączony ze zbiornikami w Kosakowie, miałby dać 4–8 mld m³ gazu rocznie. Najważniejszym projektem nie tylko Polski, ale i całego Trójomorza, jest sztandarowy element koncepcji Bramy Północnej, czyli gazociąg Baltic Pipe łączący złoża norweskie z polskim systemem gazowym. Jego celem jest stworzenie nowego korytarza dostaw gazu na rynku europejskim, łączącego Polskę i Danię z Norwegią. Gazociąg ma biec przez terytorium Da-

nii, pod dnem Bałtyku, i ostatecznie kończyć swój bieg w Polsce. Rokrocznie Baltic Pipe ma dostarczać do Polski niemal 10 mld m³ gazu. Przy pełnym wykorzystaniu nowych źródeł dostaw (dwa terminale LNG i Baltic Pipe), ilość gazu importowanego do Polski może okazać się wyższa niż krajowe zapotrzebowanie. Nadwyżka surowca będzie magazynowana i odsprzedawana do kolejnych odbiorców. Obecnie głównie myśli się o Czechach, Słowacji, państwach bałtyckich i Ukrainie, ale rozważa się także handel na rynku spotowym. Aby uczynić z Polski hub gazowy, postępuje rozbudowa interkonektorów łączących Polskę z sąsiadami oraz polskich zdolności magazynowych. Rozważany jest również zakup ukraińskich magazynów znajdujących się głównie na zachodzie Ukrainy, blisko polskiej granicy.

Część gazu mogłaby płynąć do krajów bałtyckich interkonektorem gazowym GIPL (Gas Interconnection Poland–Lithuania) łączącym Polskę z Litwą. Prace przygotowawcze do budowy litewskiego odcinka interkonektora ruszyły w styczniu 2020 roku. Litwini już kilka lat temu postawili na dywersyfikację dostaw gazu. W 2015 roku wynajęli od Norwegów pływający terminal LNG. Stoi on w Kłajpedzie, ma być wykupiony na własność przez Litwę, dostarcza gaz konkurencyjny dla rosyjskiego. Również inne państwa tego regionu – obok Polski i Litwy – dążą do zmniejszenia uzależnienia od rosyjskiego gazu. Kluczowym elementem tej strategii, obok budowy infrastruktury umożliwiającej import LNG, jest rozbudowa połączeń systemów gazociągowych państw regionu. W styczniu 2020 roku nowym gazociągiem Balticconnector, biegnącym pod wodami Zatoki Fińskiej i łączącym Finlandię oraz Estonię, dokonano pierwszego przesyłu gazu z magazynów na Łotwie.

► Korytarz Północ-Południe

Koncepcja budowy polskiego hubu gazowego wpisuje się w ideę Trójomorza, polegającą na integracji regionu między Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym poprzez rozbudowę infrastruktury, także energetycznej. Główną osią miałyby być gazociągi łączące terminal w Świnoujściu z planowanym terminalem na chorwackiej wyspie Krk. Korytarz Północ-Południe stworzyłby połączenie gazowe dla niemal wszystkich państw Europy Środkowej, co przyniosłoby każdemu z nich wymierne korzyści, m.in. w postaci alternatywy dla dostaw gazu. Wzmocniłby pozycję negocjacyjną państw Europy Środkowej z Federacją Rosyjską w zakresie dostaw gazu, gdyż pozwoliłby na dostęp do światowego rynku LNG. Kluczem do powodzenia koncepcji jest przyspieszenie prac w je-

go południowej części. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę Rosja. Wiedząc, że na odcinku północnym (Polska, kraje bałtyckie) nic już nie wskóra, aktywnie działa na Węgrzech i na Bałkanach – chcąc zablokować dywersyfikację dostaw gazu. Niestety, Budapeszt prowadzi tu politykę sprzyjającą celom rosyjskim. Dystans wobec projektu w Chorwacji, a jednocześnie pełne otwarcie na TurkStream. Ale to inny kraj, Bułgaria, może okazać się kluczowy dla powodzenia Korytarza Północ-Południe – i pewnie nie przypadkiem ostatnie miesiące to kolejne skandale szpiegowskie z Rosją w roli głównej. W przyszłości Korytarz Północ-Południe może zostać otwarty na dostawy gazu kaspijskiego – wystarczy połączyć systemy krajów Trójmorza, poprzez Bałkany, z gazociągami wchodzącymi w skład Południowego Korytarza Gazowego (SGC). Jeden taki łącznik jest już budowany między Bułgarią a Grecją. W maju 2019 roku te dwa kraje rozpoczęły budowę interkonektora Komotini – Stara Zagora o długości 182 km, mającego łączyć systemy gazowe obu krajów. Interkonektor IGB (Gas Interconnection Greece-Bulgaria) pozwoli Bułgarii pozyskiwać gaz z Azerbejdżanu (z gazociągu TAP) oraz, poprzez odcinek łączący, z budowanego właśnie terminala LNG w Alexandroupolis (INGS, Alexandroupolis Independent Natural Gas System). Gazociąg IGB to obiecująca alternatywa dla rosyjskiego gazu w Bułgarii, której rząd zdecydował też na początku stycznia 2020 roku, że bułgarski operator przesyłowy Bułgartransgaz kupi 20 proc. akcji greckiej spółki Gastrade, która buduje terminal LNG w greckim porcie Alexandroupolis.

Południowy Korytarz Gazowy – dzięki któremu do UE ma docierać surowiec z basenu Morza Kaspijskiego, Azji Centralnej, Bliskiego Wschodu i basenu wschodniego Morza Śródziemnego – ma być otwarty do końca 2020 roku. W przyszłości może zapewnić nawet 30 mld m³ gazu. Projekt składa się z trzech gazociągów: Południowokaukaskiego (niemal 700 km długości, biegnie z Baku przez Tbilisi do Erzurum, łącząc Azerbejdżan, Gruzję i Turcję); Transanatolijskiego (TANAP) o długości 1850 km i łączącego Gruzję, Turcję i Grecję; Transadriatycki (TAP) o długości 878 km i biegnącego z Grecji do Włoch. Tworzą one oś łączącą złoża Morza Kaspijskiego z włoską Apulią. Ale dostarczają lub mają dostarczać gaz także krajom leżącym wzdłuż tej osi (Gruzja, Turcja, Grecja, Albania) lub sąsiadującym – poprzez łączniki i odnogi (Bułgaria i Bałkany Zachodnie). Zainteresowane włączeniem się w SGC są też inne kraje, jak Rumunia i Ukraina – choć to wymaga stworzenia ognia morskiego, a więc transportu gazu w postaci skroplonej.

► Gaz z Lewantu

Przez lata Rosja jako konkurencję na europejskim rynku mogła postrzegać co najwyżej Azerbejdżan i gaz kaspijski. Tyle że potem pojawił się LNG, a teraz dochodzi kolejny problem dla Gazpromu. W ostatnich latach duże podmerskie złoża gazu odkryły Cypr i Izrael. 3 stycznia 2020 roku państwa te podpisały umowę z Grecją o budowie podmerskiego gazociągu EastMed (długość 1900 km), którym gaz z odkrytych złóż będzie trafiał na Kretę. Stamtąd zaś rocznie do Europy miałyby trafiać 10 mld m³ gazu. Docelowo przepustowość miałyby wynieść 20 mld m³. Gazociąg ma być ukończony do 2025 roku. Gaz ze wschodniej części Morza Śródziemnego powinien po dotarciu na rynek europejski kosztować 20–30 proc. mniej niż rosyjski, dostarczany budowaną właśnie drugą nitką TurkStream. Nic dziwnego, że Rosja zrobi wszystko, by to storpedować. I ma tu poważnego sojusznika. Turcja nie uznaje międzynarodowych wód Cypru i sprzeciwia się projektowi. Głównym zagrożeniem dla realizacji projektu zaopatrzenia UE w gaz pochodzący ze wschodniej części basenu Morza Śródziemnego są nie koszty budowy podmerskiego gazociągu, lecz spory o politycznym zabarwieniu dotyczące przebiegu morskich granic i w związku z tym praw do leżących pod dnem morskim zasobów gazu. Dotyczy to przede wszystkim złóż „Afrodyty”, odkrytych w 2011 roku, a znajdujących się w obrębie cypryjskiej wyłącznej strefy ekonomicznej. Ocenia się, że „Afrodyta” zawiera około 100–170 mld m³ gazu. Egipt, Cypr oraz Izrael porozumiały się w sprawie współpracy w ramach wydobycia gazu z tego pola oraz jego eksportu do Europy. Głównymi partnerami cypryjskiego rządu w eksploatacji złóż są amerykańskie koncerny ExxonMobil i Noble Energy. Cypr podpisał wart 9 mld dolarów kontrakt na wydobycie gazu z Delek, Shell i Noble Energy. W styczniu 2019 roku kraje popierające projekt, z udziałem także Autonomii Palestyńskiej, utworzyły Gazowe Forum Wschodniego Morza Śródziemnego w celu koordynacji budowy regionalnego rynku gazu z perspektywą rozwoju terminali LNG w Egipcie w celu jego eksportu na światowe rynki. 2 stycznia 2020 roku w Atenach szefowie rządów Grecji, Cypru i Izraela podpisali porozumienie o budowie gazociągu. Właścicielem projektu jest IGI Poseidon, joint venture greckiej DEPA i włoskiej Edison. Komisja Europejska sprawdza wykonalność projektu, ale obiecała 36,5 mld euro na badania i planowanie techniczne. EastMed popierają też USA – o czym mówił Mike Pompeo podczas szczytu Cypr-Grecja-Izrael w Jerozolimie w marcu 2019 roku. ■



Ryszard Czarnecki

Mydło Zabłockiego, hipokryzja Brukseli, sztampana Genewy...

Wszyscy piszą o koronawirusie, a ja nie chcę. To o czym mam pisać? Może o warszawskiej ulicy, przy której mieszka mój ojciec? A w zasadzie rodzina Czarneckich przez ostatnie 107 lat z niewielkimi przerwami. Ta ulica to Koszykowa. Mało kto wie, że obchodzimy w tym roku równie 250 lat, jak przeprowadzono ją na terenie dawnego Ujazdowa. Jednak nazwę – oczywiście od „koszyków” – ma „dopiero” od 135 lat.

li to jedyna rzecz, która jest tam nieśmiertelna. Zaiste, „double standards” to wizytówka UE.

O Unii też mi się nie chce pisać. To może o WHO, czyli Światowej Organizacji Zdrowia? Ale to również musiałbym czynić w kontekście koronawirusa – mówi się, że Unia Europejska na tę epidemię zareagowała bardzo spóźniona, ale co powiedzieć o tejsze WHO z siedzibą w Genewie? Trzymała się ona, niczym pijany plotu, swoich regulek, które kompletnie nie były adekwatne do takiego epidemiologiczne-

OTO PRZEWODNICZĄCA KOMISJI EUROPEJSKIEJ URSULA GERTRUD VON DER LEYEN KRYTYKUJE NIE TYLKO POLSKĘ, LECZ TAKŻE DANIĘ I CZECHY ZA ZAMKNIĘCIE GRANIC W WALCE Z KORONAWIRUSEM I BIADOLI, ŻE NASTĄPIĄ OGRANICZENIA W PRZEPŁYWIE TOWARÓW. TYMCZASEM GDY ZARAZ PO TYM NIEMCY – OJCZYZNA FRAU VON DER LEYEN – TEŻ ZAMYKAJĄ GRANICE, PRZEWODNICZĄCA KE NABIERA WODY W USTA I GŁOŚNO MILCZY.

A może napiszę o Unii Europejskiej? Owszem, ale to jednak byłoby w kontekście COVID-19. Bo UE, tak jak z brexitem, niczego nie zrozumiała ani niczego się nie nauczyła. Niby to związek suwerennych (27) państw, ale tak naprawdę królestwo. Królową jest w Unii Pani Hipokryzja. Oto przewodnicząca Komisji Europejskiej, Ursula Gertrud von der Leyen z domu Albrecht, krytykuje nie tylko Polskę, lecz także Danię i Czechy za zamknięcie granic w walce z koronawirusem. Cóż, dla rządów w Warszawie, Kopenhadze i Pradze najważniejsze jest zdrowie i życie ich obywateli, a pani na brukselskich włościach biadoli, że nastąpią ograniczenia w przepływie towarów. Tyle że jak zaraz po tym Niemcy – ojczyzna Frau von der Leyen – też zamykają granice, a konkretnie te z Francją, Szwajcarią i Austrią (tą z Włochami zamknęła już wcześniej sama Italia), to niemiecka przewodnicząca KE nabiera wody w usta i głośno milczy. I nie obchodzi mnie, czy jest to woda „Prickelnd”, czyli nomen omen „mit Gas”, woda gazowana, czy może „ohne Gas” – niegazowana. Podwójne standardy w Bruks-

go kataklizmu. Gdyby Korea Południowa, Tajwan czy Singapur posłuchały WHO, a nie uruchomiły własnego systemu badań przesiewowych, to by na tej sztamie z Genewą wyszły jak imć Zabłocki na mydło. Tych, którzy nie wiedzą, jak to drzewiej było z panem Zabłockim, nawet jeśli czasem używają tego powiedzenia, informuję, że chciał waszmość zarobić na sprzedaży mydła, ściągając go z Gdańska w głąb I Rzeczypospolitej, ale chciał też przyszczędzić i mydła nie oclił, tylko po zakupie przywiązał go w specjalnych pakunkach pod tratwami, które z owego Gdańska płynęły. Efektu możemy się domyslać...

Chciałem nie pisać o koronawirusie, ale zdaje się, że nie sposób. Siedzę w swoich czterech ścianach, bo słucham rządu i jego wezwania „zostań w domu”, ale jako człowieka czynu już mnie po paru dobach nosi, mnie, przyzwyczajonego do podróży, spotkań, pracy z ludźmi.

Cóż, to najniższy koszt, jaki możemy ponieść w związku z tym dramatem. Dramatem, który i tak Polskę, póki co, dzięki wysiłkom polskich władz i samych Polaków, oszczędza... ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Okruchy precelka

Święta Małgorzata Antiocheńska ikoną ruchu LGBT. Święty Wilgefortis, legendarna kobieta z brodą ukrzyżowana przez okrutnego ojca, dowodem na istnienie średniowiecznego interseksualizmu. Przepiękne wnętrza nazwane tu bazyliką, w którym zagrzewana przez nauczycieli muzułmańska młodzież skanduje: „Diabeł jest dobry!”, „Islam to nie terror”. I jeszcze kącik dla małych fanów genderowej literatury obrazkowej. Takie atrakcje jeszcze w lutym można było oglądać w berlińskim Bode-Museum. Chciałam o tym napisać. Już był szkic, materiał i pomysł. I wtedy przyszła korona. Ze szkicu zrobiła maseczkę.

Berlińskie metro już nie kursuje co pięć, lecz co dziesięć minut. Niektóre wagony przemykają prawie na pusto, ludzie zostają w domach, niektórym, zwłaszcza tym mieszkającym w pojedynkę, naprawdę trudno wytrzymać. Na Wilmersdorfer Strasse pustkami świeci też, jak te upiorne wagony, kawiarnia „Extrablatt”. Najlepsze śniadania w mieście muszą poczekać na swoich fanów, może nawet do lata, a może dłużej. Na głucho pozamykane mniej lub bardziej szemrane przybytki na odcinku Kantstrasse. Z chętnie odwiedzanego przez celebrytów klubu jazzowego „Quasimodo” nie dochodzą już żadne dźwięki. Berlin, stolica klubów, tętniący życiem, nigdy nie spijający Berlin zapadł w letarg. Były protest i bunt.

Kiedy rząd federalny w końcu po długim wahaniu wdrożył pakiet obostrzeń, rozrywkowe dzielnice zawyły „jak chory pies u pana stóp”. Kantstrasse, zahibermowana duchem Davida Bowiego, gdzie na śniadanie można dostać zestaw śniadaniowy „Późna Miłość” albo zapaść się w fotelu jednego z antykwariatów i dostać kawę z przedpotopowego ekspresu. Tego już nie ma. Jest strach przetykany buntem.

► 5 tysięcy kroków dziennie

Christinę nosi. Codziennie pokonywała pieszo nawet do 30 kilometrów. Pieszo do pracy, do sklepów, kiedyś na uczelnię. Dziś w swojej kawalerce na Charlottenburgu po-

konuje dystans między blatem kuchennym a ścianą pokoju. Uzbiera się tak przy szybkim chodzie nawet pięć tysięcy kroków dziennie. – Nie wiem, czy sąsiedzi z naprzeciwka widzą, co ja robię, może myślą, że zwariowałam, a może że tak sobie spaceruję – mówi. W lodówce zapasy jak na wojnę, papier toaletowy fartem zakupiony w marcecie pod domem. – Co rano przed moim sklepem ustawia się kolejka. Berlińczycy zachowują dystans, kamie jeden za drugim. Patrzą z okna, jak kształtuje się ta kolejkowa sytuacja, kiedy ludzi ubywa, schodzę na zakupy. Mleko – tylko jeden karton na głowę, papieru toaletowego, tego już nieomal fety-szu doby pandemii, nie ma na półkach od czterech dni, w marcecie dwie ulice dalej jest, jako towar reglamentowany. Jedna paczka na klienta. Chcesz dwie? Musisz dopłacić 15 euro. Chcesz trzy? Dopłacisz jeszcze 20 euro. Ludzie kręcą więc głowami i zostają przy jednym opakowaniu. Ktoś z obsługi marketu tłumaczy, że towar jest, ale w magazynach, a Niemcy mają teraz kłopoty z logistyką. W środowiskach niemieckiej Nowej Prawicy pomruk zadowolenia. Środowisko kojarzone z preppersami miało rację. Lepiej zawczasu się zabezpieczyć, niż potem przepłacać za kawałek mydła. Schadenfreude doświadczono preppera patrzącego teraz na swoich rozglądających się nerwowo za papierem, mydłem i żwirkiem dla kota rodakami (tak, to też teraz w Berlinie towar trudno dostępny) ma w sobie coś z przewagi mrowki nad konikiem polnym u La Fontaine'a.

► Bezglutenowo i higienicznie

Sklep „Sicher Satt” (pl. „Pewnie do syta”) z puszkowaną żywnością i sprzętami survivalowymi to absolutnie interes na miarę pandemii. W 2011 roku po niespełna rocznej działalności firma odnotowała 500-procentowy wzrost obrotów. W sierpniu 2016 roku po ogłoszeniu w Niemczech nowej koncepcji obrony cywilnej sklep stał się istną mekką preppersów. Zainteresowanie szczególnie zapakowaną żywnością, która w dodatku ma tę zaletę, że jest różnorodna, bije wszelkie rekordy. Pomysłowi właściciele firmy wymyślili nawet „dziesięciodniowe pakiety żywieniowe”. W takim pakiecie, wartym blisko 100 euro, znajdziemy śniadania, obiady kolacje i przekąski, wszystko próżniowo zapakowane, wystarczy dodać wodę i mamy jajecznice, albo stworzyć puszkę, podgrzać na kocherze i już jest zupa fasolowa z mięsną wkładką. Dziś „Sicher Satt” też nie zawiedzie swoich klientów. Przez ostatnie kilka lat asortyment jeszcze bardziej się urozmaicił. Doszły zestawy bezglutenowe. Oferta poszerzyła się o maseczki ochronne w kilku wariantach, materiały opatrunkowe, środki do dezynfekcji, jest tu wszystko, czego już nie ma w typowej drogerii, a co z dnia na dzień stało się za sprawą pandemii koronawirusa niezbędne. Na zamówienie trzeba jednak czekać cztery tygodnie. Właściciele sklepu zapewniają, że tak jak przez 10 lat działalności starali się sprostać oczekiwaniom

klientów, tak i teraz nie zawiodą ich zaufania. Sam pomysł przyszedł ze Szwajcarii, ojczyzny mistrzów budowania przydomowych bunkrów i obrony cywilnej. Tej samej Szwajcarii, która tak jak reszta Europy walczy z pandemią, a w chwili, gdy ten numer miesięcznika idzie do druku, zastanawia się nad powszechnym obowiązkiem noszenia maseczek ochronnych. Tak, ta sama Szwajcaria, której władze jeszcze dwa tygodnie wcześniej dopuszczały „imprezy dyskotekowe do 50 osób” i nie widziały głębszego sensu w odgradzeniu się od nieszczęsnej Italii.

► Walka trwa...

Szczepionka podana przez lekarza zarażonego koronawirusem wysłała Angelę Merkel na dwutygodniową kwarantannę. Jej dawny konkurent partyjny, Friedrich Merz, już wcześniej musiał ją odbyć. U Merkel koniec końców test wypadł negatywnie, ale i tak uczestniczyła w spotkaniach frakcji zdalnie. Mutti nie ma łatwo i nie chodzi bynajmniej o to, że dzielni strażacy z Rügen rzucili słuchawką po tym, jak odezwał się w niej jej głos. Biedni myśleli, że miejscowe radio chce ich nabrać „na Merkel”. Do głowy im nie przyszło, że sama kanclerz postanowiła osobiście pogratulować im postawy w walce z zarazą. Trudne położenie Merkel wynika z jej słabnącej pozycji w czasie, gdy nie ma jeszcze alternatywy dla niej samej. W CDU czasu pandemii w najlepsze trwa walka o przywództwo, a we frakcji CDU/CSU o Kancleramt. Między kandydatami do tronu toczy się zażarta walka. Koncepcja Markusa Södera ściera się z pomysłami Armina Lascherta na okiełznanie pandemii. Bawaria contra Nadrenia Północna-Westfalia, SPD walczące o prawa tzw. zwykłego człowieka, FDP apelujące o jeszcze większe wsparcie dla przedsiębiorców, AfD, które w pandemicznym ferworze stara się załatwić swoje wewnętrzne porachunki z radykalnym skrzydłem Björna Höckego, a przy okazji wykreować się na jedyne go pogromcę wirusa. Ale nie tylko to. Alternatywni mówią wprost, że rząd federalny nie potraktował poważnie scenariusza na wypadek epidemii, który opracowano już w 2012 roku. Dokument zawierał szereg rekomendacji, które przez lata pozostały bez odzewu. AfD na tego typu zaniedbaniach partii Wielkiej Koalicji chce teraz zbudować swoją pozycję. „Gdybyśmy rządzili, nie doszłoby do tego” – głosi przekaz. „Zamiast finansować szpitale, inwestowaliśmy w studia gender” – mówi następny. Walka ideologiczna wymieszana z płynem do dezynfekcji ze sklepu dla preppersów. Konieczność bezglutenowo. I pięć tysięcy kroków w obrębie kawalerki dziennie. Niemcy jakie zaliśmy, kruszą się na naszych oczach jak precelek z Oktoberfestu. Cały świat się kruszy? A co jeżeli cały świat to dla kogoś właśnie ulica z Kantem w tle? ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

► Chiny-Tajwan

16 marca kilkanaście nieoznakowanych chińskich kutrów rybackich zaatakowało dwie łodzie tajwańskiej straży wybrzeża, które przeganiały chińskich rybaków dokonujących nielegalnych połowów na tajwańskich wodach. Chińscy napastnicy obrzucili tajwańskie łodzie kamieniami i butelkami. Jeden z kutrów staranował jednostkę straży wybrzeża, niszcząc dwa z trzech zewnętrznych silników o wartości 20 tys. dolarów każdy. Straż wybrzeża odpowiedziała granatami hukowymi i niezabijającą bronią ręczną na amunicję, czym skutecznie przepędziła agresorów. Tajwan zażądał od Chin wykrycia sprawców, aresztowania ich i pokrycia kosztów naprawy szkód. Jeden z oficerów tajwańskiej straży wybrzeża powiedział lokalnym mediom, że nigdy nie widział tak licznej i tak agresywnej grupy chińskich motorówek.

W cieniu walki z pandemią koronawirusa Chiny prowadzą coraz bardziej agresywne działania wokół Tajwanu.

Także w połowie marca strona tajwańska poinformowała o kolejnych „bliskich” spotkaniach samolotów należących do sił powietrznych Tajwanu i ChRL. Tym razem maszyny należące do Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej (ChALW) miały przeprowadzać rzadko odbywane nocne ćwiczenia w pobliżu Tajwanu. Tajpej twierdzi, że były to pierwsze nocne ćwiczenia przeprowadzone tak blisko wyspy. Władze wojskowe na Tajwanie poinformowały przy tym, że chińskie samoloty – myśliwce Shenyang J-11 (dwusilnikowa konstrukcja bazująca na rosyjskim Su-27) oraz samolot wczesnego ostrzegania i kontroli Shaanxi KJ-500 (chiński AWACS, osadzony na samolocie Y-9/An-12) – zbliżyły się do ich strefy identyfikacji obrony przeciwlotniczej. Zgodnie z przekazem tajwańskich sił powietrznych, w celu przechwycenia zbliżających się ma-

szyn z Chin kontynentalnych na Tajwanie poderwane zostały samoloty wielozadaniowe F-16.

Chińskie media podkreślają, odwołując się przy tym do komentarzy ekspertów zbliżonych do ChALW, że był to pokaz możliwości reagowania chińskiego lotnictwa w rejonie Tajwanu niezależnie od pory dnia i warunków atmosferycznych.

Aktywność chińskich sił powietrznych, dokonujących przelotów wokół Tajwanu, zwiększyła się po 2016 roku, kiedy to zwycięstwo w wyborach prezydenckich na Tajwanie odniosła Tsai Ing-wen z proniepodległościowej partii DPP. Tsai

uzyskała reelekcję na początku 2020 roku i stąd ponawianie podobnych przedsięwzięć wojskowo-propagandowych strony chińskiej, ze szczególnym nasileniem w momencie, gdy cały świat, w tym Tajwan, walczy z pandemią.

► Chiny-Korea Płd.

W lutym wśród internautów w Korei Płd. popularnością cieszył się wpis użytkownika, który przedstawił się jako „koreański Chińczyk” i twierdził, że chińscy „agenci” odgrywają główną rolę w manipulowaniu opiniami w internecie oraz rozpowszechnianiu treści prochińskich i wspierających komunistyczną władzę w Chinach, aby doprowadzić do podziału społecznego wśród Koreańczyków o różnych poglądach politycznych.

Jedną ze strategii jest udział dużej liczby chińskich trolli na portalach społecznościowych, na których toczą się debaty polityczne. Zadaniem tych ludzi jest promowanie idei, które mogą powodować dalsze tarcia wśród użytkowników. „Za takimi operacjami stoi rząd Chin” – stwierdził „koreański Chińczyk”.

Jego wpis wzbudził także zainteresowanie polityków koreańskich. Park Sung-joong, par-

lamentarzysta reprezentujący konserwatywną Zjednoczoną Partię Przyszłości (UFP), zapowiedział, że będzie dążyć do stworzenia projektu ustawy, która pomoże zapobiegać fałszowaniu opinii w internecie przez osoby spoza Korei. Chce, aby m.in. na portale internetowe nałożono obowiązek ujawniania lokalizacji użytkowników, którzy wrzucają komentarze w mediach społecznościowych. Południowokoreański parlamentarzysta przytoczył także doniesienia medialne z innych krajów, mówiące o chińskich operacjach w internecie w tych państwach, i stwierdził, iż nie ma gwarancji, że Korea Południowa nie jest poddana takim samym działaniom.

W Chinach od lat działa wyspecjalizowana kadra prowadząca dywersję i propagandę w internecie. Już w 2007 roku ówczesny prezydent ChRL-u Hu Jintao postulował, aby komunistyczny rząd „wkładał więcej wysiłku w zarządzanie opinią publiczną”. Jego następca Xi Jinping jesienią 2013 roku mówił już o tworzeniu „silnej armii internetowej”. Jej nieodzowną częścią jest tzw. Wumao Dang, czyli partia 5 mao (1 mao to 10 groszy chińskich). Komuniści początkowo płacili chińskim internautom 50 groszy (5 mao) za umieszczanie na forach internetowych prorządowych komentarzy, a także za zbijanie dyskutujących z tropu, wprowadzając jakiś temat zastępczy. W tej chwili „partia 5 mao” to dobrze opłacani pracownicy rządowi, podlegający różnym ministerstwom i publikujący jako „zwykli obywatele” na forach i portalach społecznościowych w internecie (i to nie tylko w języku chińskim). Oficjalnie zatrudniani są jako „analitycy opinii w internecie” i zarabiają średnio 8 tys. chińskich juanów (4,5 tys. zł). W całym Państwie Środka jest ponad 2 mln takich „analityków”. W promowaniu generalnego stanowiska władzy mają wolną rękę, ale w konkretnych sytuacjach podawane są im bardzo dokładne wytyczne i argumenty, jakich powinni używać.

W 2015 roku w wypowiedzi dla chińskiego artysty i dysydenta Ai Weiwei jeden z pracowników armii internetowej tak opisał swoją pracę: „Prawie codziennie o 9 rano otrzymuję e-mail od moich przełożonych z biura propagandy internetowej, działającego w ramach lokalnego samorządu. Mówi mi się w nim, jak mam komentować najnowsze wiadomości. Czasami podawane mi są konkretne strony internetowe, na których mam się wypowiadać, ale z reguły nie jestem w ten sposób ograniczany: wystarczy znaleźć odpowiednie wiadomości i je komentować”.

W wypowiedzi dla Ai Weiwei pracownik „partii 5 mao” mówi o rolach, jakie przychodzi mu odgrywać w internecie. Może być tzw. przywódcą w dyskusji na portalu internetowym, czyli osobą, która narzuca kierunek, w jakim potoczy się rozmowa. Dominuje ją swoim autorytarnym tonem i bardzo ostrymi argu-

mentami. Jest także rola obserwującego, który w delikatny sposób dołącza się do dyskusji i sugeruje swoje wątpliwości. Ale czasem wystarczy tylko stosować obraźliwe żarty.

Początkowo „partia 5 mao” działała tylko w chińskim internecie, szczególnie na Sina Weibo, chińskim odpowiedniku Twittera. Dziś jednak jest także bardzo aktywna za granicą. Jej działalność daje się szczególnie odczuć teraz, gdy Tajwan zmagają się z epidemią koronawirusa. Zadaniem chińskich trolli jest produkowanie nieprawdziwych informacji o tym, że rząd Tajwanu zaniża dane dotyczące ofiar wirusa i że nie radzi sobie z epidemią.

► Japonia-Wietnam

2 marca 2020 roku w Hanoi szef połączonych sztabów japońskich sił samoobrony Koji Yamazaki i wietnamski wiceminister obrony Phan Van Giang podpisali porozumienie, w którym Japonia zgodziła się przekazać Wietnamowi technologię budowy okrętów bojowych. Zapowiedziano także pogłębienie współpracy wojskowej i transfer specjalistycznej wiedzy w takich dziedzinach jak ratownictwo czy medycyna nurkowa.

Od kilku lat Wietnam dąży do zacieśnionej współpracy z Japonią. Wcześniej wzajemna kooperacja była związana głównie z transferem taniej i mało wykwalifikowanej siły roboczej. Teraz ma się to zmienić i Wietnam ma się stać pełnowartościowym partnerem gospodarczym i wojskowym dla Kraju Kwitnącej Wiśni. Obie strony zapowiadają, że w najbliższym czasie dojdzie również do pogłębionej współpracy pomiędzy wietnamskimi wojskami lądowymi i japońskimi naziemnymi siłami samoobrony, a także zwiększy się liczba wizyt statków powietrznych oraz okrętów. Murray Hiebert, zastępca dyrektora programu dotyczącego Azji Płd.-Wsch. na Center for Strategic and International Studies (CSIS), twierdzi, że „Wietnam postrzega Japonię jako gwaranta bezpieczeństwa w regionie”.

Zmiana w relacjach wietnamsko-japońskich jest odpowiedzią na zagrożenie, jakim stały się Chiny dla wszystkich krajów wschodniej i południowo-wschodniej Azji. Spór pomiędzy Pekinem a Hanoi dotyczy głównie Wysp Paracelskich, które leżą na Morzu Południowochińskim w odległości 400 km od wschodniego wybrzeża Wietnamu. W 1974 roku zostały one zajęte przez siły zbrojne ChRL. Wietnam uważa, że leżą one na wodach terytorialnych ich kraju. W 2012 roku Chiny rozpoczęły militaryzację wysp na Morzu Południowochińskim, jednocześnie zakazując Wietnamowi prowadzenia prac wieńcicznych w okolicach Wysp Paracelskich. ■

TLUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Rosyjska ingerencja na Bałkanach: strategia i taktyka





Balkany od dawna są polem rywalizacji Zachodu ze Wschodem – dziś z jednej strony USA, UE i NATO, z drugiej Federacji Rosyjskiej. Moskwa usiłuje zatrzymać rozszerzanie granic struktur europejskich i euroatlantyckich, wykorzystując także metody wojny hybrydowej. Od ekspansji energetycznej (projekt TurkStream), przez dezinformacyjne kampanie, po szpiegowską aktywność (vide niedawne skandale w Bułgarii i Serbii) oraz działania wręcz wywrotowe (nieudany pucz zorganizowany przez GRU w Czarnogórze). O metodach działania Rosji na Bałkanach można przeczytać w dwóch wydanych na początku roku raportach think tanków. Opinie ekspertów na temat działań rosyjskich w krajach Bałkanów zebrał Danila Galperovich, dziennikarz rozgłośni Głos Ameryki. Artykuł został opublikowany na stronie internetowej rosyjskojęzycznej redakcji tego medium 23 stycznia 2020 roku. Poniżej jego tłumaczenie.

W Waszyngtonie zaprezentowane zostały raporty na temat realizacji przez Kreml swoich interesów w krajach bałkańskich. „Rosja nie tylko po prostu ingeruje w sprawy krajów bałkańskich czy też ma w stosunku do tego regionu złe zamiary – Kreml pod rządami Władimira Putina widzi w Bałkanach strategiczne aktywa” – takim oświadczeniem Janusz Bugajski, starszy ekspert Centrum Analiz Polityki Europejskiej (CEPA), otworzył 22 stycznia debatę na temat raportu „Kremlowski scenariusz dla Europy Południowo-Wschodniej: wpływy ekonomiczne i precyzyjna siła”, opublikowanego niedawno przez bułgarskie Centrum Studiów Demokracji.

W opinii Janusza Bugajskiego, który wystąpił na posiedzeniu CEPA 22 stycznia, Kreml, aby nie dopuścić do wejścia krajów bałkańskich do Unii Europejskiej i NATO, realizuje wiele strategii: rozszerzanie wpływów geopolitycznych, zwiększenie różnic pomiędzy krajami Zachodu, utrudnianie obecności Stanów Zjednoczonych w regionie

i wspieranie własnych sojuszników, przede wszystkim za pomocą środków gospodarczych. „W porównaniu z Unią Europejską czy Chinami, Rosja nie jest poważnym ekonomicznym graczem, ale jej inwestycje i wydatki są bardzo dokładnie ukierunkowane na osiągnięcie maksymalnego politycznego efektu, i Rosja uzyskuje ten efekt, nie tracąc szczególnie finansowo” – uważa ekspert CEPA. Bardziej szczegółowo o raporcie opowiadali jego autorzy, Rusłan Stefanow i Martin Władimirow, zajmujący się w Centrum Studiów Demokracji programami ekonomicznymi.

► Bułgarscy eksperci: Rosja na Bałkanach ma potężne dzwignie ekonomiczne

Według słów Rusłana Stefanowa, on i jego koledzy próbowali opisać strategię Rosji na Bałkanach, opierając się na już znanych metodach obecnej rosyjskiej władzy: „Opisujemy w naszym badaniu mechanizm »przechwycenia państwa« – zarówno wewnątrz Rosji, jak i poza jej granicami. Wewnątrz Rosji – i tego nie rozumie wielu ludzi w Europie – rozwinięta jest »fasadowa demokracja«: tam na pierwszy rzut oka są partie polityczne, społeczeństwo obywatelskie, media, ale przy tym »przechwyceniu państwa« praktycznie wszystko to jest kontrolowane przez Kreml. I poza granicami Rosji Kreml także wykorzystuje możliwości tego schematu”. „Próbowaliśmy to ukazać, a za przykład podam media” – kontynuował politolog. „Na przykład Kreml próbuje przekazać jakiś określony sygnał. Taka informacja rozpowszechniana jest przez państwowe media typu RT, następnie podchwytują tematy media, które otrzymują prywatne finansowanie, na przykład poprzez reklamy Gazpromu lub Łukoila, które są największymi reklamodawcami na Bałkanach. Dalej przekazują to prywatne rosyjskie media, które mają dużo swoich wydawnictw na Bałkanach, i wszystko to przybiera charakter kuli śnieżnej. To znaczy ludzie dostają informację niby z różnych źródeł, ale tak naprawdę jest to dyrygowane z jednego ośrodka”.

„Odpływ kapitału z Rosji od początku lat 90., według najbardziej ostrożnych wyliczeń, wynosi około biliona dolarów USA. Cały ten bilion znajduje się w systemie finansowym Zachodu, a duża część tych pieniędzy poszła na stworzenie różnych finansowych schematów i sieci” – zauważył Rusłan Stefanow w swojej analizie wpływu rosyjskich interesów państwowych na politykę Serbii i Bułgarii. Wspomniał także o istnieniu centrów rosyjskiej „soft power” na Bałkanach, szczególnie „centrum humanitarnego” w serbskim mieście Nisz oraz kurortu

Kamczija w Bułgarii, którego właścicielem jest merostwo Moskwy. Tarcia w stosunkach krajów bałkańskich z Unią Europejską, według słów autorów raportu, także grają na korzyść Kremla, a o tym, jakie są wpływy Moskwy na Bałkanach, nie należy sądzić wyłącznie na podstawie porównania inwestycji Unii Europejskiej i Rosji w regionie: „Ludzie zwykle mówią, że 60–70 procent inwestycji idzie na Bałkany z Unii Europejskiej, dlatego nie trzeba się martwić odnośnie do Rosji, tyle że Unia Europejska nie jest zdolna do tak zintegrowanego wpływania na Bałkany, jakie idzie z Rosji, kiedy rosyjscy państwowi, prywatni, społeczni gracze działają wspólnie, ręką w rękę” – uważa Rusłan Stefanow.

Martin Władimirow poparł kolegę w kwestii tego, że ekonomiczny wpływ Rosji na Bałkanach na pierwszy rzut oka nie wydaje się tak bardzo poważny, ale to zupełnie nie tak: „Badaliśmy własność sieci korporacyjnej w regionie i to, jakie udziały w gospodarce w różnych bałkańskich krajach kontrolowała Rosja, bezpośrednio lub pośrednio. Z naszych danych możecie się dowiedzieć, że ta kontrola w ciągu ostatnich 15 lat stopniowo zmniejszała się z wartości osiagających średnio 15 procent do przykładowo 5 procent obecnie, a rolę w tym odegrały zarówno spadające ceny ropy i gazu, jak i sankcje nałożone na Rosję po aneksji Krymu. Jednakże Rosja utrzymuje strategiczną obecność we wszystkich kluczowych gałęziach przemysłu w całym regionie. Czasami Rosja kontroluje największe firmy w regionie, zwłaszcza te związane z sektorem energetycznym lub zależne od tego sektora, ale ta lista obejmuje też nieruchomości, metalurgię oraz sektor finansowy i bankowy”.

„W Bułgarii i Serbii rosyjskie spółki kontrolują do 70 procent rynku ropy naftowej i gazu, przedsiębiorstwa przemysłu chemicznego. Także huty stali, zależne od niskich cen nośników energii, również znajdują się w sferze rosyjskiej kontroli. Rosyjskie największe banki z udziałem państwowym – Wniesztorbank i Sbierrbank – w okresie wzrostu cen na ropę naftową w początkach XXI wieku aktywnie przenikały na rynek regionu i dywersyfikowały w nim swoją obecność, kupując całe bankowe sieci – na przykład austriacki Volksbank AG [transakcja zakupu tego banku przez rosyjski Sbierrbank miała miejsce w 2012 roku – przyp. red.] – powiedział Martin Władimirow. Przytoczył przykład możliwego uderzenia Moskwy w gospodarkę jednego z bałkańskich krajów: „Dla Czarnogóry, gdzie jedna trzecia PKB to rosyjskie bezpośrednie inwestycje w nieruchomości, potencjalny zakaz przyjazdu Rosjan do tego kraju, jeśli taki byłby wprowadzony

przez rosyjskie władze, oznaczałby załamanie gospodarki w ciągu jednego miesiąca”.

► **Brian Whitmore: Rosja wprowadza enklawy swojego systemu w system Zachodu**

Dyrektor programu badań Rosji w CEPA Brian Whitmore oświadczył, że zmiany w konstytucji Federacji Rosyjskiej, zaproponowane niedawno przez Władimira Putina, wyrażają generalny problem rosyjskiej państwowości, z której wynika też określony styl polityki zewnętrznej Kremla: „Te konstytucyjne zmiany, które realnie przetasowują system władzy w Rosji – dlaczego są takie dramatyczne? W Rosji brakuje najważniejszego elementu państwa – zasady legitymizowanej ciągłości, a to oznacza, że dowolny tranzyt przywództwa jest obciążony potencjalnym kryzysem. Aby przezwyciężyć ten niedostatek państwa, zamieniają legitymizację władzy z pomocą mitu – to może być »euroazjatyckość«, »ruskij mir« i tak dalej, dowolne oparte na micie uzasadnienie tego, dlaczego obecna elita powinna rządzić nieskończenie. A po to, żeby ten mit był atrakcyjny, należy dyskredytować dowolnie skuteczny model zarządzania, istniejący na zachód od rosyjskich granic”.

„Jeśli należycie do systemu, gdzie rozkwitają nieformalne więzi i relacje w stylu »patron-klient«, kleptokracja jest instytucją, prawo podlega władzy, arbiter wykorzystuje osobistą władzę, i musicie dyskredytować inny system, opierający się na innych wartościach, to próbujecie rozpowszechniać enklawy swojego systemu w tym innym systemie” – uważa Brian Whitmore. Według jego słów „złośliwa aktywność Moskwy odbywa się w określonym ekosystemie, i w sensie pożywki dla tej aktywności Bałkany [...] to nie Skandynawia: rosyjskie metody działają tam, gdzie jest duża korupcja, wysoki poziom zorganizowanej przestępczości, gdzie społeczeństwo jest poważnie spolaryzowane i gdzie zaufanie społeczeństwa do władzy jest skrajnie małe”.

„Rosja wykorzystuje państwowe aktywa, żeby organizować nieprzejrzyste strumienie gotówki w celu stworzenia sieci wpływu. To pozwala przeprowadzać to samo »przechwytywanie państwa« w krajach będących celami Moskwy. I to powtarza w większości proces konsolidacji władzy, który został podjęty przez Putina wewnątrz Rosji. Przejęcie mediów, przejęcie strategicznych obszarów przemysłu, wszystko to było na początku w Rosji, a teraz ma miejsce eksport tej strategii za granicę” – mówi szef programu CEPA.

► **NED przypomina o działaniach Rosji w Północnej Macedonii**

O tym, jak rosyjscy gracze proxy i rosyjska propaganda działały w jeszcze jednym bałkańskim kraju, Północnej Macedonii, po to, aby siać niezgodę w tej republice byłej Jugosławii, szczegółowo opowiedziano w dopiero co wydanym przez amerykański think tank National Endowment for Democracy (NED) raporcie „Popyt na oszustwo”. Chodzi przede wszystkim o wydarzenia sprzed referendum w 2018 roku w sprawie zmiany nazwy państwa, które powinno położyć kres tarciom w tej sprawie z Grecją i otworzyć krajowi drogę do struktur europejskich. W dokumencie mowa jest o tym, jak w sieciach społecznościowych rosyjskie trolle internetowe i boty rozpowszechniały „wizerunki kanclerz Niemiec Angeli Merkel z wąsami w stylu Hitlera i tekstem »Bojkotujcie ludobójstwo narodu macedońskiego!«, a także oświadczenia o tym, że zmiana nazwy kraju, który nazywał się w tym czasie na żądanie Unii Europejskiej – Była Jugosłowiańska Republika Macedonia [skrót angielski FYROM – tłum.], dyktowana jest przez „rusofobicznie nastawionych europejskich i amerykańskich urzędników”. Jak powiedziano w raporcie, odesłania do nazizmu miały na celu przypomnienie propagandy czasów wojen bałkańskich lat 90., która zapewniała, że „faszyści” z NATO są śmiertelnymi wrogami prawosławnych słowiańskich narodów regionu, w tym Serbów i Macedończyków. Przy tym Rosja przez długi czas przyczyniała się do promocji takiej narracji, do tego stopnia, że dawała autorowi, który niejednokrotnie porównywał Zachód do nazistów, nagrodę za „zachowanie historycznej pamięci o II wojnie światowej, walkę z fałszowaniem historii i antyfaszystowską edukację młodego pokolenia”.

Ruch na rzecz bojkotu referendum w Północnej Macedonii uzyskał szerokie poparcie ze strony prorosyjskich aktorów sceny publicznej, takich jak choćby rosyjsko-grecki miliarder i były deputowany Dumy Państwowej Federacji Rosyjskiej Iwan Savvidis, jednakże, jak mówi się w raporcie National Endowment for Democracy, zasadnicza dezinformacja pochodziła od rosyjskiej państwowej agencji informacyjnej Sputnik. Na miesiąc przed referendum Sputnik rozpowszechniał wiele dezinformacyjnych historii, ukierunkowanych na podsycanie sprzeczności i niepokoju w kraju. To jednak nie przeszkodziło Północnej Macedonii ostatecznie zatwierdzić i przyjąć nowej nazwy państwa. ■



Marcin Wolski

ZDERZENIE Z NIEZNANYM

Wygłąda na to, że poza autorami science fiction nikt od lat nie zwracał sobie głowy rzeczywistymi problemami ludzkości. O wiele wygodniej było robić kasę na globalnym ociepleniu, wypychać przez monopoliistów niechciane technologie słabszym, handlować prawami do emisji, podczas gdy nikt nie pytał, jak miałby wyglądać ewentualny kataklizm, gdyby nadszedł. Podniesienie się poziomu wód o 10 centymetrów za 100 lat? Wystarczy postawić murek. Zresztą przy obecnym rozwoju techniki i technologii każdy dzisiejszy problem za 100 lat może być po prostu śmieszny. Nie są za to zabawne zagrożenia realne.

Pandemia koronawirusa w mgnieniu oka obnażyła całą mizери społeczeństwa dobrobytu – okazało się, że na nic nie jesteśmy przygotowani, nie ma środków, procedur, pieniędzy. Zabrakło nie tylko respiratorów, masek, kombinezonów. Ludzie zupełnie nie byli przygotowani, jak się zachowywać w podobnych sytuacjach. Ponieważ te zdarzały się jedynie w filmach, ergo nie brano ich na poważnie pod uwagę. A przecież zderzyliśmy się tylko z jednym rumakiem apokalipsy i w każdej chwili mogą pojawić się następne. Czy ktoś zastanawiał się nad dywersyfikacją, i to we wszystkich dziedzinach? Tak trudno sobie wyobrazić możliwości, jakimi dysponuje wyłączny posiadacz określonych zasobów? A mogą to być zarówno paliwa, jak i lekarstwa czy środki ochrony. Pogoń za zyskiem sprawiła, że zniknął nawet zdrowy instynkt samozachowawczy, który podpowiadał, że jakiegokolwiek uzależnienie się od jednego dostawcy czyni nas bezbronnymi i zdanymi na jego łaskę lub niełaskę. Dobrobyt rozleniwiał pod każdym względem, również umysłowym. Za komuny robienie zapasów było oczywistą oczywistością. Uderzeni zniemacka epidemią, globalną awarią, zderzeniem kosmicznym czy nie daj Bóg wojną – nie dysponujemy niczym. Ani my, ani co gorsza państwa. Kto w świecie gadżetów i gadżecików zastanawia się nad ewentualnością, że nagle wyłączą nam prąd i zakręca gaz? Przestaną działać komórki i telewizja? Kto ma zapasy świec albo chociaż zapalek, tradycyjnej nafty lub gazu w butlach? W ostatnich dekadach z użycia wyszły ręczna piła, maszyna do pisania, wcześniej „wyginęły”

piekyki typu koza. W wypadku unieruchomienia samochodów spadamy trzy tysiąclecia w tył albo głębiej, bo przecież nie ma koni. A co z podstawową wiedzą potrzebną w dramatycznych sytuacjach życiowych – medyczną, techniczną, rolniczą, kulturalną? Poprzednie generacje mają ją w głowie, współczesne w Wikipedii. A gdyby nie można się było z nią połączyć? Kto wie, czy po obecnej katastrofie do zajęć obowiązkowych w szkołach – pod warunkiem, że w dającej się przewidzieć przyszłości młodzież będzie mogła do nich wrócić – wkroczy obok niezbędnego kwantum wiedzy pamięciowej survival – umiejętność przetrwa-

UDERZENI ZNIEMACKA EPIDEMIĄ, GLOBALNĄ
AWARIĄ, ZDERZENIEM KOSMICZNYM
CZY NIE DAJ BÓG WOJNĄ
– NIE DYSPONUJEMY NICZYM.

nia, bez cywilizacyjnych protez. Byłby to wielki pozytywny efekt pandemii. Liczę jeszcze na inne. Przewartościowanie w sferze wartości. Nagle zostaliśmy wyrwani z trwającego matrixu i mogliśmy się przekonać, że jesteśmy słabi, bezradni, a co najgorsze – śmiertelni. Że nasze plany, harmonogramy, grafiki są w stanie rozsypać się jednego dnia. W takich chwilach dociera do nas, co to rodzina, co Bóg, i co wspólnota większa – państwo. Jedyne nadzieje ratunku (bo przecież nie Unia). Dla nas starszych, którzy przeżyli swoje, jest to oczywiście przypomnienie, nie odkrycie. Bardziej ciekaw jestem, co dzieje się w duszach najmłodszych generacji, tych z III RP, bimabających sobie z kwarantanny i jej zasad. Może uważają, że to przesada, jaja rządzących czy jakaś śmieszna gra, w której dysponujemy nieograniczoną liczbą żyć. Czy groza musi osobiście zapukać do każdego okna? ■



Tomasz Sakiewicz

Dezintegracja pozytywna

Teoria zdrowia psychicznego, stworzona przez jednego z najwybitniejszych polskich lekarzy i psychologów klinicznych Kazimierza Dąbrowskiego, idealnie pasuje też do opisu wielkich kryzysów, jakie uderzają w ludzkość. Oczywiście wojny, epidemie, naturalne katastrofy i wielkie krachy gospodarcze są prawdziwym nieszczęściem i dużo lepiej, żeby ich nie było. Jednak tego typu nieszczęścia – choć nie zawsze i nie każde – zmuszają ludzkość do rozwoju. Złe doświadczenia, z którymi potrafimy sobie poradzić, zwykle ubogacają społeczność o wiedzę, która pcha nas na wyższy poziom. Kiedy nieszczęścia nie rozwijają człowieka? Gdy nie potrafi ich w swoim ekosystemie psychicznym przeorganizować, gdy się

perpaństw i narzucania swojej woli mniejszym społecznościom.

Na pewno niezbędna jest bardzo silna presja światowa na swobodny przepływ informacji, przynajmniej w zakresie zdrowia ludzi i badań nad zwalczaniem chorób oraz wszelkich nagłych zagrożeń.

Koniecznością jest wielka ogólnoswiatowa akcja edukacyjna nad zasadami higieny, które zmniejszą prawdopodobieństwo przenoszenia się chorób ze zwierząt na ludzi i potem ich rozwoju w naszym gatunku.

Radykalnie trzeba zwiększyć środki na badania naukowe w dziedzinach medycznych i około-medycznych, takich jak biologia, chemia, biofizyka itd. Gdyby w swoim czasie wyłożono miliardy

WSZYSTKIE PAŃSTWA MUSZĄ MIEĆ ROZWINIĘTY WŁASNY POTENCJAŁ PRODUKCJI ŻYWNOSCI,
A JUŻ NA PEWNO ZABEZPIECZENIA JEJ DOSTAW, LEKÓW I ŁĄCZNOŚCI. TE TRZY RZECZY
DECYDUJĄ O PRZETRZWAŃIU.

poddaje, gdy wybiera najbardziej prymitywne sposoby radzenia sobie z nimi. Jednak kiedy człowiek tworzy z dynamicznej siły nieszczęść motywację do działania, zmienia plan i poszerza pole obserwacji, katastrofy go wzmacniają i czynią silniejszym.

Jakie pożytki społeczne mogą wynikać z obecnego kryzysu (a jest on co najmniej podwójny – wielka epidemia i wielki krach gospodarczy)?

Po pierwsze, odnalezienie właściwej roli państwa i organizacji międzynarodowych. Państwa w sytuacjach trudnych o wiele lepiej sprawdzają się niż inne struktury. Widoczny jest kryzys obecnego modelu Unii Europejskiej. Nie oznacza to, że Unia zupełnie się nie przydaje. Jest niezłym forum koordynacji międzynarodowych działań. Ileż lepszym byłaby w dzisiejszej sytuacji, gdyby tworzyła jeden, nawet bardzo luźny organizm z USA? My moglibyśmy skorzystać na amerykańskiej technologii, oni pewnie mieliby odpowiednio wcześniej wiedzę o naszych doświadczeniach w walce z epidemią.

Widoczna jest potrzeba ścisłej koordynacji działań państw demokratycznych, bez tworzenia su-

na badania nad szczepionkami, dzisiaj byłoby łatwiej. Na pewno in plus jest sytuacja, gdy wiele krajów ma swój potencjał badawczy. Dotychczas pewnie nikt nie miał odwagi wyklądać takich pieniędzy pod presją bieżących potrzeb. Teraz to się zmienia.

Trzeba zwiększyć wielkość i zasobność służb medycznych i państwowych zaangażowanych w zwalczanie wielkich plag.

Wszystkie państwa muszą mieć rozwinięty własny potencjał produkcji żywności, a już na pewno zabezpieczenia jej dostaw, leków i łączności. Te trzy rzeczy decydują o przetrwaniu.

Kryzysy ekonomiczne, które miały miejsce wcześniej, na przykład z końca lat dwudziestych i ten z 2007 roku, pokazały, jak zapobiegać pogłębianiu się zapaści finansowej i ogólnie gospodarczej. Doświadczenie z tamtych kryzysów wykorzystamy obecnie. Po pandemii koronawirusa będziemy mądrzejsi o kolejną wiedzę. Ludzkość nie ulegnie zapaści, więcej – po pewnym czasie czeka nas silny impuls rozwojowy. ■

niezależna

ŁĄCZYMY **HISTORIĘ**
Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl